

Dygasiński Adolf

NA ZŁAMANIE KARKU

ROZDZIAŁ I.

Chałupa starej Grzędziny w Rokitnicy stała blisko karczmy, więc nic dziwnego, że się tam uwijało pełno ludzi, szczególnie też wieczorem, a w dzień świąteczny—zaraz po południu. Jaki taki szedł do karczmy na wódkę, a inny z karczmy właśnie wyszedł, spotykają się, przystają, dalej gwarzyć o tём i o owem. Czasami spora gromadka ludzi wystawała bądź pod karczmą, bądź pod chałupą Grzędziny — wszystko jedno.

Nie sama karczma była powodem takich zebrań: Grzędzina miała córkę Marynę, dziewczuchę czyste malowanie; około niej kręcili się różni parobcy. Do zalotników miała zaś Maryna ogromne szczęście; niech jeno mimo niej przeszedł jaki młody, a ona do niego parę słów zamówiła, już się taki dziwnie przywiązywał i lgnął do dziewczuchy.

Nie mówiąc o rozmaitych wiejskich parobkach, pisarz prowentowy u dworu, pisarek, co pisarzowi gminnemu pomagał w kancelaryi, a nawet syn dziedzica Rokitnicy — precz robili słodkie oczy do Maryny.

Ona się z nikim nie wiązała słowem, nie obiecywała, że pójdzie za męża za tego, czy za drugiego, ale lubiła mieć koło siebie kilku umizgantów. Zwyczajnie, służyła we dworze przy pannach za pokojową, nabrała tam min i przywykła do strojów; umiała tak jakoś osobliwie nosić się i szczyrzyć zęby, że zwabiała ku sobie kawalerów. Baby, jako też dziewczki ze wsi powiadały:

—Ona koniecznie musi mieć jakiś magnes i przez to tak ściąga zalotników.

Uwijał się koło Maryny Wicek Strzała, fornał dworski, który chciał z nią iść do ożenku; ale ten dostał odprawę: nie chciała go Grzędzianka, bo strasznie zczował i miał takie dzioby, jakby mu kto tatarkę posiał na gębie, a prócz tego wszyscy powiadali, że Wicek był najduchem. Sama Grzędzina miała się raz odezwać:

—Nie chcę takiego zięcia, co przy żadnym kościele niema, jak należy, jego metryki.

Strzała się dowiedział o takich gadaniach, wziął to do serca i nieraz potem przyciął okrutnie Marynie czy jej matce.

Miejsce Strzały przy Grzędziance zaraz zajął Walek Kuc, syn gospodarski, chłopak śmigły i gładki. Ten zalecał się przedtem do Jagny Głodzikowszczyki; ale kiedy poznał Marynę, porzucił Jagnę, choć już był z nią po zrękowinach.

Oprócz tego, myśleli o Grzędziance inni jeszcze, a żaden się tak w niej nie rozmiłował, jak ojciec Jagny, Marcin Głodzikowski, wdowiec, chłop już przeszło pięćdziesięcioletni i z pięciorgiem dzieci po pierwszej babie. Miał on w Rokitnicy ośm mórg gruntu, trzymał parę szkap, cztery krowy i całe jego gospodarstwo było w porządku.

Po śmierci żony Marcin zaczął trochę zapijać i w karczmie zwykle każdemu dowodził, że mu teraz baba w chałupie koniecznie potrzebna, bo sobie z małymi dziećmi rady dać nie może. Niejeden mu mówił:

—Na co wam druga kobieta? Dajcie sobie pokój, kiedyście się jednej pozbyli, drugą by was pewnikiem do grobu wpędziła!

Wtedy Marcin na ochotę wypijał nowy kubek, ścisnął się ze sąsiadami, a wykrzykiwał:

—Ej, muszę mieć babę, Panie święty! Co, druga mię do grobu wpędzi?... Kto to może wiedzieć, co będzie?...

Raz dobrze podchmielony, prosto z karczmy poszedł do chałupy Grzędziny i zaczął się do drzwi dobijać:

—Otwórzcie — wołał—otwórzcie mi, jeśli Boga macie w sercu!

— Maryna — mówi stara — słyszysz ty, Głodzi- kowski się dobija, idź-że otworzyć, nie trza go zrażać!... Dla ciebie los... gospodarz taki.

— Cóż ja staremu dziadowi drzwi będę w nocy otwierała? Nie może on to po dnia zajść do chałupy?

Ale Marcin walił coraz mocniej we <#rzwi, a skamlał, żeby mu otworzono. Musiała się Maryna nareszcie zwlec z posłania, rozpalić łuczywo i drzwi otworzyć.

— Licho was — powiada — po nocy nosi, tłuczecie się nikićj Marek po piekle i spać ludziom nie dajecie!

— Oj, Maryś moja, Maryś, toć ja przez ciebie ani dospać, ani dojeść nie mogę!....

Wszedł do izby, zaraz staje przed Grzędziną, składa ręce, jak do pacierza i mówi:

— Dajcie mi swoją Marysię, bo inaczej to mię co złego trafi.

Spostrzegły obie kobiety zaraz, że z pijanym mają do czynienia, tak go łagodzą, jak mogą, proszą siedzieć na ławie, a on się precz przed niemi wy- wnętrza:

— Wszystko, co mam, to na Marynę pójdzie; wolno mi rozporządzać swoją pracą!... W kancelaryi u wójta zeznam, jak się należy, poprzysięgnę przed Bogiem w Trójcy świętej jedynym, a niech ją mam w swojej chałupie! Umrę, nie umrę, kto to może wiedzieć, co będzie!

-■■ - ■:■■●●■ ■!'>'■ ljt

— Dobrze, dobrze — rzeknie Maryna — ino idźcie do chałupy, wyśpijcie się dzisiaj, a jutro urzą- dziewa wszystko, jak należy.

Uspokoili baby starego i wyprawiły go od siebie. On zaś szedł przez wieś, po drodze się zataczał i o Marynie ciągle pośpiewywał. Wrócił do domu, to pobudził dzieci, opowiadał im, że od jutra będą miały matkę, że jej powinny słuchać lepiej, niż rodzonej. Najstarsza jego córka Jagna miała już dziewiętnaście lat skończonych i chciałyby była sama wyjść za chłopa, więc gdy postyszała, co ojciec mówi, zachnęła się zaraz z gniewem?' ile że zła była na Marynę o swego zalotnika, Walka Kuca.

— Oj, niestatku — powiada — coście wy za tatuś taki, macochę chcecie rodzonym dzieciom do chałupy wprowadzić!... Nic z tego!

Marcin zaraz wpadł w złość, dał Jagnie dobrze za plecy, inne dzieci też pobił, tak że wszystkie do bielutkiego dnia beczały na posłaniu.

Grzędzina, zwyczajnie, jako matka, rada byłaby teraz wydać za mąż córkę; ale Maryna precz odmawiała.

— A czy mi to pilno, czy mi lata już przeszły, czy mi źle w chałupie ? Jak sobie którego upodobam, to z nim do ołtarza pójdę. — Tak się odzywała.

—Ej, ty wietrznico jedna, nie przebieraj! — powiada matka. — Szczęście twoje może przeminać i potem pies koło ciebie ogonem nie pokręci.

— Dajcie pokój, matusia, mnie się panieństwo nie przejadło — rzecze Maryna.

— Gdzie ' ci się miało przejeść, kiedy a to ciagniesz za sobą bandę zalotników.
Powiadam ci, że to nie potrwa, miej rozum!

Przekomarzały się tak matka z córką, a zalotnicy coraz nowi przybywali i przybywali. Bałamuctwa i mitręgi w robocie było z tej przyczyny nieraz sporo.

Jednego dnia na przypołudniu zagadała się Maryna z Wałkiem Kucem i nie wypuściła z obory krowy, kiedy gromadzkie bydło pędzono przez wieś na pastwisko. Spozrzęła się, było późno i musiała po- tém sama przepędzić Smoliczę daleko, aż pod gaj.

Wraca ona ztamtąd do domu, narwała sobie po- drodze kwiatków, umiała niemi głowę i zaczęła wyśpiewywać. Spojrzy naraz, a tu idzie jakiś człowiek,, niestary, niemłody, porządnie przyodziany, więcej podobny do szlachcica, niż do chłopa.

— Niech będzie pochwalony! —■ zamówił on pierwszy.

— Na wieki wieków — amen.

— A zkadże to panienka?

— Zkadżeby jak nie z za góry, z Rokitnicy.

— O, w Rokitnicy jest dużo zasobnych gospodarzy, ale jest też dosyć i bezrolnych, takich, co głodu często gęsto zaznać muszą, a zawsze im bardzo ciężko przychodzi czarny kawałek chleba!

— Juści prawda — odrzecz dziewczyna — jeno

co na to począć, ale mnie to wszystko równo, w chałupie u nas, Bogu dzięki, jeszcze nie ostatnio: jest kr owiną, para wieprzków, po ojcu się też została będzie ze dwie morgi gruntu niezgorszego.

— Dwie morgi gruntu, mój Boże! I panienka powiada, że to nie ostatnio? Przecie kobieta taka, jak łania, mogłaby być panią całą gębą! Na taką nie dwie morgi gruntu, bo i dwie włóki mało. Jedna krowa, para prosiąt, co to za majątek! Podług urody, coby się jej niejedna szlachcianka powstydzić mogła, powinno być kilka włók gruntu, krów ze dwadzieścia, porządne wozy, bryczka, koni z dziesięć... '

— Jakby było, to dobrze, ale kićj niema, trzeba się smakiem obejść.

— A po co się smakiem obchodzić, kiedy to wszystko być może? Trzeba tylko, żeby panienka chciała.

— Żeby ja chciała? Mocny Boże, a cóżbym nie miała chciść? Tyło zkąd wezmę?

— No, to powiadam panience, że dosyć rękę wyciągnąć i wziąć.

— Go mię też pan po próznu mani!

— Nie manię, nie manię, jak mi Bóg miły! Wielkie dla panienki szczęście, że oto spotkała takiego, jak ja człowieka.

— A zkądze też Pan Bóg prowadzi?

— Oho, zdaleka, zdaleka! Polak jestem, katolik, z tych stron pochodzę; ale od dwudziestu lat osia-

dłem w jednym takim kraju, gdzie w ziemi złoto leży, dyamenty, tylko się po nie schylić trzeba. Dobrze mi teraz i przychodzę swoim rodakom powiedzieć, żeby tam po chleb poszli. W owym kraju nikt nie jada kartofli... wszyscy pijają kawę; nie jedzą chleba czarnego, tylko ciasto światłe, jak słońce; tam się ma ryż, cukier, rodzyнки taniój, aniżeli tutaj bób; tam niema żadnych chłopów... wszyscy są sobie równi panowie; tam nigdy nikomu nie jest zimno, bo ludzie mają wieczną wiosnę... Raj był w tym kraju, kiedy Pan Bóg stworzył Adama i Ewę.

— Święty Boże, gdzie téż jest kraj taki?

— Jakbyś panienka chciała zostać wielką panią w tym kraju, to ja tam mogę wysłać, powiedzieć, co trzeba zrobić, żeby szczęśliwie dojechać.

— Bogaćbym nie chciała, jeno pan pewnie tak kusi dla żartu, a ja głupia goto wam uwierzyć.'

— Dla swojego szczęścia i dla szczęścia swej rodziny powinnaś mi uwierzyć! — zawołał podróżny. — Bóg ci los wielki zsyła, trzeba go szanować!

Ten człowiek mówił tak jakoś poważnie, że w Marynie aż serce zadrżało, jakby się wzruszyła w kościele na kazaniu. Spojrzała pokornie na nieznanomego, myślała, że to chyba jaki prorok, a on tak dalej mówił:

— Pan Bóg chce, żeby wszyscy ludzie byli szczęśliwi ; ale ludzie są głupi i Boga nie słuchają. Niejeden zapaprze się w nędzy i ani pomyśli, że mógłby

dobremi końmi jeździć, a chodzi piechotą, że mógłby mieć cienką koszulę, świeżące buty, a chodzi w zgrzebnym płótnie i boso. O, w Polsce takich głupich jest dużo!

Tak się rozwodził ów wędrowiec i Maryna ani spostrzegła, że z nim zaszła w szczerze pole między wzgórzami. Dopiero tutaj on się obejrzał wkoło, stanął i mówił w te słowa:

— Jest kraj, co się nazywa Brazylia, kraj bardzo bogaty; ziemi tam tyle, że gdyby nią wszystkich polskich chłopów obdzielić, to każdy byłby jeszcze bogatszy od najbogatszego tutaj szlachcica. Do onćj Brazylji nielada kto zajedzie, bo mało kto wie, gdzie ona leży. Tacy dostaną najlepsze grunta, rozbiorą najpiękniejsze lasy i w dodatku dostaną największe zapomogi, żeby się zagospodarowali.. Co ja mam z panną długo mówić? Daję tu oto taki dokument, w którym wszystko jest dokładnie opisane. Ktoby jeszcze i temu nie uwierzył, może napisać list do miasta Lizbony w Portugalii, do jednego pana Santosa, konsula z Brazylji, a dowie się już wszystkiego. Ja nie jestem z tych, co to lud bałamuca, ja chcę tylko, żeby biednym było na świecie dobrze, żeby wszystko szło podług nauki Jezusa Chrystusa za nas ukrzyżowanego.

Mówiąc te słowa, nieznajomy zdjął kapelusz na znak uszanowania dla religii, co też Marynę za serce chwyciło. Potem wydobył on z zanadrza pakę pa-

pierów, odłączył z nich jeden arkusz żółty i zadrukowany, a dając go Marynie do rąk rzekł:
— Niechże ci to, moja panienko, przetłómaczy kto znajomy na polskie, bo mnie mogłabyś nie wierzyć, a nawet nie chcę, żebyś wierzyła; ty sama powinnaś się o prawdzie przekonać własnymi oczyma.

Skoro to powiedział ów nieznajomy człowiek, uklonił się Marynie grzecznie kapeluszem i poszedł w stronę Rypina.

Maryna została w polu sama z kawałkiem tego żółtego papieru czarno zadrukowanego. Nie umiała ona czytać, więc się i przekonać nie mogła, o co chodzi.

Siadła sobie na miedzy, patrzyła na ów papier, myślała o czymś przez czas jakiś; potem się nagle porwała, złożyła papier porządnie, schowała go w zanadrze i co żywo do wsi biegła.

ROZDZIAŁ n.

Żółty list i narady chłopów.

Jeszcze tego samego dnia pod wieczór, to pod karczmą, to około chałupy Grzędziny, wystawali różni ludzie i gwarzyli, a najwięcej było młodzieży. Maryna też zrobiła w domu, co do niej należało, choć ta nie była bardzo robotna, i wyszła przed chałupę- Nasłuchiwała rozmowy innych, a swoją drogą świerzbiał ją język, żeby o tym szczęśliwym kraju opowiedzieć: czekała jeno dobrej pory. Zgadało się jakoś akurat, że parobcy poczęli wyrzekać na ciężką służby we dworze i u gospodarzy rokitnickich, na dużą a ciężką robotę, na lichą płacę i całe złe utrzymanie. Tylko jeden Wicek śmiał się ze skarg owych:

— Ostatnie darnie — powiada — chłopcy takie, co przed babami się żalą, kiedy im się źle dzieje. A cóż na to baba poradzić może? Każda z nich, jak dostanie chłopca, na jego ręce patrzy i jeszcze biedy przysparza.

—Nie mów tak, Wicek — rzeknie Maryna— bo możeby się znalazła baba, coby poradziła na biedę.

—Rajcuj, któż ci broni! — powiada Wicek. — Ale ja tam nie wierzę w babskie rady.

Jak też temi słowy podbił szczęśliwie Marynie bębenka, dopiero ona rozpuściła język i dowodzić zaczęła:

— A wiecie wy, że tylko głupiemu bieda—mówi bo jest na świecie kraj taki, gdzie się człowiek nie spracuje jak wół, a swoje zawsze dostanie?

— Jużci może i jest, tyło go pierwój trza znaleźć! — odrzekł Wicek ze śmiechem. — Ja zaś takich krajów nie będę szukał, bobym z głodu zdechł, za* nimbym je znalazł; swojój roboty muszę pilnować, a nie, to mi jeść nie dadzą.

— No, a ki ej wam o takim kraju powiem, to co będzie za to?

— Cóż ma być?—rzeknie Wicek. — Jak znasz, powiedzić musisz, bo coby kraj znaczył, gdyby był dla samych bab, a chłopów w nim brakowało?

Roześmiali się parobcy na te słowa, Maryna zaś mówić zaczęła znowu:

— Widzicie, jest na świecie jedna taka Bryzolia, co tam ludziom rozdają grunta i wszystko, a ten tylko bogaczem nie zostanie w onym kraju, który się nprze i sam nie zechce.

— Pleć baje, kiedy ci widno!—zawołał Wicek.—

Gdzie znowu ma być jaka Bryzolia ? Kto słyszał kiedy o takim kraju?

— Będę plotła! — powiada Maryna. — A jak mię nie usłuchają jedni, to usłuchają drudzy ! Głupi nikogo nie posłucha, wiadome rzeczy, ale mądry może zmiarkować...

— Wicek, toć się nie swarz, nie wadź Marynie! Niech ona wypowie wszystko!—mówi na to Wałek Kuc-

Ponadchodzili też inni, którzy szli ku karczmie* i przystanęli, nasłuchując tych swarów. Tak starszy jakiś chłop zawołał:

— Nie pytaj, Maryna, powiedz wszystko, co- wiesz o tym kraju!

Dziewusze też tój zachęty jeno brakowało; zaczęła dopiero rozkładać rękoma, a dowodzić tak i tak; rozpowiedziała akuratnie wszystko, co jój tamten nieznajomy mówił był w polu. Skoro skończyła, dobyła z zanadrza żółty papier i pokazała go ludziom.

— Psiakość jakiś zamysłowaty ten szlachcic,, kiedy on się z babą wdał w rozmowę, a nie poszedł do chłopca ! — rzekł znowu Wicek, pokpiwając.

— Cicho bądź, Wicek, nie bałamuć! — odzywa się starszy już chłop, Mikołaj Dąbek, który uważnie słuchał Maryny.

— Cóż tu w mroku takim dojdzie kto z onego papieru?— powiada znowu Matus Dzwonko, gospodarz, rolny z Rokitnicy.—Pójdźwa a to do. karczmy, niech nam dziewczka przy świetle pokaże, ki to dyabeł!

— A juści, do karczmy, do karczmy! — nawoływali inni i całą cizbą do karczmy się wtłoczyli.

Biorą ten papier do światła, patrzą, ale tylko jeden Dąbek umiał trochę czytać drukowane: przygląda! się, przyglądał długo, inni myśleli, że sobie po cichu odczytywał, a on po jakiejś chwili potrząsnął głową i powiada:

— Po frajcusku jacy, czyli téż po żydowsku musi być drukowane, bo dojść nie mogę; rozumby mi się na nic pomieszał, jakbym tego chciał dochodzić. Litery, bo litery, rychtycznie polskie, tyło krętanina tu taka, jakby kto umyślnie na psotę ludziom, ni to, ni owo nagryzmolił.

Szynkarz téż Rokitnicki był co niebądź czytelny, ale i on powiedział, że jest jakaś osobliwa dziwność w tym druku. Tak on, jak Dąbek, przeczytali jeno— √AmeriJca, Brasilien

— Musi to nie po polskiemu — powiada szynkarz — sam organista chybaby nie pojął.

— Żeby to nie był tylko figiel jakowy — rzeknie Matus Dzwonko — to się znajdzie we dworze, czy w mieście taki, co wyrozumie one kulasy.

— Pisarzowi gminnemu zaniesta, to mu za czytanie zapłacita, a on obełga, przeczyta, co mu się podoba! — rzekł ze śmiechem Wicek.

— Do naszego dwora zanosić téż tego papiera nie można—powiedział Dąbek—bo dwór nieżyczliwy dla chłopów, toby jeszcze zdradził, albo co takiego...

rr^!

— Trzeba z tem iść do miasta koniecznie, do adwokata Bajczyńskiego! —
zawołał Dzwonko.

— Bajczyński zedrze! — powiedział któryś.

— Zedrze, jeno swoje akuratnie zrobi!—odrzekł Dzwonko.

— Do miasta, do miasta! —"wykrzykiwali wszyscy.

Nazajutrz w całej Rokitnicy, precz po chłopach

0 tćm tylko rozmawiano, że Maryna Grzędzianka dostała jakieś osobliwe pismo o
rozdawaniu gruntów, tyło nikt nie może zrozumieć, po jakiemu to pisane.

— Wietrznica taka, to się Bóg wić z kim zadaje, mogli jćj umyślnie jaką sztukę
podsunać — mówiła jedna baba do drugićj.

— Jednego ona to za sobą wodzi ? — odrzekła druga — Głodzikowski, nie
przymierzający, staruch taki, rozum już całkiem w głowie stracił, dzieci swoje

1 wszystko przez nią marnuje.

— A wiecie wy—powiada inna znowu — żem ja kiedyś o zmroku widziała tego
pisarka z kancelaryi, jak wlaził przez płot do sadu Grzędzinej... Po cóż on tam zachodził?
Juści mu się śliwek nie zachciało.

— Żeby to jeno tyle! — zawołała jeszcze któraś inna. — Ja oto kiedyś widziałam,
jak Grzędzianka publicznie zęby szczyrzyła do młodego dziedzica, a on wyjął coś z kieszeni i
dał jćj na rękę...

— Nicpotem jedna! Kto weźmie takiego wiechcia do chałupy, dopiero będzie
miał pociechę...

Tak między sobą rozmawiały baby, a rozmawiali też o Marynie i cłopi, ale już inaczej: przez to, że się jedni do niej zalecali, a drugim żółty papier ćwieka w łeb zabił. Ci w karczmie, inni przed karczmą, jeszcze inni na drodze, w środku wsi, deliberowali precz o Marynie i o żółtym papierze.

Najgorętsza rozmowa prowadziła się w karczmie.

— W tej Bryzologii duchem musi być grunt do rozdania. Już to tam Marynie dobrze ktoś powiedział, kiedy ona tak dokumentnie dowodzi. Pocóżby miała łąć bez potrzeby?

— Ee, gdzie znowu! Choćby chciała, toby takich rzeczy nie potrafiła wymyślić!...

— Kiej Maryna mówi, to musi być święta prawda! — wykrzykiwał Marcin Głodzikowski, który się już na czas upił i sąsiadów po kolei obcałowywał. — Kto to może wiedzieć, co będzie?... Jak Bóg na niebie, Maryna musi być moją babą! Do Bryzologii, czy kajindziej, wszędzie z nią pojedę, tak mi Panie Boże dopomóż!

— Słuchajcie-no — odzywa się Matus Dzwonko — tak rozprawiać w karczmie, to do niczego! Tu trzeba koniecznie, żeby kto należycie wyrozumiał ów ten żółty papier i nam wytłómaczył. W Rokitnicy takiego człowieka nie znajdzie, więc zabierz Marynę i jedź do miasta zaraz dzisiaj.

—A po co z Maryną? — odzywa się jakaś baba. — Nie może ona to, psianoga, oddać wam tego papieru? Chłopi, nie dziewczki, czy baby, z papierami muszą mieć do czynienia!

—Ale gdzieby miała papier taki oddać! Dali jćj samćj do rąk, to nie popuści! — rzekł któryś chłop.

—Głupiaby była, żeby popuściła, kiedy to może być majątek! Taki papier, to jak pieniądz...

—Marcinie — powiada Matus — załóżcie do wozu swoje konie i zajeżdżajcie tu przed karczmę ! Nas pięciu i Maryna szósta pojedzie do miasta.

—Kto to wić, co być może?... Z Maryną na skraj świata pojedę! — zawołał Głodzikowski, całując Matusa w same usta.

— No, pójdźcie, pójdźcie. Pomogę wam konie założyć; niech się raz cała ta historia wyświeci. Jeno pymiętajta, że jak przyjdzie co do czego, to myśwa tu pierwsi byli, cośwa sposób obmyślili! — zawołał Dzwonko.

— A jakże, jakże, my pierwsi 1 — odezwali się ^ inni chłopi w karczmie. — Ostatnich gruntów w tej Bryzologii my brać nie będziemy.

Teraz Matus wziął pod rękę pijanego Głodzikow- skiego i poszedł z nim zaprzęgać konie do wozu.

Pozostali w karczmie chłopi rozprawiali jeszcze bardzo żywo, kiedy z głośnym turkotem i w całym pędzie zajechał wóz Głodzikowskiego. Dzwonko po-

A. Dygasiński. Xa ztamnie kar ko. 2

woził, a Marcin, siedząc na wiązce grochowin, zapadł się na spód wozu i łbem tłukł o półkoszki, to na prawo, to na lewo.

Potrzeba było sprowadzić Marynę, więc Matus poszedł do chałupy Grzędziny. Zaraz w progu spotkał dziewczuchę i mówi:

— Maryś, zabieraj ze sobą ten żółty papier, przyodziej się trochę, bo wóz zaprzężony już na ciebie czeka; pojedzie do miasta. Jak nam Bajczyński nie wyśpiewa, co tu stoi, to kto drugi?

— O rany! a pocóż wy mi tóż dziewczkę z pod ręki zabieracie? — powiada Grzędzina. — Eobota w domu!

— Nie skrzeczcie, matka, nie skrzeczcie! — zawołał Matus. — Wola gromadzka taka, i koniec! Jak się co wskóra, to i wam będzie lepiej.

Maryna bo nigdy nie uważała na to, co matka mówi; więc teraz przywdziała na siebie czemprędzej co najlepsze szmaty, Włożyła na szyję dwie modre paciorki, zarzuciła na ramiona chustkę i razem z Matusem opuściła chałupę.

Ledwie oboje podeszli przed karczmę, a tu widzą, że Marcin Dąbek szamocą się z Jagną, która koniecznie chciała konie z wozem do chałupy zawrócić i strasznie wywoływała na ojca.

— Poszła precz, głupia ciapo! — krzyknął z boku Dąbek. — Dopóki ojciec żyją i nie zdali na ciebie gospodarstwa, to tu jego rządy, nie twoje!

Powiedział to i odepchnął Jagnę od wozu, a sam zaraz siadł na przodzie, żeby powozić. Maryna usiadła z tyłu, przy niej się usadowił Marcin, a trzech inni chłopci czepili się, gdzie który mógł.

Potém wóz wartko ruszył z przed karczmy drogą ku miasteczku.

ROZDZIAŁ HI.

Adwokat pokątny.

Na podwodzie Głodzikowskiego Matus wnet przy był do miasta, bo koni nie żałował; mówił, że jedzie po kawalersku. Zajechał przed ładny domek, który się znajdował na samym końcu miasta; tutaj chłopci i Maryna poschodzili z wozu, a potem wszyscy garnęli się ku drzwiom z ganeczkiem. Matus śmiało ujął taśmę od dzwonka i pociągnął. Zaraz też potem w sieni dały się słyszeć czyjeś kroki, skrzypnął klucz w zamku, drzwi się otwarły i na progu stanął człowieczek chudy, jakby go kto wyszał, i niski; niebieskie oczy bystro mu się świeciły, a usta się słodziutko uśmiechały.

— Skądżeśta, moi obywatele? — spytał.

— Nie poznaje mnie to pan adwokat? — rzekfc Matus.

Wtedy chudy człowiek stuknął się palcem w czoło, jakby sobie co przypominał, i tak mówił:

— Szelmowska moja pamięć! Cudzych interesów na głowie pełno! Któż wy jesteście, powiedzcie, bom na śmierć zapomniał.

— Toć mnie u pana Sobek Kostrzewa ciągiem podawał na świadka i byłem tutaj będzie więcej, niż dwadzieścia razy.

— Kostrzewa? ten gospodarz z Rokitnicy? Prawda, prawda!... Powiedzcież mi, jak się też ma poczciwy Kostrzewa?

— Cóż się ma mieć, kiej już wszystko przeprowadzono!? Jak przewalił ten ostatni proces z Lejzorem, tak już teraz siedzi spokojnie pod kościołem i żyje z Boskiej opatrności.

— Przewalił, przewalił! Nie słuchał mnie, a mówiłem: nie chodzić do apelacji!... Moi ludzie, kto się procesuje, to tak, jakby w karty grał: albo wygra, albo przegra. Ja nie lubię procesów; ja lubię ludzi godzić tu w domu u siebie, bo. niema, jak zgoda! Niech powie ten Kostrzewa, ile razy go Bajczyński od procesu wstrzymał!

— Oo, wiadome rzeczy! — zawołał Matus. — Mnie tego pan Bajczyński nie potrzebuje mówić...

— No, moi kochani, a cóż was tu dziś do mnie sprowadza? Bójcie się Boga, żeby aby nie proces! Bo ja proces w ręce biorę, od tegom adwokat; ale z góry powiadam: procesu nie lubię. Po co ma być

proces, kiedy u ranie polubownie można wszystko załatwić?

— Chwalić Boga, procesu nie mawa — rzecze Matus — jeno chodzi o to, żeby jaki człowiek z głową wytłómaczył nam jedną rzecz taką osobliwą... Maryna, pokaż-że panu ten papier!

— Aaa, proszę, jaka przystojna panienka! — zawołał Baj czy ński, ujrawszy Marynę, która się wysunęła naprzód.—Na front, panienko, na front! Taki buziak chować się nie powinien.

— Kto to może wiedzieć, co będzie? — rzekł Głodzikowski, któremu jeszcze wódka z głowy nie wyszumiała, i nie wiedział, o czym mowa.

Maryna wydobyła z zanadru żółty papier i podała go Bajczyńskiemu, który założył na nos dwa szkiełka i począł półgłosem czytać:

. — Vereinigte Staaten von Brasilim... Sud-Ame- rica...

— Słyszysz ta? Bryzolia!... Maryna dobrze mówiła. Kto to może wiedzieć, co będzie? — odezwał się Głodzikowski.

— Stulcie oto gębę i słuchajcie pana adwokata ! — rzekł z gniewem Matus.

Ale adwokat chłopski mrucał coś pod nosem, mrucał, potem złożył papier na stole, zdjął z nosa szkiełka, otarł je chustką od nosa i rzekł:

— Czegóż wy ludzie odemnie chcecie? To jest widocznie sprawa portugalska, okólnik, ja jęc tu

prować nie mogę, a was nie stać na to, żeby na miejsce pojechał i tam papiery przejrzał... Ho, ho, koszta ekstra! Legalizacye, niech Bóg broni!

— Z przeproszeniem pana Bajczyńskiego, nie o to chodzi, żeby jeździć, bo jak będzie trzeba, to my sami taką jazdę zryzukujemy; niech jeno nam pan wyjaśni, co na tym papierze stoi o grantach chłopskich w Brazylii...

— Więc wy wiecie, o co chodzi?

— A jakże, wiewa, wiewa! — zawołali chłopi.

— Maryna wić najrycbyczniej! — rzekł Głodzi-kowski.

— Hm, widzicie moi. ludzie, dokument napisany w obcym języku. Sprawy takie, nim przyjdą przed adwokata, muszą być przedtem w rękach tłómacza... koszta podwójne: tłómacz bierze honorarium swoją drogą, adwokat swoją. Czy macie, moi ludzie, fundusze, ażeby prowadzić sprawę w cudzoziemskim języku? Pytam się, boja nikogo załapywać nie chcę.

— Jakbyśwa nie mieli, tobyś nas tu pan nie widział! — rzekł butnie Dąbek.

— Bardzo dobrze! Sprawa stoi jasno, bardzo dobrze!

I z temi słowy Bajczyński wziął do rąk ołówek, podkreślał nim wiersze na żółtym papierze i liczył:

— Pięćdziesiąt dwa, a czterdzieści trzy, to prawie sto. Liczmy za każdy wiersz tylko po dziesięć

kopiejek dla tłumacza, a po piętnaście dla adwokata, „ to już mamy dwadzieścia pięć rubli.

Wymówił te ostatnie słowa przeciągle i spoglądał po ludziach.

— Niech będzie i dwadzieścia pięć, żeby jeno wszystko było, jak na dłoni... po polsku!
— mówił Matus.

— Tak, tak, po polsku! — zawołał Głodzikowski — po katolicku!

— Oprócz tych dwudziestu pięciu rubli, należy się jeszcze wpisowe, pięć rubli od sprawy, to już przecie każdemu musi być wiadome... No, moi ludzie, i wszystko z góry, nóżki na stół!

— Toć my się nie targujemy z panem Bajczyńskim! — rzecze Dąbek, a zwróciwszy się do innych chłopów, mówił:

— Daj ta, ćo kto ma przy sobie! Najpierwsza rzecz adwokata zapłacić, a potem się między sobą porachuj ewa, co na kogo wypadnie.

Chłopi zaraz zaczęli sepląć po kieszeniach i wydobywać papierki. Wnet złożyli trzydzieści rubli, jedna tylko Maryna nie dała ani grosza: ona dawała przecie rzecz najgłówniejszą — dokument na żółtym papierze.

Bajczyński przeliczył pieniądze, schował je do kieszeni, a z twarzy jego wszyscy mogli zaraz poznać, że te pieniądze już dla nich przepadły na

wieki. Potem dopiero adwokat zwrócił się do chłopów i powiedział:

— Wyjdźcie sobie na ganek i poczekajcie, dopóki ja nie wrócę z miasta od tłumacza.

Maryna chciała się wyrwać, że żółtego papieru nie może nikomu dać na ręce; ale ją Dzwonko w sam raz powstrzymał:

— Cóż ty, głupia, chcesz? — rzekł. — Adwokat musi mieć papier taki w ręku, choćby tam nie wiem o jakie krocie chodziło.

— A juści, juści! — zawołał Głodzikowski. — Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie?

Bajczyński, nim odszedł, zbliżył się do Maryny, pogłaskał ją pod brodę i rzekł:

— Dużo macie w Rokitnie takich urodziwych dziewczuch?

— Toć to, proszę pana adwokata, jedna baba do drugićj podobna — odpowiedział Matus.

Całe towarzystwo wyszło teraz na ganek, a Bajczyński z teczką w ręku i z żółtym papierem pobiegł gdzieś w miasto.

Gwarząc o różnych rzeczach i ziewając, czekali w tym ganku dobre dwie godziny, a niektórzy ludzie z miasta przechodząc tamtędy, pokazywali chłopów palcem i mówili:

— Oho, Bajczyński znowu złapał jakieś ryby!

Nareszcie ukazał się zdaleka już w ulicy i adwokat chłopski, prawie cwałem pędził ku chłopom.

— Ślicznie! — zawołał, stanąwszy w ganktt i stuknąwszy laską w ziemię. — Teraz dopiero widzę sprawę waszą jak na dłoni! Ale, wiecie wy, to musi być sekret, tajemnica! Ja się dla was przed władzą narażam, to nie żarty! Eawałek chleba mogę stracić...

— Sekret okrutny! — powiada Dąbek. — Choćby nam pan Bajczyński nie przykazał, to my i tak pary ze siebie nie wypuścimy...

— No, no, cicho, sza! Dla własnego interesu, musicie sekret zachować, żeby wszystko nie klapło. A teraz jeszcze jedna uwaga prawna, wynikająca z kodeksu: Jeśli adwokat daje stronie korzyści nadzwyczajne, jeśli uszczęśliwia gromadę ludzi, ich dzieci, wnuki, prawnuki, to byłoby niesprawiedli- wcm, niemoralncm w najwyższym stopniu, ażeby go ci ludzie lada czem zbyli. Czy rozumiecie?

— Któż to panu adukatowi Opowiedział, że my go lada czem zbyć chcewa?— mówi Dąbek. — Niech tylko z tym papierem doj dziewa do końca, to wszystko w dubelt zapłaciewa! Nie dziś, to jutro, a zaplaciewa; przecie Rokitnica nie Ukraina...

— Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie? — mruknął Głodzikowski. — Przemówże ty Maryna do pana adukata!...

— Ja ludziom wierzę... — zawołał Bajczyński. — Ja nie taki, jak inni adwokaci... Pamiętajcież, Matusie, i inni tu obecni, do czegoście się zob-

wiązali względem adwokata, przez wyższe władze zanominowanego! Pamiętajcie, że obowiązek ustny w tym razie więcej znaczy niż piśmienne, a jego niedotrzymanie kodeks uważa jako nadużycie dobrej, wiary i surowo je karze!

— Niech się pan Bajczyński nie boi! — ■ powiedział Matus, a za nim powtórzyli to samo inni.

Adwokat znowu nałożył na nos szkiełka i czytał z naciskiem:

„Stany zjednoczone w Brazylii, w południowej Ameryce. Brazylia ma trzynaście milionów mieszkańców, a przestrzeń jej wynosi 8,337,218 kwadratowych kilometrów, czyli jest to kraj większy* niż Basya europejska. Macie tam pagórki, lasy a w pobliżu wielkich rzek równiny ze wspaniałymi pastwiskami. Na południu jest dużo prowincyj, które dla umiarkowanego klimatu nadają się do osiedlenia przez Niemców, Polaków i innych. Deszcz pada tam regularnie. Panująca religia jest katolicka, ale wszystkie religie mają swobodę i prawa. Język główny jest portugalski, lecz wolno używać i innego. Moneta jest portugalska: real — 450 rejsów.

„Wolność zupełna. Produkta: kawa, cukier, kukurydza, pszenica, fasola, winogrona i różne owoce. Macie tam bydło, konie, świnie, drób przeróżny. Wódki w jednym stanie Rio-Janeiro wyrobiona

w roku 1886 przeszło 12 milionów litrów. Wszędzie • pełno wybornej ziemi i dziewiczego lasu, gdzie jeszcze nie powstała niczyja siekiera. Tak ziemię jak las nabywać można za tanie pieniądze, na roczne spłaty i tyle, ile się komu podoba..."

— A co! — wykrzyknął Matus, spoglądając z zadowoleniem po swych towarzyszach. — To tam, Panie święty, muszą dopiero być piękne choice!

Tymczasem Bajczyński odetchnął, odchrząknął kilkakrotnie i rzekł:

— Słuchajcie: teraz idzie to, co dla was naj- główne. Korzyści dla takich, którzy jadą do Brazylii, są następujące: popierwsze, wolny przejazd z Bremy, Antwerpii, Marsylii aż do Santos, lub do Rio de Janeiro; powtóre, wolny przejazd koleją żelazną do Bremy, Antwerpii lub Marsylii; potrzeci, przez cały czas podróży bezpłatne życie, mieszkanie, a także opieka w urządzonych na ten cel hotelach, dopóki emigrant nie przybędzie do obranego przez siebie miejsca. Trzeba też wiedzióó, że ci, którzy jadą do Brazylii, nie są obowiązani zwracać kosztów, lecz zostają wolni, jak gdyby własnymi pieniędzmi zapłacili za drogę.

Nareszcie Bajczyński skończył czytanie wśród podziękowań i wykrzyków radości, poczm rzekł:

— To wszystko pisze do was pan Jose dos Santos, generalny konsul brazylijski w Lizbonie. Zrobili-

ibie, moi ludzie, dobry interes u adwokata, niech wam Pan Bóg szczęści! Pamiętajcie tylko, żeście ze mną rachunku jeszcze nie załatwili!

— A toć my tu po radę jeszcze nieraz przyje- dziewa! — powiedział Matus. — W takićj ważnćj sprawie, to mądra głowa cięgiem będzie potrzebna.

ROZDZIAŁ IV.

Przygotowania do emigracji.

Trudno sobie wyobrazić, co się teraz działo w Rokitnicy po powrocie chłopów i Maryny z narady od Bajczyńskiego. Niby też to cała owa wyprawa była tajemnicą, a jednak z ust do ust rozeszła się szybko po wsi i poszła na okolicę. Ludzie precz rozmawiali teraz tylko o kraju, gdzie katolikom z Polski dają tyle gruntu, ile go sobie kto życzy; opowiadano, że do Brazylii trzeba długo jechać, ale cała podróż i życie w czasie podróży nic nikogo nie będą kosztowały i ludzie wypoczną.

— Nie przyjęliby tam nawet takiego, coby pojedz chał swoim kosztem. — Mówili niektórzy, porwani urokiem odbycia bezpłatnej drogi.

- A jakby go przyjęli, toby mu przedtem zwrócili wszystko, co wydał.
- Szlachty w Bryzolinie nie chcą i nie przyjmują — wołał jakiś chłop.

— Im potrzeba czystych chłopów, pobożnego, katolickiego narodu...

Maryna teraz stała się rodzajem arcykapłanki, dzierzącej paladyum brazylijskiego szczęścia, zaś Matus Dzwonko był jej pierwszym ministrem. Od środy do niedzieli wrzało wszystko; aż w niedzielę ksiądz proboszcz wystąpił z kazaniem, w którym przedstawiał, że są we wsi ludzie nierozsądni, którzy lada komu wierzą, że po całym kraju chodzą oszuści, zwani agentami, i ci rozdają odezwy złudne, obiecujące złote góry, a w gruncie rzeczy bałamucące tylko lud i odwodzące go od uczciwej pracy.

Kazanie przemawiało do rozumu, lecz go nikt z dobrą wiarą nie chciał pojmować.

— Jegomość — mówili — umyślnie tak mówi, bo jak ludzie wyjadą do Bryzologii, to nie będzie kto¹/ t miał chodzić do kościoła. Ale my tam będziemia' mieli inny kościół, i bez księdza się też nie obejdzie, kiedy w BTyzologii są katolicy.

Kiedy jeszcze dziedzic i jego rządcą nagadali dworakom służącym, że to wszystko jest fałsz i oszustwo, wtedy nawet Wicek Strzała uwierzył w Bryzolię:

— Skoro tylko dwór odradza, to już trzeba ro- bić przeciwnie; bo oni tam wszyscy radzą zawsze na szkodę chłopską, a na swój własny użytek. Co będzie, to będzie, a do Bryzologii pojedę l

Wszyscy bezrolni, a i rolnych wielu, wybierali się do Brazylii. Jedni chcieli koniecznie dobić się do

J
i

nie robią. Wszystko jest odrukowane, jak przynależy. Juścić, kiedy oni mają tyłośny kawał ziemi i bogactwo, a narodu im brakuje, to co wart kraj taki? Jakośwa jeden w drugiego należyte chrześciany, więc mamy wiarę na świecie i słyniemy, choć też ta sami o tem nic nie wiewa. Moja rada taka: kto chce szczęścia popróbować, niech się zbiera w drogę! Czasu nie tracić na próżne gadanie, kiedy z gadania nic nie przyjdzie. Boga oto wziąć na pomoc i marsz do Bryzologii!

Po tój przemowie Matusa wszyscy nabrali jeszcze większój chęci i taka już teraz była gorączka wędrowania, żeby jćj nikt nie powstrzymał.

— Ale jak tu przejść granicę, kiedy żołnierze pilnują? — odezwał się chłop jakiś.

— Jak?... Juści w nocy, nie we dnie! — zawołał Matus. — Trzeba tak przejść, żeby nikt nie widział.- Czy to nićma przewodników, co nas przez granicę przeciągną? Sam nieraz do Prus chadzałem.

— No, a czy ztamtąd będzie jeszcze daleko? — ktoś znowu pytał.

— Jak się chłop wybiera w daleką drogę, to na początek tyło wie, którędy ma jechać do wsi drugićj, a reszta na końcu języka— odrzeknie Dąbek. — Jak daleko i którędy, powiedzą nam ludzie w Prusach.

— Kto to wić, co jeszcze być może? — rzekł Głodzikowski, drepcąc około Maryny.— Pobierzewa się, Maryś, albo co!...

A. DygMfwskt, Sa złamanie karku. 3

kawałka własnej ziemi, drudzy sądzą, że jej mogą. osiąść znacznie więcej. Kobiety z początku nawoływały mężów do stateczności; ale później zaraziła je także gorączka emigracyjna.

Przeszło miesiąc trwały przygotowania, rozmaite jawne i tajemne narady, posiedzenia u Bajczyńskiego. Nareszcie w ostatnich dniach października, w sobotę, zebrała się w karczmie duża gromada ludzi, aby postanowić termin opuszczenia Rokitnicy i obmyśleć sposoby odbycia podróży. Matus Dzwonko najlepiej znał odezwę Santosa, umiał ją całą prawie na pamięć, więc zabrał głos na zgromadzeniu w karczmie i tak przemawiał:

— Jużeswa wszystko o tej Bryzologii zgłębili, jak przynależy; różne mądre głowy przemyślały nad ową sprawą. Zwodzenia nijakiego być tu nie może; bo jakby nam gruntów rozdawać nie chcieli, to nie mieliby potrzeby o tem pisać; skoro zaś na piśmie obiecują i do siebie nas wzywają, więc musi być ważne. Kaj jest ona Bryzolia, to jest, a jechać tam trzeba; bez kozery tu do nas nie pisali i nie przysyłali agenta, który Marynie Grzędziance dosadnie wyłożył o tych gruntach. Toć jest na świecie siła przeróżnych narodów, a przecie nam ani frajcus, ani nie- miec, czy j anglik, nic nigdy nie obiecywali i po próżnicy nie zwodzili. Z jednęj tylko Bryzologii piszą do nas, musi za wiedzą Ojca Świętego, jako katoliki do katolików? to już tego darmo i na psotę jakowuś

— To najgorzej, że oto mam dwoje drobiazgu: jedno dwulatek, a drugie kwartału jeszcze nie ma! — wołała jedna z bab.

— Dzieciom ta podróż pójdzie na zdrowie! — rzekł Matus.— Pojedzie przez ciepłe kraje: do nas to idzie zima, a u nich ciągiem lato, mrozu nie znają, to dzieci w takim cieple będą rosły, aż miło.

— Żebyśta choć nie śpieszyli tak bardzo cały dobytek marnować! Można to gadzinę, czy statki jakie wysprzedać na poczekaniu? — powiada inna baba.

— My po dobytek jedzie do Bryzologii! — odrzekł Dąbek. — Co tutaj mawa, jest niczym w porównaniu z tamtym majątkiem.

— Widzicie, kumo — tłumaczy któraś kobieta— trza nam się duchem śpieszyć, żeby inni jacy w tam- tój Bryzologii co najlepszych grantów nie pozabierali.

Wtem się wrywa stary, siwy już chłop, Bartło- mić Kobylak; dokoła niego staje kupka ludzi, a on tak przemawia:

— Słuchałem tylko i nie odzywałem się na to> cośta mówili; ale widzę jako jest okrutna chęć na tę Bryzolię między ludźmi: może palec boży wskazuje i daje takie natchnienie. Wybierają się moi sąsiedzi, krewni, przyjaciele, to i ja sam tu nie zostanę. Niech się dzieje wola boża, biorę swoją starą i jadę do Bryzologii!

Na tćm zebraniu postanowiono, żeby każdy, kto

się paszcza w ową podróż, załatwił wszystkie swoje sprawy w ciągu tygodnia i ażeby w przyszłą sobotę, w dzień poświęcony Matce Boskiej ruszyć ku granicy.

Do przeciwników wyprawy należały teraz tylko dwie kobiety: Jagna, córka Marcina Głodzikowskiego, i Kaśka Dąbkowa, żona Mikołaja. Jagna przeciwiała się z powodu Maryny, która jej już dała, wniej odbiła zalotnika, Walka Kuca, a teraz znowu ciągnęła do siebie starego ojca. Dąbkowa zaś nie-rada była dalekiej drodze, bo miała aż czworo dzieci, najstarszy chłopak ośmioletni, a piątego się niedługo spodziewała. Mąż na to wszystko nie zważał: postanowił sprzedać parę mórg gruntu, chałupę i całą chudobę — co wziąć, to wziąć, a do Bryzolii koniecznie jechać.

—Oj, psia dusza, ta Maryna—mówiła Jagna do Dąbkowej, mając łzy w oczach.— Poprzewracała tak ludziom we łbach, że w całej Rokitnicy nikt nie ma rozumu!

— Żeby nas tylko Pan Bóg za to nie pokarał!— odrzekła Dąbkowa.

We czwartek każdy z przyszłych emigrantów prowadził na targ krowy, konie, świnie, wnosił resztki zboża, gęsi, kaczki. Jagna zanosila się od płaczu, ale zabrała z sobą dwoje starszych dzieci, najmłodsze zostawiła pod opieką sąsiadki i poszła do miasta wyprzedać krowy, świnie.

3.6

— Muszę iść mówiła — bo jak mnie tam nie będzie, to tatuś się upije i wszystko zmarnuje.

Zagroda Głodzikowskiego była piękna, co się zowie; rolę sąsiedzi zaraz rozebrali, zapłacili za nią nie drogo, ale i nie tanio; krowy i trzodę chlewną sprzedała Jagna bardzo dobrze, tylko na koniach porządnie orznęła Marcina.

Od tego jarmarku do soboty, nikt z emigrantów już nic nie robił. Wicek i inni parobcy porzucili służbę dworską, włóczyli się po wsi, kurzyli papierosy, pili wódkę i piwo, grali w karty, albo rajcowali.

Stara Grzędzina zupełnie uwierzyła w swoją eór-kę; posprzedawała do cna wszystko, co miała, zbyła chałupę, kawałek roli, gadzinę, oddała Marynie pieniądze i sama była gotowa do drogi już w piątek rano.

Nadeszła wreszcie owa sobota i już zaraz po południu zaczęli się ludzie wynosić z Rokitnicy. Stary Kobyłak ze swoją babą ukłękął pod krzyżem, co go był przed piętnastu laty ufundował przy drodze; modlili się oboje i płakali dobrą godzinę, a potem wstali i poszli za innymi.

We dworze rokitnickim nie pozostał ani jeden parobek, a dziewczki również rzuciły służbę i poszły na emigrację.

Matus wyznaczył na punkt zborny ostatnią wieś przed granicą pruską; znał on tam różnych przemytników i miał się z nimi ułożyć o cenę za

przeprowadzenie do Prus całej gromady. Zgodził dwóch takich po dwa ruble od każdej dorosłej osoby.

Pod wieczór zaczęli się zbierać ci emigranci z Ro- kijaiey — dorosłych było głów czterdzieści, a dzieci drugie tyle. Około godziny jedenastej, w ciemną noc z soboty na niedzielę, ruszyli z przewodnikiem ku granicy po przez pola i rozmaite wertepy. Ale potrzeba było ciszy jak największej, żeby strażnicy graniczni nic nie posłyszeli, a tu małe dzieciaki na rękach matek popłakiwały sobie w najlepsze. Dalejże im zatykać usta to piersią, to szmatą jaką. I tak szli, słowa nie mówiąc jedno do drugiego.

ROZDZIAŁ V.

Za granicami kraju.

Już dochodzili granicy, kiedy się rozległ głos strażnika; nikt nań nie odpowiedział. Puścili się już, gdzie kogo oczy poniosą, i gnali na przełaj; ale się rozproszyli w tej ucieczce i strażnicy pojмали najstarszego syna Marcina — chłopaka czternastoletniego, jako też dziewczuchę jedną, która straciła siły i padła na ziemię. Reszta do Prus przeszła.

Rozbici na małe gromadki, biegli różnemi drogami, a jedni o drugich nie wiedzieli. Głodzikowski, jego dzieci, Wicek Strzała, Maryna z matką, Dąbek z żoną i dziećmi wpadli na pole i ogrody jakiegoś Niemca, który ze służbą, z psami, uderzył na nich i bił niemiłosiernie każdego, kto mu pod rękę popadł. Właśnie Głodzikowski wlaźł na tego Prusaka i o mało życia nie stracił, tyle oberwał kijów; na szczęście

wpadł w jakiś rów głęboki, przyczaił się tam w błocie, a potem chyłkiem zmykał, jak mógł najzwawiej. Nie tak łatwo poradził sobie ten niemiec z Wickiem: chłop go porwał za bary, odebrał mu kij, ogrzmocił, skopał nogami, starzał w błocie i poszedł dalej. Najgorsze padło na Dąbkową: biedna kobiecina była brzemienna i ledwie się wlokła, niosąc na ręku małego chłopca, którego zawinęła w poduszkę, żeby nie zmarł. Gdy ją tam w polu dopadły dwa psy onego prusaka i poczęły szarpać za spódnicę, ona, w ogromnym rozgardyaszu, wypuściła dzieciaka z poduszki i nie spostrzegła tego zrazu. Maryna i jej matka przeszły lekką nogą, spokojnie, ile że Wałek Kuc niósł ich tobołki.

Nareszcie, poturbowani i zbiedzeni, poczęli się nawoływać, gromadzić: brakowało pięciorga.

Dąbkowa teraz w lament, zanosila się od płaczu i łkania; skłęła najprzód swojego chłopca od ostatnich, potem się rwała do Maryny i bić ją chciała; ale chłopci zasłonili przed napaścią dziewczuchę. Nasłuchiwała się tam Grzędziątka przekleństw i pomstowania od rozżalonej matki i Powtarzać tego trudno. Jagna też dołożyła swoje; jako straciła brata.

Na tym pierwszym wypoczynku, oprócz Matusa i Wicka, wszyscy jakoś posmutnieli. Znaleźli gospodę, najęli sobie izbę i jaki taki pokładał się, żeby wypocząć, a potem ruszyć do Brodnicy, najbliższej pruskiej stacyi kolei żelaznej, gdzie Matus obiecywał

wszystkim, że niezawodnie spotkają agenta z Bryzologii. Niektórzy się posilili, inni odmawiali pacierz, a w godzinę pó przybyciu wszyscy już spali, jak kamienie.

Kiedy się zbudzili, spostrzegli, że między nimi nie było Dąbkowój. Jagna zaraz wyjaśniła, jako Mikołajowa poszła odszukać uronionego chłopca.

Zrobiło się markotno ludziom, bo co tu począć?

W drogę należało się czempnąć puszczając, a znowu trudno kobietę tak samą jedną rzucić w cudzym kraju. Dąbek wziął kij w rękę i poszedł za babą; ale już w parę godzin wrócił, mówiąc:

— Gdzie tu szukać wiatru w polu? Bóg wie, gdzie ona dziecko upuściła, Bóg wie, gdzie je znajdzie!... Na dobrą sprawę, tom powinien z dziećmi tutaj zostać i na Kaśkę czekać. Oj, dobrze ona mówiła, że ta Bryzolia może nam się dać we znaki!

Tak mówił i złém okiem spojrział na Marynę, która sobie grzebieniem rozczesywała włosy czarne, długie aż do pasa.

Ale kiedy wszyscy z popasu ruszali w drogę, Dąbek też zabrał resztę dzieci i poszedł razem z innymi ku Brodnicy.

Zawczasu jeszcze przyszli na stację i Matus miał parę godzin wolnych, żeby się wypytać o agenta z Bryzologii, co ma ludzi przewozić. Posługacze kolejowi, którzy tam mówili po polsku, nic nie wiedzieli o żadnym takim agencie, wruszali tylko ra

mionami, opowiadali, że z Polski dożo narodu emigruje codziennie i zapytywali Matusa, przez co się to dzieje. On im nie umiał odpowiedzieć, bo sam nie wiedział dobrze. Jednego się Matus dowiedział od owych posługaczy: że kto chce jechać do Berlina, czy do Bremy, emigrant, nie emigrant, musi bilet w kasie kupić i gotówką za niego zapłacić.

Niezdługo tóż na stację w Brodnicy przybyła inna gromada emigrantów, którzy zaczęli opowiadać o swoich przygodach przy przejściu granicy.

— Zawsze lepiej — rzekł Matus — jak nas swoich więcej w kupie! Jeno to mi dziwno, że tego agenta nigdzie nie ma i za drogę płacić każą, a co innego przyobiecywali na piśmie.

Nie było innej rady, należało wykupić bilety czwartą klasy na przejazd koleją żelazną. Pokazało się teraz, że niektórzy z emigrantów nie mieli grosza przy duszy, bo jak im obiecywano, że podróż i życie będą mieli darmo, więc na to rachowali. Powybierały się w tę drogę chłopaki lekkoduchy takie po lat siedemnaście, ośmnaście, co to o niczym nie pomyślało.

Cóż było robić? Bada w radę, przyszło się zasnieszym złożyć i bilety kupić dla tych, co byli bez pieniędzy.

Jedni brali bilety prosto do samćj Bremy, drudzy tylko do Berlina, gdyż się spodziewali, że w Berlinie koniecznie musi czekać agent z Bryzologii i ten dalszą podróż ułatwi.

Dąbek ciągle na drogę wyglądał, czy jego Kaśka- nie nadbiegnie jeszcze z dzieckiem. Już w wagonie siedział, a głowę za okno wystawiał i upatrywał. Korciło go to, że tak babę porzuca, zwłaszcza gdy dzieci ciągle się go dopytywały:

—Tatusiu, kaj się Matusia zapodzieli ?

Pociąg ruszył nareszcie; ale przy wsiadaniu do wagonów emigranci z Rokitnicy tak się rozdzielili i pomieszali z innymi, że razem znaleźli się tylko: Grzędzina z Maryną, Głodzikowski i jego dzieci, Matus Dzwonko z rodziną swoją i Dąbek z dziećmi. Trzeba wiedzieć, że w takim wagonie jednym było czterdzieści kilka osób. Wszystko emigranci polscy.

Z początku nikt nic nie mówił, jeno się ludzie przyglądali jedni drugim. Aż tu jakiś chłop, bardzo już stary, w granatowym kaftanie, zdjął z głowy kapelusz, uklęknął przy swoim tłumoczku, przeżegnał się i zaczął głośno odmawiać. „Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga i Dziesięcioro przykazań”. Nikt słowa rzec nie śmiał, kiedy się ten starzec modlił. Dopiero, kiedy skończył pacierze, odwraca się on do ludzi i powiada:

—Jedziemy, ale jeden Bóg najwyższy wie, dokąd i po co!.. I ja jadę położyć stare kości między obcymi. Syn się uparł, ja mu pozwolić nie chciałem; zmówili się oboje z matką i mnie odjechali, syn, jedynak! Zostałem się sam jeden na świecie! Czy to

wyżyć człowiek tak może? Wlokę się za nimi; ale mi ta droga nie pachnie, aj nie pachnie!

Te słowa starego chłopca przeszły jakby mrowiem wszystkich, a on siadł, powiesił sobie różaniec na szyi i po chwili znowu zaczął:

—Ha, nowość ludziom smakuje! Myślą, że jest gdzie na świecie kraj taki, gdzie bez pracy i dolegliwości wyżyć można. Ale tego, moi kochani, nie znaj- < dziecko! Choćby też i był taki kraj szczęśliwymi tacy bezrobotni ludzie, cóżby to wszystko było warte? Ja się napracowałem, zrobiłem majątek, chciałem go zostawić dziecku, a dziecko mnie z majątkiem zostawiło... Żona z nim poszła, bo matka woli syna, niż starego męża. Teraz mi się dusza rwie do nich, rady sobie dać nie mogę. Sprzedałem wszystko, zmarnowałem swoją krwawą pracę i sam lecę za tym owczym pędem. Ośmdziesiąt pięć lat, jak obszył, skończę dziewiątego grudnia i jak waryat uciekam ze wsi, gdzie mój ojciec, dziad, pradziad, położyli kości! Niech Bóg ciężko skarże tych, co tak naród wyprowadzają od nas z kraju i rozganiają bet, na złamanie karku!

— No, a jeżeli też tam ludziom będzie lepić? • jeżeli dostaną grunta, zapomogę na gospodarstwo?...— odzywa się Matus.

— Człowieku, człowieku! — zawołał starzec. — Jesteś, widzę, już w statecznym wieku, masz kobietę, dzieci, tobyś powinien zrozumieć, że jeżeli chłopu co

darmo dają, jeżeli go na skraj świata po to ciągną, to ona darowizna musi być taka, że jćj już nikt wziąć nie chce. Mogą oto potrzebować chłopskich rąk do pracy, mogą za to lada czém zapychać gębę, byle człowiek z głodu nie umarł; ale prosty rozum mówi, co nic darmo nie dadzą, nie dadzą, jak Bóg na niebie!...

— Kto ta może wiedzieć, co jeszcze będzie? — jrzekł Głodzikowski.

— Nędza będzie, płacz i zgrzytanie zębów! — zawołał stary.

Matus zwiesił głowę na piersi, słowa starca wydawały mu się teraz taką prostą prawdą, że był zły w duszy na siebie, iż sam w Rokitnicy na tę myśl nie wpadł.

Jagna słuchała starogo z całą uwagą i ze złością spoglądała na Maęynę. Dąbek, który myślał, że już kara boża na niego spada za tę emigracyę, skoro mu zginęła baba i dziecko, westchnął ciężko i rzekł:

— Święte są słowa tego człowieka! Że też to w naszćj wsi nikt tak nie umiał ludziom do rozumu przemówić!...

— Choćby i przemówił, tobyście go nie byli posłuchali ! — powiedział starzec. — Powiadam wam, że nasz naród jest akurat taki, jak owce; jeden wpadnie w ogień, wszyscy za nim idą. W swojćj wsi dosyć ja się nagadałem: tłómaczyłem im, wykładałem,

prosiłem, czy mię usłuchało choć jedno? Czy mię rodzony syn zrozumiał?

— Słyszysz ty, Maryna, co ten człowiek mówi? Może to i prawda? Aż mię ciarki przechodzą, jak pomyślę, że my tak na zgubę leciewa! — rzekła do córki Grzędzina.

— To czemuście w domu nie zostali? Ja przecie nie napierałam na was, ani nie niewoliłam! — odpowiedziała Maryna ze złością.

— Kto ta może wiedzieć, co jeszcze będzie? — odezwał się Głodzikowski.

Zrobiło się w wagonie cicho, zapalono światła, i emigranci, gdzie kto mógł, do snu się pokładali. Matusowa prawą ręką przyciskała do siebie jedno dziecko, lewą — drugie i, kiwając się, drzemała. Ta kobieta wierzyła w rozum swojego męża, mówiła zawsze:

— Musi tak być dobrze, jak Matus powiada.

Dąbek porozkładał troje swoich dzieci na ziemi, poprzykrywał je, choć w wagonie było duszno i parno, a sam na rękach oparł brodę i o czemś się zamyślił. Jagna też poprzytulała do siebie dzieci, namawiała je, żeby spały, poprawiała ciągle to jedno, to drugie, czasem im dawała popić mleka z blaszanki, jeśli które popłakiwało. Głodzikowski rozwalił się na ziemi, miał już trochę w czubie, bo ciągle popijał z flaszki, wyciągnął nogi przed siebie, a głowę oparł o ścianę wagonu i zasnął twardo. Maryna mrużyła

■oczy, ale nie spała, co chwila poprawiała coś na sobie.

Od czasu do czasu wpadał do wagonu krótki, pękaty konduktor, uśmiechał się poufale do ludzi i pytał po niemiecku:

—Lebt hier Allest

Nikt mu nic nie odpowiadał, bo nie wiedzieli, •o co chodzi; niektórzy myśleli, że on sobie każe bilety pokazywać, to je przecz dobywali, a on wołał:

— Na, na! — niby, że nie o to chodzi.

ROZDZIAŁ VI.

Przygoda Matusa Dzwonko.

Nad ranem dojechali do Berlina, ale tam tyle banhofów, że Indzie nie wiedzieli, gdzie wysiadać, a poradzić się konduktora nie mogli, bo nikt nie rozumiał po niemiecku. Dowieźli ich do ostatniej stacji w Szarlottenburgu i konduktor zaraz zaczął wypraszać z wagonów bez ceremonii, wołając: „Weg, weg, Alles weg!”^a Co znaczyło, żeby się wynosili. Wysypała się ogromna gromada ludzi i poczęto ich zaganiać, jak bydło, do jednych drzwi. Jakiś kulawy sługa kolejowy razem z policyjantem spędzili to mnóstwo ludzi w jedno miejsce, potem otwarli drzwi i kazali emigrantom iść za sobą. Co tam był za ścisk, niech Pan Bóg broni! Popychali się, bili kułakami, dzieci beczwały, inni ludzie klęli, wrzeszczeli. Pędziło to po schodach na dół do ogromnej izby, wyznaczonej na czekanie i wypoczynek dla emigran-

tów — „Wartesaal fur Anstoanderer." W tym nadzwyczajnym rwetesie stara Grzędzina upadła na ziemię, a ludzie, jak bydło, walili przez nią i deptali starowinę. Zaczęła wrzeszczyć w niebogłoso, aż policyant przypadł i ledwie ją wydobył z tłoku pogniecioną.

W tej wielkiej izbie stał ogromny piec żelazny, palił się w nim ogień; wielu się do niego rzuciło, bo zziębli przez drogę; a byli i tacy, co mieli przy sobie kartofle i zaraz je. piec poczęli w ogniu. Smutno wyglądała owa wielka izba, ile że mało w niej było światła.

Jak się tylko cokolwiek uciszyło, zaraz ten stary chłop w granatowym kaftanie, co to w wagonie bił tak na emigrację, począł na głos śpiewać! „Kto się w opiekę poda Panu swemu". Niektórzy też za nim śpiewali z cicha.

Trudno się tu było przespać, bo hałasowali, chodzili, inni dobyli flaszek z wódką i popijali; Bóg wie, jakie narody tam się zebrały: żydzi i słowaki z Węgier, czesi^ polacy z pod Tarnowa, Rzeszowa, Cieszyna, nasi z różnych gubernij. Przychodzili też tam jacyś panowie już nad ranem, zapytywali o coś; ale tylko ci z nimi rozmawiali, co umieli po niemiecku. Osobliwie jeden taki przyszedł z trzcina w ręku, w wysokim czarnym kapeluszu; zaraz się do niego podsunął Matus, bo sobie myślał, że to musi być. agent z Bryzologii. Ale cóż Matus mówi do niego po

polsku, a on tylko — „toaa, was?”ⁿ A no, znalazł się jakiś rzemieślnik z Białegostoku i zaczął z tym panem szwargotać. Nikt nite rozumiał o czym mówili, jeno on pan wydobył z kieszeni jedną, drugą garść kartek i rozdawał je każdemu, kto wyciągnął rękę. Wrywali sobie ludzie takie kartki: myśleli, że co ważnego, a na kartce stało tylko napisane: — „Bre- men, Hotel Stadt WąrszcJuzuu dołu zaś: Po przyjeździe do Bremen, trzeba na banhofie głośno wołać:— Rosengarten! dopóki kto nie przybędzie”. Matus pochwylił aż dwie kartki i obie schował w zanadrze. Potćm poszedł do owego rzemieślnika i pyta, jakie znaczenie mają te kartki.

— Jak nie wiecie, gdzie w Bremie się obrócić— powiada rzemieślnik — to u tego Rosengartena znajdziecie gospodę — stół i stancję.

— Czy on to ludziom darmo daje?

— Tego nie wiem — odpowiada rzemieślnik — ale chyba za pieniądze, bo gdzieby wam kto darmo jeść dawał.

— A nie wie pan, czy tu jest jaki agent z Bryzologii?

— Nie, takiego nie spotkałem.

I to jeszcze Matusa nie zraziło.

— Muszę ja — powiada on sobie — puścić się na przespīgi, bo to mi się nie mieści w głowie, żeby z tą Bryzolią miała być zdrada; agenci jacyś koniecznie tu gdzieś czekać na nas muszą.

A. Dygasiński.—Na złamanie karku. 4

Już było rano dobrze po ósmej godzinie, kiedy Matus Dzwonko wyszedł z izby emigranckiej, stanął sobie na boku, rozgląda się, patrzy w stronę jednej ulicy i potem ruszył naprzód kilkanaście kroków, obejrzał się i znowu poszedł dalej jeszcze: przyglądał się wysokim, bardzo pięknym domom. Naraz ktoś go trącił w ramię i spytał po polsku:

— Az których to stron ojciec?

Nie wiedział chłop, czy ma powiedzieć prawdę, tak się przygląda temu, co go zaczepił, widzi, że człowiek należycie przyodziany, ma nawet złotą dewizkę przy zegarku, a z oczu mu dobrze patrzy.

— Oj, ja zdaleka, mój panie! — mówi Matus.

— Zkądże przecie? Ja znam całe Królestwo dobrze.

— Toć z pod Rypina.

— Qho, z pod Rypina? To moje rodzinne strony!... A jakże wy się nazywacie?

— Matus Dzwonko.

— Jeżeli się udajecie na emigrację, nazywajcie się Mateusz Dzwonkowski — rozumiecie? Tak lepiej pasuje dla porządnego emigranta.

— Mnie to wszystko równo—odrzeknie Matus— niektórzy to mnie i w Rokitnicy Dzwonkowskim mianowali.

— Mój gospodarzu —• mówi znowu ten nieznajomy — ja od piętnastu lat żyję między Niemcami* bardzo mi przyjemnie spotkać rodaka — Polaka.

—Ja też, proszę łaski pana, kiedy posłyszę tutaj, że kto po naszymu mówi, to tak, jakby mnie po sercu pogłaskał.

—Zróbże mi przyjemność, kochany rodaku — rzeknie ów człowiek - pójdz wypić ze mną szklankę piwa!

Matus się zgodził. Poszli ze sto kroków dalej i wstąpili do jakiejś gospody, gdzie im zaraz podano piwo w bardzo wysokich szklankach. Siedzą i piją, a gwarzą.

—Powiedzcież mi teraz, moi kochani, dokąd to tak jedziecie?

—Ha, wybrałiśwa się do Bryzologii, gdzie pono chłopom grunta rozdają, a jakby kto gruntu nie chciał, to tam i tak obstoi, bo będzie miał tęgi zarobek.

—Do Brazylii? Dobrze robicie, bo to kraj ogromnie bogaty. Ho, ho, Brazylia — to nie to, co Polska!

Zrobiło się Matusowi rażni ćj na te słowa i począł przed nieznanym szczerzćj jeszcze otwierać swoją duszę.

—Widzi pan — mówił — ja się z nikim nie mogę rozmówić i przez to mi tak trudno w drodze. Mówi kto obcy do mnie, ja otwieram tylko gębę i patrzę, a mówię ja do człowieka, to on jeno głową kiwa. Pewnikiem tu jest gdzie agent z Bryzologii, jeno ja się o niego nie dowiem, a choćbym się i dowie-

4*

dział, co mu powiem, kiedy on też pewnie po naszymu nie zrozumie.

— Agent z Brazylii musi być, rozumie się! Ja wam go znajdę i przyprowadzę tam na banhof, zanim odjedziecie. Niema się z tem co śpieszyć, bo pociąg do Bremy odchodzi dopiero około pierwszej: więc wypijemy jeszcze piwa, przyjacielu Mateuszu!

Wypili coś po cztery szklanice, tręcali się ze sobą, a ten jakiś powiada, że podług niemieckiego zwyczaju sznapsa się pija po piwie. Wzięli się oni do sznapsa, do koniaku takiego; wypili po jednym, drugim kieliszku i dalejże się ścisnąć, bo pili na przyjaźń. Naściskali się dowoli, nacałowali; ale Matus był na czczo, niewyspany, zdrożony, tak mu to picie nie poszło na zdrowie, jeno go całkiem z nóg ścięło. Płatał mu się już w końcu język tak bardzo, że nikt nie rozumiał, co chłop mówi.

Nareszcie ten nieznajomy się żegna i powiada:

— Mój Dzwonkowski, idź-że teraz na banhof i czekaj, a ja tam sprowadzę tego agenta z Brazylii! Za piwo i koniak płacić nie trzeba, bo ja już rachunek zaspokoilem. Skoro ten poszedł, więc i Matus nie miał tu już co robić. Cóż kiedy się na ulicy nie mógł pomiarkować, która droga prowadzi do banhofu.

Pyta jednego, pyta drugiego—na nic, oni ruszają ramionami i idą dalej.

— Jezus, Marya, Józefie święty! — mówi Matus

sam do siebie. W takim kraju człowiek zginąć może. jak mucha.

Biedził się, łąził i znowu przyszedł do tej samej gospody, gdzie przed chwilą pił piwo i koniak z o- wym rodakiem. Staął, drapie się w głowę, a o mało nie zapłacze z desperacji. Pytają go, o co chodzi, ale wszystko po niemiecku. Tak on ju? zaczyna na migi pokazywać: nadał gębę i brzucha, że niby na kolei żelaznój para tak bucha, a rękami precz pokazywał, jako mu jechać należy i wołał: „Bryma, Bryma!”

Niemcy się tam z niego uśmieli, jeno zrozumieli nareszcie o co chłopu chodzi. Zaraz mu sprowadzili jakiegoś człowieka i Matus za nim poszedł. Jeno się zawinęli i już byli na banhofie, aż się Dzwonko zdzi- wił, że tak blisko, a trafić nie mógł. Dał temu przewodnikowi za fatygę trojaka, albo, jak niemcy mówią, dziesięć fenigów. Przetrzeźwiał też już teraz nieco i przyszło mu na myśl, żeby się obmacać, czy ma pod koszulą torbę z papierowymi pieniędzmi. Aż oniemiał, bo torby nie było; pomacał się lepićj raz; drugi i trzeci—nićma. Rany Boskie! toć to majątek cały, co go wywiózł z kraju!... Cicho się Matus sprawiał w swoim strapieniu, bo uważał, że w ta- kiem zbiegowisku nićma co lamentu podnosić. Zaraz się puścił, pobiegł tą samą drogą, którą przyszedł, upatruje, czy gdzie nie leży jego zguba. Wszedł znowu do gospody, w którój pił, pokazuje, że

zgubił pieniądze; otoczyli go, wypytuja, zrozumieli, o co idzie, pokazują mu na migi, że go musiał okraść ten nieznajomy, co mu fundował piwo i sznapsa.

Ha, stracił przeszło trzysta rubli, bo za tyle kupił marek u żyda w Brodnicy, a złotem i srebrem miał jeszcze w kieszeni za jakie pięćdziesiąt rubli pruskich pieniędzy. O mało mu się teraz co dziwnego nie stało. Co uszedł kilka kroków, to przystawał, szukał około siebie — w cholewach i wszędzie. Przetrzasał na sobie odzież — nie znalazł. Zgryzł się, zmartwił, aż zzieleniał, chwiał się na nogach. Idzie blady taki, jak trup, i spotyka po drodze Grzędziankę; ona się wyelegantowała, szła tak spacerem, a w ręku trzymała piernik, co jej go kupił Walek Kuc i chrupała.

Stanęła, bo chciała widać z Matusiem pogadać

I pyta:

— Gdzież wy się, Matusie, podziewacie od samego rana?

Dzwonko nic zrazu nie odpowiedział, tylko się zatrzymał chwilę i spojrzał na dziewczynę takimi straszonymi oczyma, jakby ją chciał nawskróś przewiercić, a potem ze złością okrutną warknął:

— Bodaj eś się ty była nie urodziła na świat, małpo jedna!

Strapiło to Marynę, jako jej jeszcze nikt w życiu nie powiedział takiego złego słowa. O mało nie

upuściła z ręki tego piernika, co go trzymała i jadła ale zniosła to srogie przekleństwo i poszła dalej.

Właśnie też zaczęto ludzi nawoływać, żeby wsiadali; Matus miał już bilet do Bremy dla siebie i dla swoich, więc już pobiegł tylko do baby, krzyknął na nią, żeby się zbierała z dziećmi, zabrał różne pakunki i usadowił się z rodziną swoją, jak mógł. O zgubionych pieniądzech słówka nikomu nie pisnął, tylko się truł sam w sobie.

ROZDZIAŁ VII.

Od Berlina do Bremy.

Posiadali w wagonach różnie, ale w jednym wagonie znaleźli się razem: Grzędzina z Maryną, Głodzikowski z Jagną i resztą dzieci, Walek Kuc, a inni byli obcy ludzie z różnych gubernij naszego kraju. Matka Maryny od tego podeptania w Szarlotenburgu ciągle stękała, narzekała na ból w głowie, na klócie w piersiach.

— Pewnie ja nie dojadę do tego miejsca, gdzieśmy się wybrali! — mówiła. — Maryś, poślij-że też choć na mszę świętą za moją duszę do księdza w Rokitnicy.

Ale Maryna jak mruk siedziała przy matce na zawiniątku z pościelą i nic się nie odzywała.

Asystował jej Walek, zagadywał to i owo — nic mu nie odpowiadała, ścięła jeno usta, jak martwa. Siedział też po drugiej stronie przy niej Głodzikow-

ski, czuć było od niego gorzałkę, tak Grzędzianka odwracała głowę, a on się od czasu do czasu przysuwał ku niej i mówił:

— Kto ta wie, co jeszcze być może?

A nie, to się jój pytał:

— Cóżes ty, Maryś, tak skiepsciała?

I potem wydobywał z kieszeni kapoty flaszkę, podawał ją Grzędziance: — „Posmakuj — rzecz — bo dobra, miętowa”... Dziewczyna odpychała jego rękę, wtedy sobie wkładał szyjkę flaszki w usta i łyknął kilka razy — splunął, schował butelkę i usypiał.

Jagna też z rodzeństwem swoim siedziała na tobołku z pościelą, jeno od Maryny ciągle odwracała głowę, a jak na nią czasem spojrziała, to gorzej jaszczurki. Parno i duszno tam było w wagonie; dzieci napierały się wody, a Jagnie nijako było wyjść, kiedy pociąg przystawał, tak trąca ona ojca i powiada:

— Moglibyście skoczyć, i przynieść dzieciom wody.

— Go im tam po wodziel — rzecz Głodzikowski... Daj im oto po odrobinie wódki! — Mówiąc to, podał Jagnie flaszkę; ale dziewczucha nie przyjęła, łyknął dobrze sam, aż się zakrztusił, potem wyciągnął przed siebie obie nogi, oparł głowę o ścianę wagonu i zaczął ogromnie chrapać. Spoglądali na niego ci obcy ludzie, uważali, że się upił, i jaki taki robił sobie z chłopa pośmiewisko. Korciło to Jagnę, że

ojciec przez swoje pijaństwo śmiech w ludziach budzi, więc sobie jedną ręką przysłoniła oczy i zapłakała w cichości. Nikt tam tego nie uważał, jeno Wałek spostrzegł jakoś płacz dziewczuchy. Tchnęło go to do żywa, tak na jednej stacyi pochwycił blaszankę, wybiegł z wagonu i przyniósł dzieciom Głodzikowskiego wody.

Nie spodziewała się po nim Jagna takiej uczynności, bo od tego czasu, jak ją rzucił dla Maryny, tak byli ze sobą, jakby się całkiem nie znali, chociaż ona zawsze dla niego miała serce, ile że się jej żaden inny zalotnik nie nastęrczył. Powiedziała mu za tę wodę „Bóg zapiać” i zaraz też poczęli ze sobą gwarzyć.

— Czy ty wiesz, kaj my jedziewa? — pyta się go ona.

i

— Zkąd mam wiedzieć? Pono po grunta do jakiejś Bryzologii; alem, prawdę mówiąc, nigdy nie zrozumiał, kto to daje i gdzie jest ta Bryzologia. Juści jadę bo inni jadą.

— To akurat i ja tak samo! — odrzekła Jagna, a potem cichym głosem mówiła: — Tatusz oto zmarnowali całe gospodarstwo, sami nie wiedzą, co robią i dokąd się wloką... Oj, jeśli tak nieboszczka matusia patrzy z nieba na to, co się dzieje, dopiero jćj się musi serce krajać! Z temi słowy Jagna ciężko westchnęła.

Nie wiedział Walek, co ma rzec na te żale dziewczyny, tak zagaduje:

— Będziewa ponoś jechali przez morze, a dwa dni w tej drodze wrząca woda będzie aż kipiała, jeno nam się nic nie stanie, bo znowu z góry deszcz się zimny poleje...

— Miłosierdzie pańskie! A czyś ty kiedy widział morze?

—Gdzie znowu! Tyla od jednego oryla słyszałem, że morze jest za jakimś Gdańskiem.

—Wszyscy jesteśwa, nieprzymierzający, jak ślepi-

— Juści prawdę powiadasz.

— Mówię ci szczerze, gdyby nie te sieroty małe, co potrzebują opieki, toby tu noga moja nie powstała, niechby sobie tatuś sam pojechał! Ale matusia konała już, a zapowiadała mi: Pamiętaj Jagna, o najmniejszych dzieciach, bądź dla nich matką!

W tój chwili właśnie Głodzikowski na bok się przewracał, bo mu źle było spać, i flaszka z gorzałką jukoś mu się z kieszeni wysunęła na ziemię. W wagonie śmiech z tego powstał i różne docinki, żarty dały się słyszcć ze śpiącego pijaka. Markotno się zrobiło Jagnie, poskoczyła ze swego tobołka, chwyciła flaszkę z wódką i wyrzuciła za okno.

Maryna kiedy spostrzegła, że Walek coś o nią ani pyta, tylko od niejakiego czasu do Jagny się garnie, zaczęła się wiercić na siedzeniu, bo jój to było nie na rękę. Chciała go do siebie zwabić na rozmowę;

udawała, że jej potrzeba wody, to znowu, że chorąg matce chce posłanie dobre urządźć. Ale on ani spojrział na te zabiegł, nie pomógł jej, jeno precz z Jagną rozmawiał:

— Co też tam moi robią teraz w Rokitnicy? — powiada. — Tatusiowi tom się nawet nie opowiedział, tylkom matusi wyznał i było jej okrutnie markotno, że się puszcza w taką drogę.

— Wiesz ty, że mnie dziwno, po co ty jedziesz? — mówi Jagna. — Czy tobie potrzeba gruntu? Jedynak jesteś u ojców, po najdłuższćm swćm życiu zdadzą ci piękne gospodarstwo, a tam niewiadomo, co kogo czeka... Niektórzy ludzie źle wróżą o tej JBryzologii.

Walek, chcąc nie chcąc, rzucił okiem na Marynę, bo juści za nią on, nie za żadnym gruntem gonił tak po świecie; może mu ta obiecała, że za niego pójdzie w Bryzologii. Jak się teraz zastanowił nad sobą, to mu dziwno było, że z ojcowskiego domu uciekł jak złodzieć; zdawało mu się nawet, co dla Maryny nie ma już teraz takiego serca, jak przed- tćm; pomyślał sobie, że na żonę Jagna była lepsza dla niego.

— Toć mi do rodziców będzie tęsnko — powiada — osobliwie, jeśli tak ciągle będziemy jechali przez •obce kraje, gdzie w żaden sposób nie można zmiarkować, co ludzie mówią. Człowiek nieśmiały jakiś, wszystkiego się boi.

Oni tak rozmawiają, a tu stara Grzędzina stęka i prosi, żeby ją kto podniósł na posłaniu, bo jej ciężko oddychać. Zaczęła starą niby to dźwigać Maryna, ale nie szło. Dopiero Wałek zabrał się do tego, dźwignął kobietę z legła, podłożył jej pod plecy poduszkę, tak że mogła wygodnie siedzieć i przestała na bóle wyrzekać.

Jak tóż szczęśliwie dostał się Wałek Grzędziance, tak go już nie popuściła od siebie; umiała mu jakoś spojrzeć w oczy, wyszczerzyć do niego zęby, że całkiem przy niej stajał, jak śnieg w słońcu. Zapomniał o Jagnie, o rodzicach w Eokitnicy, patrzył w Marynę, jak w tęczę i do niej się zalecał.

Rozmawiają oni sobie oboje, na Jagnę aż ognie biją, ho jćj Maryna widocznie znowu odbiła Walka, a tu się obudził Głodzikowski i maca po kieszeniach, szuka flaszki z gorzałką, widzi, że nigdzie niema, tak zapytuje:

— Maryś, czyś to ty psotę mi zrobiła? Powiedz szczerze: schowałaś moją flaszkę z gorzałką?

— Dajcie wy mi spokój z waszą gorzałką! — odrzekła Grzędzianka i aż się skrzywiła na starego. — Nie miałabym tóż co robić, jeno wam gorzałkę chować! A mnie co do was? Pijcie, nie pijcie — wszystko mi równo.

— Powiedz-że, Maryś, powiedz, możeś schowała? — rzeknie Marcin, uśmiechając się do Grzędzianki. Przysunął się do dziewczyny i wpół ją

objął rękoma; ale ona go odepchnęła ze złością, mówiąc:

— Idźcie sobie stary odemnie, niech wam się figlów nie zachciewa!

— Stary, ale jary, o jary! — zawołał Głodzikowski i roześmiał się na całe gardło, a potem znów rzecze: — Jak nie ty, to kto śmiał zabrać moją flaszkę z gorzałką?... Jagna, to ty? mów zaraz, gdzie flaszką!

— Bójcie się Boga, tatusiu, nie róbcieź sobie i mnie wstydu! — upominała go dziewczucha po cichu.

— A ty zatracona, jedna! — krzyknął Głodzikowski. — Rodzonego ojca będziesz uczyła rozumu? — I porwał się do córki, ale utknął na jakimś tobołku i padł, jak długi, między kupe dzieci, które się pobudziły, a ze strachu i bólu zaczęły wrzeszczyć.

Rozzłościło to bardziej jeszcze Marcina, podniósł się z ziemi i chciał Jagnę za włosy pochwycić. Zaraz na to poskoczył Walek, wziął wpół Głodzikowskiego, łagodził go słowami:

— Po co wy, Marcinie — powiada — wyrabiacie niepotrzebnie takie brewerye? Toć tutaj obcego narodu pełno i pośmiewisko sobie z was robią! — Musiał już teraz Walek strzedz znowu Jagny, bo się stary rwał ciągle i przysięgał, że córkę zbije na kwaśne jabłko.

Przyszło znowu do rozmowy i tak jakiś czas czuł Walek, że mu się Jagna podoba. Są takie parobki,

<50 sami nie wiedzą, którą sobie dziewczynę lepiej upodobali: raz im się ta podoba, a drugi raz inna.

Jak znowu wszedł do wagonu konduktor, spojrzał Głodzikowskiemu ostro w oczy i powiedział: „StillP to się stary uspokoił zupełnie; wtenczas Walek przy- siadł się do Maryny i aż do samej Bremy jej się zalecał.

ROZDZIAŁ VHI.

Wicek siQ stawia za gromadę.

Było jasno, jak w dzień, na dworcu kolei w Bremie, kiedy tam przybył pociąg z emigrantami około północy. Konduktor co chwila otwierał drzwiczki któregoś wagonu, wykrzykując:—„Bremen—ausstei- genP Wysypało się mnóstwo ludzi z dziećmi, z pakunkami w rękach i na plecach; tłoczyło się to, pchało bez żadnego porządku, aż ich znowu służba kolejowa poczęła zaganiać, prowadzić po jakichś schodach to na dół, to do góry. Sprowadzono ich tak na duży plac, gdzie dopiero przystępowali do nich rozmaici ludzie i zapraszali na nocleg do gospód. Niektórzy emigranci pokazywali karty, które podostawali w Berlinie, więc takich zabierano i prowadzono w miasto.

Matus bo nawet nie wydobyl dwóch swoich kart, zapomniał o nich, tak go trapiła strata pieniędzy*

Na płacu została się duża gromada ludzi, a ci, którzy byli z Rokitnicy, skupili się teraz razem. Podchodzi do nich jakiś człowiek i powiada po polsku:

— Chcielibyście pewnie gdzie przenocować?

— Juścić, po takiej drodze każdy chce jakiego dachu! — odzywa się Wicek Strzała.

— To pójdźcie za mną! — rzeknie tamten. — Zaprowadzę was w dobre miejsce.

On naprzód, a ci za nim maszerowali, jak wojsko. Niedaleko ich prowadził: wszedł do jednego domu do sieni, zapukał tam do drzwi, ktoś wyszedł i słychać było tylko „szur, szur”, jakieś szwargo- tanie.

— Chwała Bogu — powiada Wicek — w tej Brymie mówią widzi niektórzy po polsku.

Potem wprowadzono emigrantów na podwórze, otwarli im jakąś izbę, nasłali tam słomy, siana i zostawili ich samych. Jaki taki poziewał, przeciągał się, padał zaraz na posłanie, jak kloc drzewa. Kto miał rodzinę, zabierał plac na kilkoro i tam się kwa? terował, a ci, co byli sami jedni, legnęli po różnych kątach.

Nic dziwnego, że po takich tarapatach od samćj granicy każdy się zagrzebał w barłóg i odrazu zasnął twardo, jeno małe dzieci czasem pokrzykiwały.

Zbudzili się, już był biały dzień, a niejednemu dobrze w kiszkach kruczało z głodu, więc czekali, co dalej będzie. Niezadłago tóż wszedł tam do nich chło-

A. Dygasiński. Na złamanie karku.

pak spory w szpencerku kusym, niemiec, przyniósł kociołek z gorącą kawą i w koszyku pełno białych garnuszków, za nim przyszła znowu dziewczyna, także niemka, przyniosła kilka bochenków chleba.

Emigranci zaraz zmiarkowali, że to śniadanie, rzucili się na ten kociołek, na chleb, brali, co kto mógł, i jedli zapalczywie. Nadchodzi gospodarz, spostrzegł, że jedni jedzą dużo, a drugim braknie, tak krzyknął— „pst, pst!” Nie umiał on po polsku, jeno ludzie i tak zrozumieli, że ten gospodarz chce zrobić podział śniadania. Sam zaczął chleb krajać, nalewać kawę, kolejno rozdawać; zbrakło mu, bo niektórzy po trzy porceje brali, a on się nie mógł spostrzedz. Kazał przynieść więcej — znowu rozdał; ale różni precz się skarżą, że mało. Baby, dzieci — pół biedy, zjadły swoje i nic nie mówią, jeno chłopci strasznie wyrzekają:

— Cóż to znaczy na człowieka trochę tych pomyj i choćby nawet pięć takich kromek chleba, co przez nie świat przejrzeć można! — woła Wicek, a za nim inni.

Stają przed owym gospodarzem i mówią mu:

— Mało Bród, mało kawy! — A na brzuchy pokazują, jako są głodni.

Niemiec się roześmiał, powiada: „gut^ gułP Że niby gotów dać więcej, tyła im ręką pokazuje, że trzeba „bezahlen”.

dopiero Wicek otworzył gębę szeroko.

— Kiedyście nas tu sprowadzili, to jeść dajcie, judasze; nie mórzcie narodu głodem, odmieńce jakieś!

Choćby tu i gorzój był nakłął, to jakby groch na ścianę rzucał, bo niemiec wytrzeszczał tylko ślepie i kiwał głową, że nie rozumie. Ale i tak kazał nago- tować kawy, a chleba znowu dał do tego. Zjedli, posilili się — niczego.

Przyszedł tam potem ów przewodnik, co ich wczoraj przyprowadził z kolei na gospodę, z ludźmi rozmawiał po naszemu, a z gospodarzem szwargotał. Teraz dopiero niemiec przyniósł jakąś księgę i powiada przez owego tłumacza, żeby się każdy podał z imienia i nazwiska, bo taki jest tam po gospodach obyczaj, że każdego zapisać trzeba.

Niektórzy się wagowali; ale inni precz mówią jak się nazywają, zkad są, dokąd wędrują, a kto miał żonę i dzieci, to je też podać musiał. Przychodzi kolćj na Wicka, ten się stawia, powiada:

— Cóż mnie mają zapisywać ? Czym ja kogo okradł, albo spalił? Do mojego nazwiska nic nikomu.

Tak mu ten tłumacz przedstawia po polsku:

— Nie upierajcie się, bo każdego zapisać muszą! Po innych gospodach ludzi takóž spisują...

— A zkądżeście wy ? — pyta Wicek tłumacza.

— Ja jestem z pod miasta Koła—tamten odrze- cze.—Dawniçj byłem na robocie w Prusach, jeno mię potem razem z innymi polakami wypędzili. Jadę

takoż do Bryzologii, a przez to sobie eoniebądź zarabiam, że mię po gospodach za tłómacza biorą, bo- niemcy z polskim narodem do końca trafić nie mogą.

— Kiedy tak powiadacie, to niechże mię zapiszą: Wincenty Strzała z Rokitnicy, powiatu rypińskiego, fornal dworski! A pamiętajcie sobie, że jakby w tćm była jaka zdrada, to was tylko będę patrzył.

Po tym zapisie zapytuje znowu gospodarz, czy oni mają pieniądze.

— Jemu zaś co do tego? — odrzeknie Wicek. — Kto ma, to dla siebie, jemu się nie będzie spowiadał.

— On chce wiedzieć — odrzeknie tłómacz — bo wam przecie daje pomieszczenie w swoim domu i życie, za co mu musicie zapłacić.

— Przodiy nam Wicek, przoduj, staw się za nas! — wołali ludzie.

— Ho, ho, piękna, widzę, ta Bryzologia!... — zawołał Wicek. — Toć nam napróżno przyobiecali, że przejazd i życie będzie za darmo.

— Nie będę tego rozsądzał — powiada ten tłómacz z pod Koła—nas tćż przyjechała spora gromada i stojewa tu naprzeciwko; ale precz każą płacić po marce i pięć trojaków od głowy. Musieliśwa z góry za dziesięć dni złożyć pieniądze gospodarzowi, jacy na małe dzieci baczą i dorzucają na nie eoniebądź strawy bez płacy, starszemu zaś nikomu nie spardonują.

— Ja nie mam na to! — rzeknie Wicek.—Niech za mnie płaci kto chce, bo ja nie myślę. Czym ja to

■dlatego rzucił służbę i wieś swoją, żebym miał pieniądze rozrzucić po, świecie? Niech sobie znajdą - tego, co nas zmaniał i>z Rokitnicy wyciągnął!

— To was ten gospodarz nie będzie trzymał u siebie.

— A niech nie trzyma, kto go o to prosi ? Po cóż nas tu z banhofu ściągnęli ? Czy po to, żeby z nas ostatni grosz wyżyłować?

Oberżysta zapytał tłumacza po niemiecku, co Wicek tak dowodzi, a tłumacz wszystko wyłożył.

Niemiec pomyślał i odpowiada, że jakby inni regularnie za wszystko płacili, to on jednemu takiemu, co nic nie ma — niby Wickowi -- pofolguje i będzie go na gospodzie za pół ceny trzymał.

— Ani takiój łaski od niego nie potrzebuję ! — powiada Wicek. — Skoro mnie w Polsce przyobiecowali, że mam mieć wszystko za darmo, to mi się za darmo należy — inaczéjby tu nie przywędrował.

Nareszcie gospodarz już i na to się godził, żeby Wicek jeden nic nie płacił, byle mu inni płacili pół- toréj marki od osoby. Ale kiedy emigranci spostrzegli, że się Wickowi tak gładko udało, to się także do płacenia nie chcieli zobowiązać.

Skoro o tém posłyszał niemiec, wpadł w złość okrutną i tak trzasnął o stół kałamarzem, że atrament prysnął na około po twarzach ludzi. W tym gniewie kazał im powiedzieć, żeby się zaraz od niego wynosili.

— No i cóż wy teraz na to ?—mówi Wicek, spoglądając to na Marynę, to na Matusa. — Gdzież te wasze gruszki na wierzbie ? Biegaliście, nieprzymie* rzając jak koty z pęcherzami, gębowaliście, aż z waszój namowy tyle narodu w świat poszło, widno na zgubę... Teraz wszystko na wierzch wyłazi! I nie ciężko wam na sercu? Wyście się nagadali, Bajczyński nabrał ^pieniędzy, a ludzie za to wszystko giną!

—Wicek, ty mnie dzisiaj nie wyciągaj na słowo ! — rzecze Matus. — Daj ty mi pokój, bom oto srodze strapiony!

—Pewnie sobie myślicie, że was już ludzie w tej Bryzologii nie wybiorą na wójta i przez to wam markotno...

—Daj pokój, człeku, nie pastw się nademną, bo mnie tu ze wszystkich was najciężój, choć nic nie mówię — odpowiedział Matus.

—Ktoś przecie musi mieć w głowie postanowienie, skoro tacy rajcy, jak Matus i Maryna podur- nieli — zawołał Wicek. — Jak chceta, żebym był waszym gąsiorem i wodził was w tej biedzie, to się naprzód wynošta z tej tu gospody! Niemcowi oto ze ślepi aż się ogień sypie, że nie mógł od biednych chłopów wyciągnąć ostatniego grosza.

Ludzie go posłuchali, biorą zaraz tobołki na plecy, dzieci na ręce, wysypali się wszyscy na ulicę za Wickiem, on ich wiedzie, nareszcie przed dworcem kolei żelaznój staje i mówi:

— Tu się zatrzymajwa, trzeba należycie pomyśleć, co dalej poczynać. Wiecie wy, jak nami mają tak wszędzie poniewierać, to sakum pakum i do Rokitnicy lepić wracać. Żartów niéma! Lepiej na swoje śmiecie wrócić o cblebie i wodzie, niż być po- ' śmiewiskiem, a potem z głodu umierać.

Biadają na placu, rozłożyli się, jak banda cyganów, obdarte to-to, czarne od brudu, co na nich porósł. Czekają, co Wicek dalej zrobi, a tu idzie ku nim ów tłómacz z pod Koła, zdaleka kiwnął na Wicka głową, odszedł z nim na bok i powiada:

— Wyście chwata chłop ! Dobrze robita, że nie płacicie, powiem wam teraz od siebie, bo ta w Bry- mie przyjmują niektórych bez żadnej zapłaty. Ja też i moja gromada, co z nią jadę, byliśmy tacy głupi, żeśwa zapłacili za wszystko z góry, jeno jak się uprzć i nie płacić, to dadzą darmo wikt, pomieszczenie; pono rząd z Bryzologii za to płaci.

— Dawnoście wy tu w Brymie?

— Już tydzień jeden i trzy dni na drugi, jak śledziowa, a za dwa dni mawa na okręcie odjechać; miałem czas spenetrować niejedno.

— Czemu odrazu nie jedzieta do Bryzologii?

•— Bo okręt nie codzień odchodzi, jacy raz, a naj- więcej dwa razy w miesiącu. Ja wam, mój Wincenty, radzę szczerze: idźcie na zwiady do księdza, jest tu jeden i drugi katolicki; ale starszy z nich nie umie po polsku mówić, a młody, czezb pono, pojmuje co-

niebądź. Idźcie, mówię wam, powiedzcie o swojej doli, zawsze wam ci księża co doradzą, jako tego niejeden z naszych na sobie doświadczył.

— Jużci w takim utrapienia koniecznie potrzebna rada jakiej mędrszej głowy, kiedy się tyle głupich nazbierało. Ja sobie sam dam radę, choćby i w takiej Brymie; ale tyle bab z dzieckami, wlecze się to-to na złamanie karku... Pokażcież mi, gdzie ten ksiądz mieszka?

Tłómacz zaraz poprowadził Wicka w jedną ulicę, pokazał mu dom jeden i mówi:

— Pamiętajcie sobie szósty numer w tej ulicy, prawie na samym rogu!

Wicek się już przed swoimi nie opowiadał, co ma robić, jeno im przykazał, żeby tam przed banhofem na niego czekali, bo on idzie w ich sprawie.

ROZDZIAŁ IX.

Ha gospodzie i w starym bremeftskim banhofie.

Kiedy Strzała w domu pod szóstym numerem zadzwonił, wyszedł do niego najprzód ksiądz taki już dosyć wiekowy, podsiwiały, ubrany w surdut, bo tam księża w sutannach nie chodzą i przemówił po niemiecku. Wicek odrazu rznie swoją sztukę, gada jak najęty, tyło ksiądz nic nie zrozumiał; uśmiechnął się jacy i mówi:

—War ten!

— To pewnikiem znaczy „czekaj”, — pomyślał sobie Wicek — bo i w Rokitnicy ekonom nieraz mi mówił: „wartuj i”

Idzie ów ksiądz na piętro po schodach, a woła:

— Prahars ! Prahars !

Widać na drugiego tak wołał, bo wnet potćm zeszedł do Wicka młody jeszcze księżyk w okularach, tłuściutki był, okrągły, a ciągle się uśmiechał.

—A co to? — pyta chłopca.

— Proszę jegomości — rzeknie Wicek — jaki taki z pomiędzy nas siedział spokojnie w chałupie, aż tu dopiero zagraniczni jacyś ludzie zaczęli nam nasyłać różne pisma, a obiecywać złote góry. Tak się ludzie zląkomili, poporzucali służbę, gospodarstwa, jako im dowodzono, że gdzieś tam w Bryzologii po- dartują grunta i wszystko, a w dodatku droga i życie nic nikogo nie będą kosztowały. Ale my oto je- dziewa i każdy zaś woła na człowieka: „płać!” Gzy to uczciwie, mój ojciec duchowny, że nas tak oszukali? Przyjechaliśwa tu do samój Brymy precz za płatne- mi biletami i na własnym wikcie; powiadali, że tutaj nikt już grosza od nas nie weźmie; tymczasem stanęliśmy w jedułej gospodzie, a tam nas siepią, każą płacić po marce i pięć trojaków od osoby. My, naród wszystek biedny, nie mawa na to... Niechże tóż jegomość wejrzy w tę sprawę i ujmie się za nam* biedakami!

— Wy z Polski? — zapytuje ksiądz?

— A jakże, z Polski, katolicy, z nad samej pruskiej granicy.

— Dokąd wy z domu tak uciekacie? Do Ameryki, co? Tam nie będzie wam lepić!

— Zdurzyli nas, mój jegomości! Tyle ludzi, głowy nie ma gdzie położyć, ani gęby czym zapchać; dzieci słabują z niewygody, niewywczasu, poumiera to ta chyba.

— Gdzież wy mieszkacie tutaj w Bremie?

— Nigdzie, nigdzie, bośwa się wynieśli od tamtego gospodarza, co nam kazał płacić od głowy takie okrutne pieniądze... Siedziewa oto na placu pod go- łóm niebem.

— Moi ludzie, za życie trzeba płacić; gospodarz nic nie winien, bo on po to trzyma oberżę, żeby sam miał z niej utrzymanie.

— Dobrze mówić: „płacić”, ale jak kto nie ma?

— I bez pieniędzy puszczacie się w taką daleką podróż?

— Może ta jeden, drugi i ma parę złotych, to cóż, zaraz je wydać? A tu pono droga okrutna przed nami; niektórzy powiadają, że do samego Bożego Narodzenia będziemy jechali.

— Oj, wy jesteście bardzo lekkomyślni! — zawołał ksiądz. — Trzeba się było przecie mędrszych od siebie zapytać.

— Pytaliśwa, proszę jegomości, byliśwa w mieście u adwokata; ale chłopa każdy obelga.

— Zaprowadźcie mię, człowieku, do swoich; niech zobaczę, jak to wygląda! Może się co poradzi, ale nie wiem, nie wiem.

Ksiądz wziął kapelusz, laskę i poszedł z Wickiem, a po drodze wypytywał o różne rzeczy. Przychodzą na plac, gdzie siedzieli emigranci z Rokitnicy, i ksiądz zaraz wdał się w rozmowę z tym a owym,, oglądał dzieci, a głową coś wstrząsał, „że niby mię-

dzy tymi ludźmi znalazł ogromną nędzę. Potem się zabrał i poszedł ztamtąd.

— Poczekaście tu na mnie — mówi — dopóki nie wrócę.

Czekali z półtorej godziny i ksiądz znowu przyszedł, ale teraz przyprowadził ze sobą jakiegoś pana, pokazywał mu chore dzieci, baby obdarte i z bosemi nogami, a po niemiecku coś dowodził, rękoma rozkładał. Ów ten pan tylko głową kiwał, nic nie mówił, nareszcie powiedział:

— Gut!

— No, pójdźcież teraz, moi ludzie, za nami! — rzeknie ksiądz.

Zaraz się wszyscy ruszyli, idą będzie z wiorstę drogi. Przyszli do jakiegoś ogromnego budynku piętrowego, patrzą, a tam się moc ludzi roi i każdy precz po polsku mówi. Ksiądz z tym panem prowadzą ich przez jakieś izby, gdzie takż w barłogu leżało pełno ludzi mówiących po polsku: jedni się na głos modlili, drudzy się jeszcze głośniej swarzyli o coś między sobą, inni spali, rozmawiali i bab, dzieci, gromada okrutna. Zatrzymują się wjednej sieni i ksiądz rzecze:

— Będziecie tutaj mieszkali; dadzą wam słomy na posłanie, dostaniecie jeść: rano, w południe, wieczór i nic za to nie zapłacicie... Ale, moi ludzie, pamiętajcie chodzić do kościoła, modlić się, dopóki tu jesteście, a przed taką daleką podróżą, jaka was je-

szcze czeka, powinien się każdy wypowiadać, przystąpić do Sakramentu.

Wicek wręcz popycha ludzi ku księdzu i mówi:

— Podziękuj ta jegomości, podziękujta!

Zaraz też różni dopadali, osobliwie baby, i całują księdza po rękach, a proszą, żeby ich nie opuszczał. Już miał ksiądz proboszcz wychodzić ztamtąd, ale się jeszcze zawrócił i ogłosił ludziom, że w niedzielę, w katolickim kościele w Bremie, odprawi wielkie nabożeństwo na ich intencję i że będą mogli śpiewać nabożne pieśni polskie, jakby u siebie w parafii. Potém odszedł, a niektórzy powiadają:

— Dobry człowiek widno z tego księdza, jeno osobliwie jakoś mówi; nie polak chyba.

— Mówią, że Czech — powiada Wicek — ale ja sobie miarkuję, co polak tóż być może, tyło sobie język połamał między niemcami.

Rozłożyła się tam teraz Rokitnica, gospodarują jak w domu własnym, zaczepiają różnych ludzi, wdają się z nimi w rozmowę; dopiero ci, co dawniej tam już mieszkali, powiadają im, że ten budynek nazywa się starym banhofem, że jest opuszczony, jeno go niemcy teraz oddali na mieszkanie dla emigrantów z Polski. Wszystkim dziwno było, że tam tyle polskich chłopów: jakie z półtora tysiąca z prze- rozmaitych stron kraju. Ubiory różności u onego narodu, tyło wszystko brudne, obszarpane, a siła dzieci prawie nago chodziło. I tak się niebardzo

smucili: niejeden dobył skrzypków i rznął obertasa od ucha.

Matus Dzwonko też, kiedy spostrzegł, że tyle biedactwa jedzie do Brazylii i nikt się tak dalece nie frasuje, tak sfołgował trochę swemu żalowi o te zgubione pieniądze.

— Jak dobrze tam pójdzie — mówił sobie — to tę stratę prędko odbiję... Żeby w owej Bryzoli było źle, nie ciągnęłoby do niej przecie tyle narodu.

Kiedy oni tak sobie żyją, aż tu jednego dnia ksiądz, czy kto inny, napisał w gazecie, że polscy emigranci są strasznie biedni ludzie, że im brakuje ubrania, obuwia, a puszcza się to to w taką daleką drogę. Rozmaici bogaci ludzie wzięli do serca takie pisanie i uważali sobie za punkt honoru, ażeby tym obdartusom dać, co potrzeba. Może przez trzy, albo cztery dni znosili i zwozili różną odzież: zebrały się tego duże stosy w kantorze na tym starym banhofie; później zaś poczęto rozdzielać między ludzi owe szmaty. W podziale nie było wielkiej sprawiedliwości, bo się najchciwsi głównie garnęli, a drugi człowiek cichy, albo ambitny, choć miał brak wielki, nic nie dostał.

Niejeden się otrząsał i powiadał:

— Cóżem to ja, dziad jaki, żebym się cudzymi staremi łachami nakrywał? Niech dają to, co obiecywali; więcej od nich nikt nie potrzebuje!

Wickowi buty z nóg spadały, ale też nie poszedł do kantoru po darowiznę.

— Jałmużną się człowiek nie nakryje—powiadał.

Najwięcej chciwości pokazywał Dąbek: kilka razy chodził do kantoru, precz się podawał za biedaka, brał przyodziewek dla siebie i dla dzieci. Jak się tam spostrzegli i dawać mu już nie chcieli, to poubierał swoje małe w najlichsze szmaty, sam się dziurami nakrył, potem z dzieckami zachodził drogę różnemu państwu, skamlał, żeby go opatrzyli, choć się miał o wiele lepić od różnych innych.

Dowiaduje się o tém Strzała, strasznie się wzburzył. Wręcz poszedł do Dąbka, powiada mu:

— Zasobny taki człowiek, jak wy, i wstydu żadnego nie macie; przez was oto obcy ludzie nas ob* noszą, mówią, że co który z Rokitnicy, to dziadem śmierdzi.

— Idź-że ty sobie do stu dyabłów! — oburknął się Dąbek. — Cie go, jaki mądrała! Wicek już nie mógł wytrzymać i plunął mu w gębę.

Maryna znowu, jako elegantka była, o mało sobie oczu nie zerwała do różnych chusteczek, kaftaników, co je tam panie z Bremy poznosiły. Nie prosiła się, żeby jej dali, ale ciągle wystawała a przyglądała się zdaleka i myślała sobie, jako niektóre rzeczy bardzo- by dla niej pasowały. Zobaczył ją jeden młody niemczyk, który dozorował tych rzeczy, spodobała

mu się, tak zaraz do niej podszedł i w umizgł. Grzędzianka nie mogła rozumieć, co mówił, jeno pojęła, że mu się spodobała, tak sobie oczy niby też to zakrywa, a patrzy i do młodego się od czasu do czasu uśmiecha. Dobrze na tem wyszła, bo niemczyk powydobywał niebieskie, czerwone chusteczki, kaftanik śliczny, czarny, ponsowo lamowany, trzewików parę świejących z kokardami i rękawiczki długie, co się zapinały będzie na jakie dziesięć guzików. — wszystko oddał do rąk Marynie.

Gładka była, to jak się wystroiła w takie rzeczy aż miło było na nią spojrzeć; wyglądała nikić panna dworska; kto przechodził, musiał się obejrzeć raz, drugi, bo w oko wpadała. Idzie ona sobie tak raz wieczorkiem przez drogę, a ten niemiec z kantoru, jakby czatował na nią, podchodzi i zaczyna się umizgać po niemiecku. On do niej mówi, a ta nic, jeno na niego czasem zerknie, bo przecie nie mogła rozumieć niemieckiej mowy. I tak parę razy przeszli po pustej drodze około starego banhofu. Nareszcie niemczyk ów, niewiele myśląc, obejmuje Marynę za szyję i pocałował ją w usta. Niebardzo mu się sprzeciwiała, nijako jej było przez te podarunki. Usiedli sobie potem oboje na ławce i Więcej było całowania, ściskania niż Rozmowy, skoro jedno drugiego rozumieć nie mogło. Aż tu na to wszystko, jakby z pod ziemi, wychodzą niespodziewanie Wicek i Wałek, dopiero się Maryna porwała z ławki, bieży co tchu

boczną drogą do Bahnhofu: myślała, że jej w ciemności nie poznali. Zanim oni przyszli, Grzędzianka już zrzuciła z siebie owo modne ubranie, zarzuciła na głowę starą chustkę i, jakby nigdy nic, idzie spokojnie, żeby spotkać Wicka z Wątkiem.

Ale Strzałę trudno było w pole wywieźć: podszedł do niej, roześmiał się na głos i rzecze:

— Jak złodziej co ukradnie, zaraz pędzi na inne miejsce, żeby ludzie powiedzieli, że on nie mógł ukraść...

Rozumić się, takie zdarzenie nie było Wątkowi na rękę.

A. ST* złamanie karka.

6

ROZDZIAŁ X.

Jak się Wałek Kuc pobrał z Jagną.

W starym bremeńskim dworcu kolei żelaznej wychodźcy całymi dniami i wieczorami prowadzili rozmowy, a główny przedmiot stanowiła Brazylia, o której nikt z nich nic a nic nie wiedział. Było to życie ' próżniackie, nudne, sprzyjające wytwarzaniu się przeróżnych baśni.

Rozeszła się raz była wieść, że w Brazylii naj- i większego poważania używają tacy, którzy przybywają tam z żonami i dziećmi; to przekonanie było powszechne między wychodźcami polskimi.

— Juści samemu parobkowi, albo samćj jednej dziewce gruntu oni tam dać nie mogą — mówiono — bo do czego by to było podobne. Trza do obsługi roli mieć potrzebne ręce i w głowie należyty statek.

— Żenić się potrzeba, nićma co! — wykrzykiwał

Głodzikowski. — Ja, chwalić Boga, dzieci już mam, a kobietę też sobie upatrzyłem !...

Jednakże Wicek Strzała dawał się słyszeć:

— Niechże ja wprzód widzę, że się jest po co schylić, to o żeniączkę najmniejsza. Przecie jeszcze tego gruntu nie dali i może go znowu tak dadzą, jak bilety na przejazd od granicy do Bremy...

Inni beżżenni precz się rozglądali po dziewczuchach i ksiądz Prahars dawał nieraz dwa śluby dziennie wychodźcom polskim, A łatwo było wziąć ślub taki w Bremie; dosyć, żeby państwo młodzi stawili się u księdza z dwoma świadkami. Tern bardzićj płci żeńskiej nie zbywało na chęciach tego rodzaju; jaka taka dziewczyna pragnęła gorąco, ażeby z chwilą przybycia do ziemi obiecanej być odrazu gospodynią, panią w swoim domu, w którym, jak mniemała, nie będzie brakowało niczego.

Podobnie myślała i Grzędzianka. Przewinęło się około niej kilku nowych zalotników, ale jej teraz Wałek wszedł w głowę i ułożyła sobie, że on byłby najlepszy na męża, jako potulny, miękki. Co mogła, to robiła, żeby go koniecznie przyciągnąć do siebie. He razy się gdzie spotkali, Maryna zaraz naciąga rozmowę na to, że się ludzie tak na gwałt teraz żenią. Niewiele miała trudności z Wałkiem. Jak raz tylko przyszło do tego, że ją zaczął całować w usta, tak się potem ułożyli o dzień ślubu.

Było to we czwartek, a w piątek po południu po

szli oboje do spowiedzi. Dużo się ludzi spowiadała dnia tego, bo w przyszłym tygodniu mieli już opuścić Bremę, więc każdy chciał zepchnąć z siebie grzechy. Przyszła też wtenczas na spowiedź i Jagna. Wypadło tak jakoś szczególnie, że przy konwesyonale po jednej stronie stanął Walek, a Jagna po drugiej; ledwie ona skończyła spowiedź, on już klęczał i bił się w piersi: „Ja grzeszny spowiadam się Panu Bogu wszechmogącemu”. Wypowiadał się, idzie przed wielki ołtarz na pacierz, spojrzy — Jagna klęczy i modli się gorąco, słyhać było każdy jej wyraz. Dziwnie mu to jakoś padło na serce. Swoim porządkiem każde poszło do banhofu.

Ksiądz nie mógł dnia tego wypowiadać wszystkich ludzi; ściemniać się już zaczęło, wychodzi zkonfesyonału i powiada:

— Kto dziś nie odbył spowiedzi, niech przyjdzie jutro, bo już niema czasu.

Grzędzianka nie mogła odbyć spowiedzi w piątek

Nazajutrz Walek poszedł rano na mszę, przyjął Sakrament, wymodlił się, wraca na śniadanie, a tu na drodze stoi Wicek z Matusiem i gwarzą. Walek przystanął z nimi na chwilę, chce potem odejść; Wicek zaś nań kiwnął głową i powiada:

— Słuchajtio, chciałem ci coś powiedzieć.

— O cóż takiego chodzi?

— Powiadają ludzie, że się masz pobrać z Maryną Grzędzianką, czy to prawda? Mów szczerze, bo

mnie przecie wszystko jedno: ja z nią nie będę siedział; jeno ci radzę przez życzliwość— zastanów się!

Niespodzianie tak zagadnięty, drapie się Wałek w głowę, nie wie jakoś, co ma odpowiedzieć, a Wicek tak dalej mówi:

—Kiej w Bokitnicy padła na ludzi gorączka do tój emigracyi i każdy tylko chciał z domu jak naj- prędzej uciekać, to się siła zła narobiło; teraz znowu w Bremie inny dyabeł bezzennym ludziom spać nie daje. Czy to tak dobrze robić głupstwa bez żadnego pomyslenia? Potrzebne to to, żeby się jeden przez drugiego co tchu żenił? Siaki taki w po- śpiechu nie pomyśli nawet, że sobie baby nie dobrał, jeno chwyta pierwszą lepszą, co mu w oczy wpadła. Spytajże się Matusa, jako jest chłop stateczny, czy ja źle mówię?..

—Wicek koli twojemu własnemu użytkowi rai— Tzecze Matus. — Maryna gładka na urodę, tyła chłop nie będzie miał z nićj pociechy. Do gospodarstwa taka na nic, co jeno dba o strojność, a za każdym się rada oglądać. Czy ona czego w chałupie porządnie dopilnuje? Jacy ty musisz jej samćj dobrze pilnować. Nieprzymierzający, choćby i teraz, toć ona ciągiem do Mikołaja Dąbka szczyrzy zęby, a z tobą niby ma iść do ołtarza. Ożenić ci się, człowieku, łatwo, ale się trudnić odżenić! Ty, Wałek, osobliwie, coś jak воск miękki, skoro sobie raz pojdziesz jakiego dyabła, to cię będzie całe życie tarosił. Ja

mam babę, do rany ją przyłożyć; nad uszyna mi nigdy nie skrzeczy, żadnój przeciwy w ni czym nie zrobi, a powiadam szczerze, że samemu lźćj na świecie... Lepićj się rozmyśl i daj pokój żeniaczce do czasu!

— Toć się już zaręczyłem — bąknął Walek.

— Łatwićj się uporać po zaręczynach, _ niż po ślubie! — zawołał Wicek. — Moje zrękowiny tóż były, a Pan Bóg mię ustrzegł do tego czasu...

— Niechbyś sobie choć dobrał kobietę, jak należy — rzeknie Matus — toby jeszcze było pół biedy; ale Maryna ci nie da ze siebie żadnćj wyręki.

Oni tak rozprawiają, a tu idzie z kościoła Jagna, bo tego dnia także przystępowała do Sakramentu; przeszła około nich, powiedziała: — „niech będzie pochwalony”,i.

— O, ta, Głodzikowszczanka, w sam raz na babę ! — powiedział Matus. — Dziewucha pocziwości; żeby nie ona, dawnoby już Marcin zmarnował dzieci i przepuścił chudobę, jako jest nałogowy... Toć się ty kiedyś do Jagny zalecałeś i cała Rokitnica mówiła, żeście już po zaręczynach...

— Wiadome rzeczy, że tak było! — rzecze Wicek. — Ale jak się potknął o Grzędziankę, tak o Jagnie zapomniał. Czy to Maryna mało nazrywała zrękowin? A w całej Rokitnicy nie było parobka, coby przy niej przez jakiś czas nie odpokutował. Zwyczajnie, dwórka

—• Ej, żeby to tylko parobcy!—odezwał się Ma-

tus. — Ale taki starach, jak Głodzikowski, całkiem przy niej zgłupiał.

Nakładli Wałkowi dobrze w uszy, a może mu tóż ksiądz przy spowiedzi nie jedno dołożył, dosyć, że Kuc wrócił na stary banbof z innym postanowieniem.

Zaraz po południu zabrał się i poszedł tam, gdzie Głodzikowski koczował ze swoją rodziną. Tutaj Jagna łątała dzieciom szmaty jakieś, a Marcin znowu sobie był podchmielił i spał w kącie na barłogu. Zaczęła się rozmowa i Wałek naciągał do tego, żeby się dziewczynie oświadczyć.

— Ja sam winien jestem temu — mówił — żeśmy się w Rokitnicy nie pobrali, a byliśmy już po zrękowinach.

— Twoja była wolna wola — odpowiada Jagna — poszukać sobie szczęścia gdzieindziej. Przecie urazy do ciebie nie mam żadnej.

— Mnie samemu teraz markotno, że się to tak rozchwiało.

— Dziewusze jeszcze markotniej, kiedy ją parobek rzuca, bo ludzie obgadają, obmówią.

— Juści prawda, jeno co się odwlekło, to nie uciekło...

— Odwlekło się do śmierci!...

— Zachciój tylko sama, a inaczej będzie; tu w Bremie wszystkiemu koniec być może.

— Co za koniec?

— A no, przecie bez zapowiedzi śluby dają, toby i nam prędko dać mogli...

— Ej, Wałek, ty źle ze mną sobie poczynasz! Mało ci tego, żeś mnie już raz na pośmiewisko ludzkie wystawił?... Toć ja wiem dobrze, żeś się z Maryną zaręczył; ona sama rozpowiada to każdemu i drubny sobie nawet zamówiła.

— To co z tego, kiedy ja do ołtarza i tak z nią nie pójdę! — zawołał Wałek. — Wszyscy powiadają, jako źle robię, jako tobie pierwszeństwo się należy.

— Czy ja to chcę, żeby cię ludzie do mnie zawracali? Jak sam nie masz serca, gwałtu sobie żadnego nie zadaj.

— Na Fana Boga ci się składam, że sprawiedliwie mówię... Przywiązanie uczciwe mam dla ciebie. Choć się to do Maryny zalecałem, alem nieraz myślał, żeś ty jedna dla mnie na świecie; otwarcie ci to wyznaję.

Jagna odłożyła na bok swoją robotę, słucha Walka, patrzy na niego, a potem mu odrzeknie:

— Z inną ci o wiele lżej być może; ja przecie tak jestem, jak wdowa, bo te dwoje sierot po nieboszce matusi odchowac muszę. I po cóż ty, człowieku, ciężar taki masz sobie brać na głowę?

— Nie szkodzi; dzieci odchowasz przy mnie! — zawołał Wałek. — Ja sierocój krzywdy nie chcę i na nią nie pozwolę.

— Ale to wszystko jeszcze drobiazg — trzy, cztery lata; mogę ci się naprzykrzyć i będziesz potem miał żal do mnie, jak przyjdzie te małe przez kilka lat darmo żywić i odziewać.

— Sumiennie ci mówię, że im niczego nie będę żałował; niech się chowają, rosną, jeno ty miej serce dla mnie!... No, jakże, powiedz, co będzie?...

— A cóż ja ci takie rzeczy mam mówić? Go było do powiedzenia, toś odemnie słyszał w Rokitnicy, i do tego czasu zostałam przy swoim...

— Mojaś ty, skoro tak, to się teraz jeno skłonię twojemu tatusiowi i poproszę o pozwolenie na ślub.

— Dużo ja też tam tatusia obchodzę!... Oni, jakby nie rodzony ojciec, nic anie o dzieci nie stoją. Najstarszy chłopak oto przepadł na granicy, a tatuś o nim ani razu nawet nie wspomnieli.

— I tak, czego zwyczaj, poprosić ich muszę — zawszeć to pan ojciec.

Walek baczył już teraz, ażeby Głodzikowskiego, gdy się tylko obudzi, zawiadomić o wszystkiém!

I prosić o córkę.

Marcin wyspał się dobrze i o zmroku wyszedł trochę do miasta; wtem Walek mu drogę zachodzi, całuje go w rękę i wyznaje, że Jagnę chce sobie za żonę pojąć.

— Jakaście się ze sobą już oboje zmówili, to się pobierzcie! — odrzeczce Głodzikowski.

— Ona mi na nic niepotrzebna, jacy często gęsto setnie doskwie-

rzy. Niech idzie do chłopca, niech spróbuje, jak to na s wojem!

Żeby czasu napróżno nie tracić, zawinał się po- tern Walek, poszedł prosić Wicka i Matusa na świadków do spisania aktu u księdza.

— Nie radzę ja nikomu, żeby się żenił przed tą Bryzolią — powiada Wicek. — Ale kiedyś taki nagły, co mi się tu wtrącać. Skoro chcesz, na świadka ci stanę, jeno powiedz kiedy...

— Jutro, przy niedzieli! — odrzekł Walek.

ROZDZIAŁ XI.

Przed odjazdem z Bremy.

Wychodźcy polscy podczas pobytu swego w Bremie przesiadywali po szynkach, włączyli się po mieście i niejedni z nich ostatni swój grosz stracił, zanim wszedł na okręt, mający odpłynąć do Brazylii. Nie brakowało tu ludzi, którzy chcieli między chłopami uchodzić za mądrych i rej między nimi wodzili. Był jakiś szewc z pod Nieszawy, udający bywalca, który, ile razy mu postawiono dosyć piwa, gotów był zawsze opowiadać, a łąał wyśmienicie. .

— Pojedziemy — mówił — przez jedno takie miejsce, co się nazywa równik, a drugie jeszcze gorsze — południk. Oj, ludzie, żaden z was pojęcia nie ma, co się tam dzieje! Woda tam w morzu wre i kipi, a jakby człowiek wpadł w taki wrzątek, to się w nim kości nawet rozgotują. A w innych znowu miejscach będą nas zaczepiały ryby

takie straszne, co łbem żelazną blachę w okręcie prz ewiercą.

Więc się chłopci garnęli do szewca, kupowali mu piwa i każdy się dopytywał o tę wrzącą wodę, albo jak wyglądają ryby, które łbem mogą przewiercić żelazo.

Szewc się nigdy nie zająknął, odpowiadał na każde pytanie i zyskiwał coraz więcej zaufania. Ile razy między chłopami powstał jakiś spór geograficzny, up. czy się do Bryzologii jedzie przez Rzym, a nie umiano go rozstrzygnąć, udawano się zaraz do Joachima — tak się zwał ów szewc — i on wyrokował:

— Przez Rzym nie pojedziemy — powiadał — Rzym na prawo zostanie; ale pojedziemy przez wyspę świętej Heleny, a potem będzie morze Czerwone, co w nim jest woda taka jak krew.

— Niechże nam pan' Joachim opowie o tym morzu — wołali chłopci, a w ślad za żądaniem stawał przed szewcem kufel piwa.

— Widzicie, jakby tego morza nie było, toby nie było i koralu, bo koralu są z takiej krwi morskiej; dlatego się za nie drogo płaci.

— A co, panie Joachimie, będzie za tym morzem -Czerwonóm?

— Cóż ma być? Wyspy z pieprzu i cynamonu, a za temi wyspami dopięro Bryzolia i koniec.

— Jak też tam jest w owęj Bryzologii ? czy tak, Jak u nas było?

—Co za gadanie!—odpowiadał szewc. —W Bryzologii mały są mędrze, aniżeli w Polsce ladzie. Kto się do Bryzologii dostanie, to tak jakby do nieba! W lesie rodzynki tam rosna na drzewie, a jak kto spragniony, to siekiera tylko cinnie w drzewo i zaraz tryska syrop, słodki jak cukier. Wino, cytryny, pomarańcze, wszystko się rodzi gotowe. Pieniędzy nikomu nie brak, bo w ziemi pełno złota, srebra, dya- mentów; pokopiesz trochę motyką i już masz skarby.

O ile wychodźców pocieszał ten szewc, łgarz wierutny, o tyle ich znowu zasmncał ciężko jakiś chudy, wybladły i schorowany krawiec z Konina. Słyszał on nieraz opowiadania Joachima; wtedy uśmiechał się tylko ze zjadliwą goryczą, wypijał kieliszek wódki z kroplami, splunął parę razy manifestacyjnie i wychodził z szynku. Ale kiedy się sam na sam znalazł z chłopami, wtedy wybuchał złością:

—Głupi ludzie! —wołał — wierzycie temu oszustowi Joachimowi, cóż on może powiedzióe? Przecież to szewc, a na szewców idą najgorsi ludzie, wyzuci z uczciwości, bez żadnego sumienia, fałszerze I Taki człowiek, co tylko z dratwą, szydłem i kopytem ma do czynienia, nie może nic wiedzieć. Nie prawda, w Brazylii nie rosna żadne rodzynki, niéma tam ani złota, ani dyamentów! Bogaci, wielcy panowie i kupcy sprowadzają sobie oto na okrętach niewolników, i wy wszyscy, którzy nie znacie żadnego procederu, zostaniecie zaprzęgnięci do ciężki^

pracy, jak konie, albo woły, a kto nie będzie chciał pracować, tego popędzą batem.

Taka przemowa psuła chłopom humor, powracali wtedy chyłkiem do starego dworca kolei żelaznej, uciekali się do modlitw i pieśni nabożnych.

Jakoś w tym czasie spadły obfite deszcze i ludzie \leq o starego Bahnhofu przynosili pełno błota na nogach.

W izbach panowała wilgoć, a barłóg, służący za posłanie wychodźcom, pomieszał się z błotem i tworzył rodzaj kałuży, w której się poniewierały dzieci, baby, odzież i przeróżne sprzęty.

Zaczęli ludzie chorować, lekarz dwa razy na dzień odwiedzał te koszary i codziennie musiał kogoś wyprawiać ztąd do szpitala miejskiego.

Wśród emigrantów z Rokitnicy najciężej podu. padła na zdrowiu matka Maryny, Grzędzina. Jęczała ona po całych nocach, cierpiała duszności i trapiła ją bezsenność. Lekarz wybadał ją troskliwie, po- czém oświadczył, że chora w starym dworcu nie może dłużej pozostawać i musi iść do szpitala, dokąd też Grzędzinę niebawem zawieziono.

Maryna po odjeździe matki chorój nie okazywała bynajmniej żalu; daleko bardziej się trapiła tak niespodziewanemu zaślubinami Walka z Jagną. Pocieszyła się jednak wkrótce, gdyż miejsce Walka zaraz zajął nowy wielbiciel.

Mikołaj Dąbek opłakał stratę żony i dziecka, a w końcu pogodził się z losem. Razem z wieluin-

Dymi sądził on, że do Brazylii należało mu przybyć z żoną; ponieważ się czas odjazdu zbliżał, przeto chłop ów, uważający się jakby za wdowca, rozpoczął zaloty do Grzędzianki, Wprawdzie w Bremie nie mógłby się odważyć na wzięcie ślubu z Maryną; ale gdzieś tam w Brazylii, na końcu świata, czemuż- by jćj nie miał wziąć sobie za towarzyszkę życia. Zamiary takie widocznie nosił w duszy, gdyż wchodził w coraz ściślejsze stosunki z Grzędzianką: razem jadali i przebywali z sobą. On, chciwiec taki i skąpiec, niejedną już nawet markę poświęcił, ażeby Marynie kupić podarunek. Ona znowu chciała pokazać Wałkowi, że nie dba o niego, i usilnie ciągnęła ku sobie nowego zalotnika. %

Dąbek miał prawie czterdzieści lat, był chłop tęgi, zapobiegliwy, grosz się go trzymał: taki na męża dobry, bo kobieta przy nim nie zginie. Maryna, gdyby ją jeszcze i Mikołaj zawiódł, miała zawsze w odwodzie Głodzikowskiego.

Tak się miały rzeczy, kiedy wychodźcom naraz zapowiedziano, żeby byli zupełnie gotowi do wyjazdu, gdyż za trzy dni muszą wsiadać na okręt, należący do towarzystwa północno niemieckiego Lloyda. Spisano listę imienną i okazało się, że pasażerów jest aż 2,500,

W czasie tych przygotowań do podróży, przyszła ze szpitala wiadomość, że Grzędzina umarła. Prawie wszyscy z Rokitnicy odprowadzili zwłoki na

cmentarz, gdzie Maryna dopiero zaczęła ręce łamać i na cały głos lament rozwodzić.

Po owym pogrzebie zostawało jeszcze całe dwa dni czasu, więc się każdy sposobił, żeby być gotowym.

Grzędzianka już tak zawojowała Mikołaja, że chłop robił wszystko, co chciała; kazała mu pozaku- pywać w Bremie różne naczynia blaszane, łyżki, noże, widelce, zapas żywności. On to wszystko znosił do starego dworca i Marynie oddawał; jedno było teraz ich gospodarstwo.

Taki był zwyczaj w tych bremeńskich koszarach, że każdy wychodźca ze swoim numerem szedł do kuchni po śniadanie, obiad, czy wieczerzę, podstawiał naczynie, a kucharz mu nalewali dokładał tyle porcyj, ile osób było zapisanych na kartce z numerem.

Dąbek od jakiegoś czasu chadzał do kuchni po żywność dla siebie i dla Maryny i wspólnie z nią jadał.

Było to we wtorek wieczorem, a we czwartek mieli wychodźcy jechać pociągiem kolei żelaznej do Bremerhaven, gdzie na nich czekał ogromny okręt parowy. Maryna nie jadła wieczerzy, ale poszła do pustej sionki, i tam się myła, czesała, bo miała taki zwyczaj, jakby jaka szlachcianka. Długo się tak nieraz piękniła. Mikołaj poobdziałał dzieci żywnością i spać je wyprawił. Nareszcie nadeszła Grzęd-

dzianka, wymyta pachnącym mydłem, wytrofiona; białość od niej aż biła. Siadła sobie na skrzynce i powiada do Dąbka:

— Napiłabym się dzisiaj kawy, bom głodna i niezwyuczajna jeść tego, co tutaj dają.

— Choć ta już późno, przebiegnę do miasta i przyniosę ci kawy — odpowiada Mikołaj. Pochwycił zaraz blaszane półkwarcie, popłukał wodą, poszedł po oną kawę.

Niezadługo wrócił i co przyniósł, oddał Marynie. Smakowała jej kawa, bo była dobrze słodka. Dąbek też zabrał się do jedzenia i począł zmiatać resztki wieczerzy. Świadczą oni sobie tak we dwoje, dobrze im z tćm, a tu na stary dworzec wałą się nowi wychodźcy, co przyjechali do Bremy nocnym pociągiem kolei żelaznej i sprowadzono ich zawczasu na miejsce tych, którzy we czwartek mieli odjechać. Ani Grzędzianka, ani Dąbek wiele sobie z tego nie robili, bo przecie co noc tam jacyś nowi ludzie przybywali.

Naraz ni ztąd ni zowąd między Mikołajem i Maryną staje Dąbkowa, jakby zmartwychwstała; owi- / nięta była w dużą chustkę, zmęczona drogą, zbie- dzona, na plecach miała tobolek, a na rękę trzymała dziecko. Strasznie spojrziała po mężu, ale jeszcze straszniej po Marynie, aż jej się oczy zaiskrzyły, jak świeczki.

A. Dygasiński. Na złamanie karku.

— A gdzie moje dzieci? — krzyknęła strasznym głosem.

Dąbek się czempredziej zerwał na równe nogi, nawet nie mógł przełknąć tego, co miał w ustach; potknął się na barłogu i był gorzej, niż pijany, bo się wcale powrotu swojej baby nie spodziewał i zupełnie co innego już miał na myśli. Marynie się też nijako zrobiło, zbladła strasznie, zakręciła się na skrzynce, gdy spostrzegła Mikołajową, o której wszyscy już zapomnieli na dobre.

Dopiero Dąbkowa złożyła dziecko na barłogu, tobolek z pleców zrzuciła, tak, że spadł Marynie na głowę, a sama przyskoczyła do męża z ogromną złością, wywija rękami, a wrzeszczy:

— To ty, gałganie jeden, nicponiu, ślubną żonę samą jedną, bez grosza zostawiłeś w cudzym kraju, żeby się potém z różnemi małpami zadawać! W ni- czém ci przysięga i Sakrament święty? A czym ja ciebie do ołtarza ciągnęła, co? Czym ja nie była gospodarska córka, jak oko w głowie u swoich rodziców? Teraz mi uczciwej opieki dać nie chcesz, kiedy za rodzonóm dzieckiem musiałam gonić po polach od wsi do wsi? Dobrałeś sobie, łajdaku, takiego samego ananasa, jakim ty jesteś i myślicie się we dwoje tłuc po świecie?... Oho, nic z tego!... Pan Jezus nie dopuści krzywdy mojej!

Wrzeszczała tak Mikołajowa na całe gardło; po

budzili się ludzie, jedni powstawali, inni popodno- silili głowy, patrzą, słuchają, co się dzieje. Babcie zaraz zaczęły szeptać między sobą i Marynę sobie palcami ukazywały:

— Dobrze, o dobrze jej tak! Niech się szelma jakimś cudzym chłopem nie rozporządza!...

Od tych krzyków pobudziły się i dzieci, a kiedy spostrzegły swoją matkę, poskoczyły wszystkie, żeby ją witać. Zaraz znać było, że Dąbkowa na swoich śmieciach jest twarda baba. Grzędzianka o mało się nie spaliła ze wstydu; nieznacznie zabrała trochę swoich manatków i przeniosła się z nimi do innej izby; potem usiadła w kącie, zakryła twarz rękoma i zapłakała gorzko, a Mikołajowa precz jeszcze klęła to na męża, to na Marynę.

Ledwie się trochę uspokoiła owa wrzawa i wszyscy znowu zasnęli, kiedy przed samym świtaniem zrobił się okrutny rwetes, bo Dąbkowa jeszcze tej samej nocy powiła chłopaka. Akurat tak się zdarzyło, że na sam czas przybyła.

Nazajutrz około południa przybył tam lekarz i wyraźnie zapowiedział, że Dąbkowa nie będzie mogła teraz odbyć podróży i pojedzie chyba na innym parowcu, który miał odejść za dwa tygodnie. Ale Mikołajowa we środę wieczorem już wstała i krzątała się koło dzieci, a we czwartek

rano powiedziała mężowi, że jest zdrowa i do podróży gotowa.

— Tybyś był rad zostawić mię tu w Brymie ze wszystkimi dziećmi, a sambyś z Grzędzianką pojechał do Bryzoli — mówiła — ale raz ci się tylko udała sztuka.

ROZDZIAŁ XE.

Ładowanie ludzi na okręt parowy.

We czwartek od samego rana gwałt był nadzwyczajny na starym bremeńskim banhofie, bo oto rozdawano wychodźcom bilety na okręt. Wszystko musiało być w najlepszym porządku, ponieważ towarzystwo północno - niemieckiego Lloyd'a otrzymywało od rządu brazylijskiego zapłatę za przewóz ludzi i to zapłatę za tyle głów, ile ich okręt dostawił do portu Rio de Janeiro.

O godzinie jedenastój przed południem wyprawiono z Bremy do Bremerhaven oddzielny pociąg kolei żelaznej, na który wsiadło coś około półtora tysiąca ludzi. Matus Dzwonko, Wicek Strzała, oboje Kobylakowie i Maryna Grzędzianka pojechali tym rannym pociągiem. Pojechał też z Bremy ksiądz katolicki, ażeby wychodźców pobłogosławić na po-

dróż morzem. Pociąg nie zatrzymywał się na sta- cyi w Bremerhaven, lecz podążył prosto do porta ^

Głodzikowski koniecznie chciał jechać tym samym pociągiem, co i Maryna, lecz go Jagna umyślnie tak obalamuciła, że się spóźnił; bo po awanturze, którą Grzędziance zrobiła Mikołajowa, Jagna bardziej jeszcze wstydziła się za te zaloty ojca.

O godzinie drugiej po południu wyprawiono z Bremy inny znowu pociąg z wychodźcami, których teraz pojechało tysiąc, a przybyli do portu w dwie godziny po pierwszym transporcie.

Ta cała masa ludzi, zwanych przez Niemców ^brazylianami", zgromadziła się na wielkim placu. Mężczyźni byli objuczeni kuframi, skrzyniami, pakunkami; baby niosły i prowadziły dzieci; niejedno ledwie lazło pod ogromem ciężaru.

Nareszcie dano znak, ażeby wychodźcy szli do miejsca, zkąd już należało wsiadać prosto na okręt. Tłum ludu rzucił się z pośpiechem; w nadzwyczajnym nieładzie i ścisiku popychali jedni drugich, przewracali, gnietli. Przewodnik, wiodący tę gromadę, zawołał naraz „halt! I wszystko stanęło, lecz tłok był jeszcze większy.

Zdaleka widać było morze i ogromny parowiec, który stał w porcie, niedaleko brzegu; prowadził do niego most z poręczami, na którym co kilka kroków stało dwu majtków — po każdej stronie jeden, w samym środku jakiś urzędnik, co bilety

wychodźców odbierał, oglądał i dawał znak, ażeby następnie wpuszczano na okręt kogo należy.

He głów liczyła która rodzina, tyle przepuszczano za jednym biletem. Ludzie i teraz się cisnęli, lecz z majtkami ciężka sprawa: gdy jeden, drugi dostał dobrego kułaka, wnet się zaprowadził i porządek wchodzenia na okręt; każdy potem szedł, kiedy nastąpiła jego kolej.

Zaraz po czwartej po południu rozpoczęła się owa procesya, a przeciągnęła się do późnego wieczora ; ostatni wchodzili na okręt już przy latarniach.

Walek, ponieważ był już ożeniony z Jagną, więc miał własny bilet na siebie, żonę i dwoje najmłodszych dzieci Głodzikowskiego; swoim trybem Marcin miał także własny bilet na siebie i najstarszego syna, Franka, który mógł mieć dwanaście lat wieku.

Jagna, jak tylko zobaczyła morze i ten wielki okręt, kiedy widziała, że do tego budynku wpuszczają ludzi po jakichś schodach, które gdzieś na dno prowadziły, zaraz ją strach zdjął i powiada do męża:

— Walek, przypatrz-no się dobrze wszystkiemu, co się tu dzieje, bo to już ostatnia godzina! Na okręt tyła wchodzi, a nikt ztamtąd nie wraca, gdzież oni podziwiają taką moc ludzi? Muszą ich spychać tam na spód. Mnie się toto niewydaje dobrze... Namyślić się jeszcze, czy wsiadać na okręt?.. Cóż

ty na to? Spójrzyj-że, toć oni precz tłoczą wszystkich, jakby do lochu i Bóg wie, co może być potem na takićj okropnej wodzie!

— Mnie się téż to równie nie podoba — odpowiedział Wałek. — Widzę przecie, że ludzie nie idą tam sami ochotnie, jeno te majtki biorą ich pod ręce i sprowadzają. No, ale co robić, kiedyśwa się już z innymi wybrali ?

— A któż nam wzbroni cofnąć się jeszcze i wrócić do domu? Przecie gwałtu żadnego być nie może, a granica nasza jest jeszcze nie poza światem. Dąbkowa oto z dzieckiem trafiła do Bremy, tobyśmy i my, choćby o chlebie a wodzie, dobili się do Rokitnicy. Widzisz ty onych majtków na okręcie? Cudacznie wyglądają, a wszystko jakieś takie, jak zbóje: popychają ludzi, poniewierają, żeby chociaż po ludzku mówili.

Zamyślił się trochę Wałek, a po chwili rzeknie:

— Co będzie, to będzie, a ja pójdę na ów okręt na przespiegi, zobaczę, jak to idzie!

— Ej, daj pokój, lepićj nie chodź, bo cię ztamtąd mogą nie wypuścić! — zawołała Jagna.
— Toć ty

\am nie zobaczysz nic innego, tylko to samo, co i teraz z brzegu widać.

: —< Muszę z blizka przepatrzeć, pójdę! Wypuścić mię muszą, skoro powiem, żeś ty z dziećmi na brzegu została.

— Choćbyś ty im nie wiem co powiedział, to cię

nikt nie zrozumie; przecie to same szwaby, po swojemu jeno umieją szwargotać.

— Toć jest między nimi tłómacz, ten sam, co był na starym bauhofie.

Jagna nie mogła przeprzóc męża i Wałek puścił się na okręt. Przeszedł jakoś już był; ale oficer spostrzegł się zaraz i woła:

— JBiUet, billet!

Wałek się odwrócił i oddał swój bilet, a oficer znowu woła:

— Vier Personen!

Majtkowie puścili jednego, reszty nie widzą, a Wałek już doszedł na pokład tymczasem. Zaraz go tu dwóch majtków chwyciło pod ręce i prowadzą do drzwi, od których drobniutkie schodki wiodły na dół, jakby do piwnicy. Buchnął ztamtąd jakiś zaduch niemiły, gorzej niż ze starej studni.

Chłop idzie z owymi majtkami w głąb, patrzy, pełno łózek żelaznych, które wisały jedne ponad drugimi. Ciemnica tam była wielka, tylko parę lamp słabo ją oświetlało, a gdzie tknąć, to łóżka, i łóżka* Tutaj go znowu inny majtek wziął zaraz za rękę i znowu przyprowadził do jakichś schodów, po których trzeba było zejść jeszcze głębiej. Nie podobało się to Wałkowi, oparł się i powiada:

— Nie pójdę!

Ale majtek, chłop setny, wziął go zaraz za kark i w oka mgnieniu na dół z nim zleciał. Ciemnica je-

szcze większa, łózek, jak nabił, ludzie potykają się jedni o drugich, a tak duszno, że ledwie oddychać można. Chłopi tam klęli, na czém świat stoi, baby lamentowały, a dzieci płakały. Mrowie przeszło Walka i zaraz sobie pomyślał:

—Żeby miał nawet życie stracić, to stracę, a na okręcie nie pojedę! Święty Boże, i ludzie mó~ wią, że tak miesiąc płynąć przyjdzie!... A gdzieżby tu kto miesiąc wytrzymał?

Precz się pchali coraz nowi ludzie z tłumokami, a który na miejscu stanął, załamywał ręce, bo go przerażała ta jama z małymi okienkami nad samćm morzem. Walek chodził pomiędzy tą gromadą* a o tern tylko myślał, żeby się na wierzch wydostać i zemknąć.

Cóż, kiedy pilnowali.

I tak upatrzył dobrą chwilę, wydostał się na wyższe piętro: nie było tam tak duszno, powietrze jakieś lepsze przewiewało; ale zawsze daleko lepićj na otwartym, szerokim świecie.

Coraz większy mrok zapadał, a ludzie ciągle napływali na okręt. Nareszcie przyszedł tam pod pokład jakiś oficer ze złotymi naszywkami na rękawach i ze złotym znakiem na czapce. Walek idzie prosto do niego, kłania się pokornie i żałośnym głosem opowiada, że oto żonę z dziećmi zostawił po za okrętem i musi ją koniecznie odszukać: Oficer pyta:

—Was?

A chłop znowu swoje powtarza jeszcze żałośniej- szyna głosem. Dopiero się oficer obraca do majtka i mówi:

— Wo ist DobneUclier?

Majtek pokazał, że tłumacz jest na pokładzie i oficer wyszedł na wierzch, a Walek za nim z czapką w ręku; już mu teraz wyjść pozwolili, gdyż widzieli z kim idzie. Ale na pokładzie tłumacza nie było; okręt taki, to jak las, można kogo z pół dnia szukać i nie znaleźć. Na pokładzie przycupnął sobie Walek pod burtą i siedział w mroku, patrzył, co się robi, a czekał tylko chwili sposobnej.

Przewalili się już ostatni ludzie z całej gromady; poszło wszystko na okręt. Kuc ledwie zdaleka w ciemności rozpoznał, że ostatni, co z brzegu szli, byli oboje starzy Kobylakowie; on szedł zgarbiony, bo> miał na plecach skrzynkę przez wpół przewiazaną postronkiem, a ona — płachtę z pierzyną i poduszkami. Jak tylko się dostali na okręt, straż zaraz zaczęła ustępować z pomostu, bo już nie było kogo przepuszczać i pilnować: wszyscy emigranci znajdowali się pod pokładem. Teraz Walek rakiem posuwał się pod burtą, byle być bliżej; wyjścia, na pomost. Nikt na niego nie zważał, choć się przesuwano pełno majtków to w jedną, to w drugą stronę. Kiedy już doszedł do onego pomostu blisko, podniósł się na nogi i patrzy; na pomoście spostrzegł jednego-

tylko majtka, który się łokciami oparł na poręcz i spoglądał po wodzie.

Nie było czasu do stracenia. Kuc od razu z kopyta całym pędem się puścił i biegł z takim zamachem, żeby go teraz nikt nawet zatrzymać nie zdołał. Zadudniło tylko na pomoście, jak kiedy koń bieży cwałem i Walek w oka mgnieniu znalazł się na brzegu. Jak też tylko szczęśliwie zemknął z tego okrętu, zaczyna zaraz szukać Jagny, a nawoływać. Nie miał z tym wielkiego trudu, żeby ją szybko odnalazł, bo ona siedziała z dziećmi nad brzegiem na kamieniu i czekała na niego. Markotno się jej zaczęło już robić; myślała, że Walka z okrętu nie wypuszcza.

— A niech ich tam z Brazylią i ze wszystkim lichem weźmie! — zawołał Walek. — Kobieto, powiadam ci, że lepiej raz na dzień zjeść łyżkę jałowego żuru ze suchym kawałkiem chleba, a czasem się i bez tego obejść, niż się odważyć na tę podróż? Toć oni tam kupę ludzi wpakowali do pudła i dopiero ich z góry zamknięto w dusznej ciemnicy...

— O Jezus Marya!... Cóż my teraz poczniewa? -chyba wracajmy do swojej wsi!

— A jeszczebyśwa myśleli, co robić teraz? — odrzekł Walek. — Nogi zapas i do domu!

— Nie mogłeś też poszepnąć tatusiowi, żeby i oni zawrócili...

— Czy ty myślisz, że w okrutnym tłoku można

się tam do kogo dobrać, albo dopytać? A choćbym to nawet był i zrobił, tatuś by mnie nie usłuchał.

Zabrali się teraz w drogę i ona wzięła na ręce jedno dziecko, on drugie i z tobołkami na plecach poszli od portu do miasta; ale zanim tam przybyli, była już prawie północ. Przenocowali w jakiegoś gospodarzu, a nazajutrz rano poszli na bahnhof, gdzie spotkali innych jeszcze ludzi, co im się także odechciało- podróży morzem i zamierzali wracać do kraju.

Kiedy otwarto kasę na dworcu kolei żelaznej w Bremerhaven, polacy precz kupowali bilety czwartej klasy do Aleksandrowa.

ROZDZIAŁ XIX.

Choroby i pogrzeby na okręcie.

Parowiec miał tej samej jeszcze nocy wyruszyć w drogę, ale i nazajutrz przez cały dzień stał w porcie, ponieważ nad morzem mgły były nadzwyczajne. Rozjaśniło się dopiero w sobotę rano; mgły pierzchły, więc podniesiono kotwicę i okręt zaczął pracować, ażeby towar ludzki przewieźć na drugą półkulę, ażeby ludzkie ręce zanieść na ziemię, której od stworzenia świata nikt nie orał, ani nie obsiewał.

Już po upływie jednego dnia żeglugi zaczęły się cierpienia choroby morskiej; jęki wyrzekania zapełniły pokład, a ilość chorych wzrastała w miarę tego, jak morze było burzliwe, więc ztąd i większe kołysanie się okrętu. Tylko bardzo małe dzieci i niektórzy •z mężczyzn przetrzymali bezkarnie ów wpływ morza. Byli tacy, co chorowali przez trzy, cztery dni i dłużej. Choroba ta zapanowała na dobre po przebyciu kanału,

kiedy okręt płynął już wzdłuż północno-zachodnich brzegów Francji.

Niewielka to jednakże plaga, przemija ona i jest się już potem zwykle zdrowym. Pojawiła się na okręcie inna — gorsza; dzieci zaczęły chorować na szkarlatynę i błonicę, a stan zdrowia w ogóle był tak zły, że dwaj lekarze miewali dziennie po czterdziestu i pięćdziesięciu pacjentów.

W rodzinie Matusa zachorowało na błonicę jedno dziecko; u Dąbków na tę samą chorobę zapadło dwoje najmłodszych, a wreszcie rozchorowała się i Mikołajowa, znużona czuwaniem po całych dniach i nocach przy dzieciach. Stara Kobylakowa znowu dostała zapalenia płuc i przeniesiono ją do szpitala okrętowego. Kobylak odwiedzał żonę, ale tylko wtedy, gdy chorób było lepiej; jeżeli się miała źle i stan jej zdrowia wymagał spokoju, nie pozwalano staremu wchodzić do kabiny żony. Czyniono to i dlatego, że troskliwy mąż przyniósł parę razy chorób kobiecie do jedzenia jakieś niezdrowe rzeczy. Starzec ten, gdy mu do żony wejść nie dozwolono, wystawał pod zamkniętymi drzwiami i tam się przysłuchiwał, co się wewnątrz dzieje. Do uszu jego dochodził kaszel, stękanie, szmery ciężkiego oddechu. Z pod tych drzwi Kobylak rzucał pytanie:

- Łucka, jakże się miewasz? czy ci dzisiaj lepiej ?...
- Niekiedy chora dawała odpowiedź:

— Krztynę lepić, lepić, tylko mi się ciągle chce pić coś kwaśnego.

— Toćbym ci przyniósł, przyniósł, ale cóż, kiedy zamknięte są drzwi oto.

Takie i tym podobne rozmowy dwojga starszków kończyły się zwykle na tём, że nadchodził felczer, będący dozorcą szpitala, i Kobylaka wyprowadzał na pokład, a zawsze powtarzał:

— Niewolno chorój przeszkadzać, niewolno.

Tak zły był na okręcie stan zdrowia, że kiedy przybito do wyspy Teneryfy i miejscowy zarząd sanitarny sprawdził rejestra lekarzy okrętowych, zabroniono wysiadania komubądź na ląd. Mniemano, że na parowcu musi panować jakaś ciężka zaraza, skoro jest tak wielu chorych, a nastąpiło dotąd aż dziesięć wypadków śmierci.

Więc na Teneryfie, w porcie Santa-Cruz, nabrano tylko węgla, nakupiono wołów, zaopatrzone się w wodę słodką, pocźm okręt ruszył dalej.

Morze było już teraz spokojne, lecz choroby ciągle się wzmagaly. Kapitan okrętu, człowiek energiczny, robił wszystko, co było w jego mocy: kazał codziennie zmywać podłogi pod pokładem, otwierać wszystkie okna i przewietrzać te sutereny, niewiele to jednak pomagało.

Jednej nocy cicho i spokojnie zasnęła snem wiecznym w swoim szpitalu Kobylakowa, a teźże samćj

nocy zmarło najmłodsze dziecko Dąbków, które się urodziło w Bremie.

Nazajutrz rano Kobylak z różańcem na szyi szedł według zwyczaju odwiedzić żonę, lecz go do jej izby nie chciano wpuścić; felczer zamknął drzwi na klucz i powiedział: „nie wolno!” Staruszka znajdowała się wtedy już gdzieś indziej, w tak zwanym trupiarni.

Mikołajowa znowu, gdy spostrzegła, że jej dziecina nie żyje, napełniła okręt krzykiem przeraźliwym, prawie nieludzkim. Poschodzili się ludzie na ten jej lament, a ona rwała włosy, to znowu chwyciła dziecko, przyciskała do piersi, całowała w martwe usta. Naraz porzuciła dziecię i jak szalona biegła w tę stronę, gdzie Grzędzianka miała swoje schronisko. Dąbkowa przypadła do śpiącej Maryny i rzuciła się na nią, jak wściekłe zwierzę; obiema rękoma objęła ją za gardło i poczęła dusić.

Była to okropna scena. Jaki taki, zbudzony ze snu temi strasznymi krzykami, nadbiegał i siłą zaledwie odciągnęto Mikołajową od jej ofiary. Ale jej nikt nie mógł uspokoić: z rozpaczą nad śmiercią dziecka przechodziła do wściekłości, płakała, bluźniła, przeklinała, groziła, aż do białego dnia; wreszcie popadła jakby w odrętwienie, siadła na łóżku, zakryła twarz rękoma i tak pozostawała, nie wiedząc co się dokoła dzieje.

Około południa Kobylak, podpierając się sękatym kijem i zawsze z różańcem na szyi, znowu przyszedł

A. Dygasiński; Na złamanie karku.

pod drzwi szpitala żony; zapukał i parę razy powtórzył zwykłe pytanie. Zjawił się felczer, wziął starca pod rękę i wyprowadził zamtąd, mówiąc: „Dzisiaj do szpitala ani wchodzić, ani pukać nie wolno!”

Starzec usiadł pod masztem na ziemi i mruczał:

— Pewno dziś Łucce gorzej, nie odezwała się nawet...

Zdjął ze szyi różaniec, przesuwał na nim paciorki i odmawiał pacierze do Przemienienia Pańskiego. Kiedy skończył modlitwę, poszedł do burty, a oparłszy się rękoma, patrzył wyblakłym wzrokiem na morze i powtarzał:

— Mocny Boże, cóżeś też za okrutne wody stworzył... Toć my jedziewa do wieczności.

Wcale dnia tego nie jadł obiadu, zapomniał, że się jada, a kiedy zadzwoniono na wieczerzę, wziął miskę i poszedł z nią do kuchni. Tu go zapytano, ile porcyj bierze; odpowiedział, że dwie. I z temi dwiema porcjami znowu stanął pod drzwiami szpitala. Zapukał, potem spytał:

— Łucka, powiedz-że, czy ci lepićj?... Wziąłem dziś porcye na dwoje. Nijako mi jeść bez ciebie!... A cóżeś tóż za sprzeka taka, że się odezwać nie chcesz! Łucka, Łucka!

— Nie budźcież kobiety, kiedy widno zasnęła!— mówili ludzie, przechodzący tamtędy od strony kuchni ze swojemi porcjami. — Jakże ona tóż może ozdrowieć, kiedy jćj się wyleźć nie dacie?

— Święta prawda — odrzekł starzec, cofnął się od drzwi, poszedł na pokład, usiadł tam sobie i mruzczał pod nosem:

— Może jój téż to Pan Jezus odmieni, kiedy tak twardo zasnęła... Pacierze moje mogły pomóc.

Siedział tak, mówił coś do siebie, a obok niego stała miska z dwiema porcyami wieczerzy; potem się zdrzémnął i zasnął mocno.

Nadeszła noc pogodna, z księżycem i gwiazdami. Gdyby tak kto téj nocy nie spał, a bacznie się przyglądał wszystkiemu, co się działo na okręcie, byłby widział, jak w trupiarni pracowało czterech majtków. Dwóch z nich zawijało w szmaty martwe ciało Ko- bylakowój, a dwaj inni toż samo robili ze zwłokami maleńkiego dziecka Dąbków. Potém majtkowie ci w nogach każdego trupa ułożyli kawał żelaza i martwe ciała zupełnie zaszyli w płócienne płachty. Gdy się to działo w trupiarni, trzecia para majtków spuszczała znowu pomost ze schodkami, na których ułożono pochyło deskę od góry aż do dołu. Była godzina trzecia po północy; parowiec zatrzymał się w biegu, księżyc rzucał na pokład cień od różnych przedmiotów i oświecał głowę śpiącego pod masztem Kobylaka, którego nikt tam jednak nie zauważył; na morzu, jak szeroka rzeka, odbijały się blaski księżyca.

Lekko skrzypnęły drzwi trupiarni i najprzód wyszedł przez nie majtek, niosący na rękach

ciało

8*

dziecka; przystąpił do majtków, którzy właśnie już ułożyli na pomoście deskę, i oddał im swoje brzemie. W księżycowym świetle mignęło tylko staczające się po pochyłości białe zawiniątko i lekko spadło w morze; zaledwie bardzo słabe pluśnięcie było słychać.

Niebawem wyszli znowu z trupiarni dwaj majtkowie, i ci nieśli wspólnie cięższe już brzemie; dwaj inni, stojący na mostku, odebrali je czempredźj. I znowu w świetle księżyca szybko stoczyła się w morze biała masa.

W tój chwili pod masztem dał się słyszeć głos sennego człowieka:

— Łucka, Łucka!... Odezwij-że się przecie! Toć wiem, że ci się zlepszyło, Pan Jezus odmienił wszystko od dnia wczorajszego...

Marynarze, choć ludzie odważni, wzdrygnęli się czegoś. Jeden z nich podszedł do masztu, popatrzył na starca śpiącego nad miską, przy której leżały także dwie łyżki, i cichym głosem rzekł po niemiecku:

— Cicho, nie budźcie go, to mąż nieboszczki!...

Potem już w milczeniu majtkowie wciągnęli deskę, która służyła niejako za karawan, zaskrzypiały kółka bloków, gdy na łańcuchach zwijano pomost. Machina parowa poczęła silnie pracować, okręt potężnie pruć fale morza; rozległ się jednostajny szum i plusk wody, wszystko było, jak dawniej Tylko

starego Kobyłaka dzieliła już od Łucki znaczna przestrzeń i ogromna głębia Oceanu.

Kiedy go rano zbudziły promienie słońca, przetarł oczy, popatrzył na stojącą obok miskę i rzekł:

— No, moi ludzie, toć aniśmy tknęli oboje wczorajszej wieczerzy!

ROZDZIAŁ XIV.

Trwoga wychodźców na okręcie.

Z szybkością trzynasta mil morskich na godzinę zbliżał się parowiec ku równikowi, a odpowiednie do tego gorąco tak wzrastało, aż wreszcie, zarówno w dzień, jak w nocy, niepodobieństwem było pozostawać w onych suterenach pod pokładem. Porozwieszano więc płócienne namioty i w ich cieniu rodziny wychodźców przepędzały dnie i noce. Pot lał się strumieniem z każdego i wspominano sobie, że w rodzinnym kraju o tej porze, w połowie listopada, bywają nieraz silne mrozy. W czasie tych upałów podróżnikowych rozmnożyły się nadzwyczajnie między ludźmi pasożytnicze owady; u jednych dzieci głowy pokryły się zupełnie szpetnymi strupami, innym znowu wystąpiły na całej skórze pęcherze, które pękały i sprawiały bardzo przykre swędzenie.

Niektórzy z wychodźców zobojętnieli już na to wszystko, co się z nimi działo, i powtarzali tylko:

— Niech się stanie wola boża!

Ale inni strasznie wyrzekali, rozpaczali, przeklinali agentów i samych siebie; często można było słyszeć teraz żonę, która mężowi czyniła gorzkie wymówki, albo ma nawet złorzeczyła za to, że ją z dziećmi prowadził w taką podróż.

Ów szewc Joachim rozповідаł i teraz najdziwaczniejsze rzeczy o drodze morskiej, jaka pozostawała jeszcze do przebycia:

— To wszystko jeszcze nic —mówił — zobaczycie rzeczy dziwniejsze: na niebie będą dwa słońca, które człowieka palą z każdej strony, i woda się od nich w morzu zagotuje, a okręt mogą spalić.

Krawiec z Konina znowu złością bryzgał na ludzi i na szewca:

— Chamy takie głupie, nie wiedzące, co ich czeka, nie powinny się ruszać z domu. Gdzie to-to bydło idzie na oślepa, bez żadnego rzemiosła w rękę? Gnoj tylko umieją wybierać widłami i do Ameryki płyną! A cóż wy, durnie, myślicie, że was tam kto potrzebuje? Do czego? Lada szewc w pole ich wywiedzie i oni do Ameryki jadą !

Stary Kobyłak wpadł był w jakąś manię prorokowania; chodził pomiędzy ludźmi bosy ze spodniami zawiniętymi w walek aż do kolan, w koszuli rozpiętej na piersiach, gdzie nosił wielki szkaplerz

i przerozoiate święte medaliki, a około szyi owinał sobie różaniec z dużym czarnym krzyżem. W czasie tej podróży wychudł, ogorzał, a całą twarz obrosły mu siwe włosy.

Kiedy się zbliżał, ludzie się rozstępowali z uszanowaniem, robiąc mu miejsce, a on tak nieraz prawił:

— Między wami nikt tego wiedzieć nie może, co ja wiem, bo moja Łucka do Pana Jezusa poszła po radę; dziś oto w nocy była tu na okręcie i opowiedziała mi wszystko, co się stanie. Będzie źle, bardzo źle ! Za to, żeśmy uciekli z kraju od swojego Boga, od cmentarza, gdzie leżą nasi ojcowie, dziady, pradziady, odpokutujemy okrutnie! Plagami egipskimi Pan Jezus nas pokarze: wodą, ogniem, zarazą, jadowitemi węzami! Na obcój ziemi zginiemy wszyscy, jak pogany, bez modlitwy, bez żalu, bez pogrzebu!

— Bójcie się Boga, kumie! — zawołał raz Matus Dzwonko — toćmy się dostaniemy między katolicki naród, który ma kościoły, sługi boże, cmentarze!

— Musicie mi wierzyć! — zawołał Kobylak# podnosząc do góry rękę — Łucka dziś przyszła na okręt od samego Pana Jezusa, a ona kobieta sprawiedliwa, powiedziała mi prawdę świętą...

Wygłosivszy to, starzec zdejmował z szyi różaniec, żegnał się głośno, siadał pod wielkim masztem i na cały głos odmawiał pacierze.

Przepowiednia Kobylaka ścinała przerażeniem krew w żyłach, rozchodziła się między masą, i no- wemi dodatkami zwiększano jeszcze jej grozę. Ze wszech stron schodzili się ludzie do Kobylaka, bo każdy osobiście chciał starca wybadać, dowiedzieć się od niego o swojej przyszłości na obcej ziemi. A stary nieustannie powtarzał:

—Oj, źle, bardzo źle nam będzie za to, żeśmy opuścili swoją ziemię!

Najbardziej się tém zaś przejmowały kobiety:

— Juścić oni prawdę mówią — wołały, — My tu żyjemy jak bydłeta, nikt nie wie, kiedy niedziela, kiedy dzień święty. W piątek nicma postu, dzieci się nie chrzci, umarłych, jak psów, wrzucają do morza... Zgorszenie wszędzie!...

Na morzu też ukazywały się zjawiska, o których N cbłop nasz nie miał żadnego pojęcia, a nie umiejac sobie ich wytłómaczyć, wpadał w zdumienie. Porywała się nieraz gromada ryb latających, co jakby stado ptaków szybowały tuż ponad falami i naraz znikwały w wód głębinie. To znowu w pobliżu okrętu przepływały rekiny, czyhając na zdobycz, która im z pokładu spaść mogła w morze. Innym razem w susach i podskokach prosto na okręt pędziły ogromne ryby, wyglądające jak bajeczne smoki, ukute z żelaza lub spiżu. Widziano też w niejakić odległości spokojnie płynącego olbrzymiego potwora z rodziny wielorybów; zdawał on się nie zwracać

uwagi na wszystko, co go otaczało; czuł, że jest panem na tych przestworach wodnych, rozgarniał dokoła siebie wodę, jak okręt, i spieszył dalej.

Jedni z ciekawością zabobonna, inni ze strachem spoglądali na takie rzeczy. Niektórzy rzemieślnicy słyszeli lub czytali to i owo o morzu oraz jego mieszkańcach; tacy niedokładną swoją wiedzę przystrajali w opowiadaniu różnemi dodatkami o smokach, syrenach, wężach strasznych i innych morskich straszydłach, a tём zwiększali jeszcze panującą wśród chłopów grozę.

To wszystko jednak miało jeszcze mniejsze znaczenie w porównaniu z najpotężniejszym na morzu zjawiskiem, z jego burzą.

Pewnego dnia po południu, około godziny czwartej, panował jakiś niezwykły przyparek; słońce piekło nadzwyczajnie, a przytём atmosfera stała się tak duszną, że zaledwie można było oddychać. Na firmamencie tu i owdzie ukazywały się chmury, które nabierały coraz ciemniejszej barwy, aż wreszcie rozmnożyły się tak, że zakryły słońce i było ich pełno na wszystkie strony.

Powierzchnia morza zrazu naznaczyła się tylko niewielkimi falami. Nareszcie powiał wiatr, po* czął spędzać owe chmury na niebie, a na morzu piętrzyć fale, które się wnet przystroiły białą pianą. Po przez czarne obłoki przedarła się jedna, druga

błyskawica, a w oddaleniu dał się słyszeć poważny buk grzmotu.

Kapitan wydał rozkaz, ażeby zwinięto żagiel, ja- koteż płócienne namioty ponad pokładem.

Znowu ujrzano błyskawicę, znowu usłyszano grzmot, lecz teraz już znacznie donośniejszy. Wiatr zagrał na linach okrętowych jakiegoś grobowo- ponurego mazura, wpadł na okręt szalenie, przeniknął do wszystkich jego rur, otworów i dała się słyszeć muzyka, której melodyę stanowią: wycie, jęki, piski, huki i szumy.

Fale piętrzyły się coraz wyżej, a na okręt uderzały z wielką natarczywością. Niektóre pędziły jak szalone, tryskając fontannami na swych szczytach; były takie, które wysokością przewyższały ów wielki parowiec, wpadały na pokład i zalewały go- obficie.

Na świecie zrobiło się czarno; na morzu wszędzie kipiało i biała piana fal świeciła złowrogo.

Trząsł się okręt, trzeszczał w swych stawach, i skrzypiał; chylił się na prawo, na lewo; wydawało się niekiedy, że on płynie przez jakiś straszny wąwóz, gdzie góry wód grożą mu zalaniem, To znowu przodem swoim wspinał się na grzbiety olbrzymich bałwanów, które, szumiąc, mruczając, warcząc, minowały go z pod spodu.

Lunęła ulewa, a jćj szumowi jeszcze potężniejszym rykiem zawtórowało teraz morze; odgłos

grzmotów złał się w jeden straszliwy chóralny zgiełk ze świstem wiatru, rykiem fal i trzaskiem ścian okrętowych.

Oprócz załogi okrętowej, wszyscy zniknęli z pokładu, poukrywali się wewnątrz okrętu.

Przerażenie wychodźców dochodziło do najwyższego stopnia; padali na kolana, modląc się i śpiewając pieśni nabożne. Ale oto olbrzymi bałwan buchnął na pokład, a za nim przybył drugi i masy wody popłynęły do suteren wychodźców. Porwali się wszyscy na równe nogi, biegali wszędy, jak szaleni, a kołysanie okrętu rzucało ich od ściany do ściany lub zwałało na ziemię. Pierzyny, kufry, rozmaite graty pospadały z łóżek w wodę i przerzucały się z miejsca na miejsce, stosownie do przechylania się okrętu. Dzieci, kobiety, podnosiły wrzawę, padając na ziemię lub rozbijając sobie głowę o ściany.

Stuk, wrzawa, zamieszanie i popłoch były nadzwyczajne.

U wielu pojawiła się morska choroba w całej swojej sile; tacy stracili zupełnie przytomność, nie wiedzieli o bożym świecie, cierpieli tylko i jęczeli.

Nastała noc, a w jej ciemnościach wszystko przedstawiało się jeszcze straszliwiej. Morze szalało, jego wrzenie, ryk przeciągły słychać było nieustannie, a podrzucanie i wstrząsanie okrętem odbierało odwagę najśmielszym nawet z wychodźców. Każdy czuł się być małym, bezbronnym, wobec tej nieubłaganej

potęgi oceanu. Nikt też nikogo nie krzepił na duchu; niejeden mąż nie wiedział, gdzie jest jego żona, a matka nie mogła dokoła siebie zebrać rozrzuconych dzieci. Było to rozbicie w całym znaczeniu tego słowa. Jęki, płacze, utyskiwania, rozlegały się na wszystkie strony. Wszyscy byli przemokli, potłuczeni, ubezwładnieni na duchu i na ciele. Dostyc jest przeżyć jedną noc taką w życiu, aby jej wrażeń nigdy a nigdy już nie zapomnieć, tak silnie się one zapisują w duszy.

Z zewnątrz dolatywały pod pokład jakieś rozgłośne wołania majtków, urywane głosy, które nikomu nie dodawały otuchy, owszem, powiększały jeszcze, przerażenie; niejeden nawet sądził, że ostatnia chwila nadeszła i wkrótce otchłanie morskie staną się jego grobem.

Taki stan trwał przez całą noc; ale nad ranem zaczęło się uspokajać. Burza straciła na sile, nie stać ją już było na wściekłość i odeszła, pozostawiając za sobą spienione jeszcze morze, skołatany srogo okręt i znekanych ludzi.

Kiedy słońce weszło, było już dokoła spokojnie w powietrzu rozchodził się tylko chłód przyjemny.

— Wielki Boże! cośmy też za straszne rzeczy przeszli! — długo potem powtarzali wychodźcy polscy.

ROZDZIAŁ XV.

"Wicek Strzała poprawia ducha wychodźców.

Burza poczyniła szkody: na okręcie było teraz pełno potłuczonych i połamanych przedmiotów, a co najgłośniejsza, należało bezzwłocznie dokonać reparacji maszyny parowej. Na szczęście wiatr był pomyślny, więc parowiec i tak się mógł dalej posuwać. Przez dwa dni i tyleż nocy trwał stan taki.

Wychodźcom, obalamuconym przez rozsiewane przepowiednie, wieści, strapionym przez burzę, wydawało się to być nową karą bożą, na nich zesłaną.

Jednego razu przed wieczorem gromada ich siedziała na pokładzie, prowadząc rozmowy o wszystkim, co zaszło dotąd od chwili opuszczenia przez nich kraju. Nikt nie był zadowolony z emigracji, lecz powszechnie wyrzekano i utyskiwano.

— Pewnie nie dojedziemy do tój Bryzoli! — ode

zwał się któryś z chłopów. — Woli Boga niema w naszej drodze.

— Maszyna się oto popsowała i niechby teraz przyszła druga taka wichura, jak ta ostatnia, na nieby- śmy przepadli — rzekł inny.

— Oho, nie pozbierałby z nas kosteczek!

— Bo to tu jeden już Bogu ducha oddał? Taka woda morska ma okrutną siłę!

— Ma siłę, bo mieć powinna — odzywa się Wicek Strzała, który właśnie na tę rozmowę nadszedł. — Kto po morzu pływać nie przywykł, dla takiego ono straszne i taki powinien w domu siedzieć. Ale inni ludzie ciągiem pływają na okrętach, całe życie na nich przepędzają i z tem im dobrze, nie skarżą się przecie.

— Gdzie im ma być dobrze! — zawołał Dąbek. — W Bryzologii może ta i będzie co dobrego, jeśli dadzą dostatnie grunta, a do tego należyte zapomogi, ale tu, na morzu, człek się okrutnie stera.

Wtém podszedł krawiec z Konina, przygląda się ludziom i powiada:

—* O czémże tak radzicie? Myśleliście, że do Ameryki tak się jedzie, jak na jarmark w Polsce?

— Kto miał myśleć! — odzywa się jeden z chłopów — każdy wiedział, że droga setna, jeno nikomu do głowy nie przyszło, żebyśmy przechodzili takie straszne tarapaty.

— Ha, ha, ha! — roześmiał się krawiec na całe

gardło. — Głupi narodzie, bydło, gdzie wam myślcćf Tacy leca, jak barany, jedno za drugim! Do Ameryki się wybrali!... Oj, wy gawrony!

-I tak, włożywszy obie ręce w kieszenie od spodni, szydził i drwił z chłopów.

— Czy to chama kto czego nauczy? — mówił. — Oświaty to-to niema najmniejszej, żadnego rzemiosła w ręku, cóż wy będziecie robili w Ameryce? Tam nie potrzebują durniów, głupców, hołoty ciemnoj!...

Chciał dalej jeszcze mówić, ale Wicek do niego podszedł, spojrział mu ostro w oczy i rzecze:

—A tyś kto taki, urwipołciu jeden? Nieraz już słyszę, że ludziom wymyślasz od ostatnich, a nikt ci. jeszcze nie dał dobrej nauki. Pamiętaj-no sobie, że jak cię kiedy postyszę, co wymyślasz od chamów, od bydła, durniów i innych przezwisk, to ci takie mydło sprawię, że się z tego i w Ameryce nie wylżesz.

— Co to jest? Co to znaczy? — krzyknął krawiec, usuwając się Wickowi z pod ręki — gwałty wam się zachciewa robić na okręcie? Oho, ostrożnie, bo to nie w Polsce, gdzieście się codzień spijali, kradli, rozbijali!... Na okręcie jest kapitan, porządna władza; poskarżę się, do kozy cię wsadzą, albo i co gorzój będzie!

— No, no, stul gębę, pędziwietrze zacieczony ! Nim mnie, uważasz, do kozy wsadzą, to i tak będę

miał jeszcze dosyć czasu, żeby cię gdzieś uszczypnąć, tyła ci to nie wyjdzie na zdrowie I

W odpowiedzi na to krawiec się zakręcił i odszedł, a wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Teraz się z niego śmiejeta, a jak wam ciągle sobaczył przez cały czas w Brymie i tu na okręcie, toście takiego zgiełku cierpliwie słuchali, a nikt nie śmiał gęby otworzyć!

— Juści prawda; ten krawiec, psiawiara, zawdy nad nami przewodzi!

— Ej, co mówić! Kto tylko chce, to z wami zrobi, co mu się podoba. W Polsce bałamucili was agenci, pisarze gminni, różni adwokaci, a teraz oto

lada łgarz we łbie wam przewraca, albo lada głupi 4 ** v^w<- wami dysponuje, czy się natrzasa. Toć taki chory starowina, jak Kobylak, a i on wam strachu nieraz narobił, choć jeno od rzeczy baje. Jak Bóg na niebie, w Brazylii będzie to samo!... Tak nie idzie!... Albo wy sami wiecie, czego chcecie? Z własnej woli • puciekaliście z chałup, nikt was przecie nie pędził, a teraz wyrzekacie, przeklinacie drogę, boicie się morza, dziwności wyrabiacie...

— Święta prawda! —• któryś chłop zawołał. — Ten człowiek mądrze, rzetelnie mówi.

— Oho, ma on spryt za dziesięciu! — poszepnął Matus Dzwonko, który siedział na boku i przysłuchiwał się rozmowie.

Wicek Strzałę, powiedziawszy swoje, odszedł za-

A. Dygasiński. Na złamanie karku. 9

raz, zbliżył się do innej znowu gromady, którą właśnie obelgiwał szewc Joachim:

— Jest—mówił—w tem tu morzu ryba okrutna, wieloryb, co ludzkim mięsem jeno żyje. Jak tędy raz święty jeden na okręcie płynął, to go ten wielgo- ryb żywcem połknął... A jakże, taki codzień, choćby jednego człowieka na ząb dostać musi: pono z nieczystym duchem ma spółkę.

Zakorciło Wicka takie łgarstwo, pomyślał sobie, że z tym szewcem także należy się rozprawić, więc z tyłu do niego podchodzi, chwyta go za ramię i do ucha krzyknie:

— Hej, ty paliwodo! Nałgałeś już tyle, że tego w brzuchu żaden wielgoryb nie zmieści. Dostyc na- zwracałeś głowy biednym ludziskom, nad którymi i tak dużo nieszczęścia wisi!

— Panie Wincenty, jak Boga kocham, prawda! O tym wielgorybie nawet w Piśmie Świętóra stoi! — zawołał szewc, którego przemowa Strzały wcale nie stropiła.

— Popierwsze, że nie jestem panem, rozumiesz! A powtóre, że co stoi w piśmie, to nie dla mnie, bom ja nie piśmienny; tylko widzisz, łgarzu jakiś, i bez pisma mam w głowie kalkulację, rozumiem należycie, jako to wszystko, coś ludziom w Brymie i na okręcie bredził, nie warte funta kłaków! Ogłupiasz oto naród, który ci wierzy, jak komu dobremu, na

pędzasz nieraz bezpotrzebnie niejednemu stracha, czy to tak dobrze?

— Teraz mu tam ludzie już niebardzo dowierzają, bo juści jaki taki spostrzegł, że Igarz z niego; miele jacy językiem od rana do wieczora, a nic się z tego nie sprawdza, co on przepowiada — odezwał się jeden ze słuchaczy.

— Kiej nie wierzycie w jego szczekanie, to czemuż mu kto nie plunie w tę gębę, co samym fałszem jeno bluzga? — powiada Wicek. — Toć taki jęzor gorszy od psiego!

— Bardzo proszę nie obrażać! — zawołał szewc. — Więcej poufałości, niż znajomości! Cóż wy sobie myślicie? Ja jestem majster, rękodzielnik, człowiek honorowy...

— Kiedyś majster od butów, to buty rób, poganinie! — odrzeknie mu Strzała. — Nikt ci przecie nie następuje na twój szewcki honor, jeno jest mowa o twojcm łgarstwie.

Stropił się Joachim, udał obrażonego, nastroił pogardliwą minę, i na bok odszedł. Ale właśnie spotkał się oko w oko z krawcem, który zdaleka podsłuchiwał tę rozmowę i bardzo się cieszył, że Wicek dał naukę szewcowi. Uśmiechał się tylko złośliwie, stanąwszy naprzeciw Joachima,

Irzekł:

— Tylko jednego szewca mogą jeszcze głupie chamy czegoś nauczyć, tylko szewca mogą na hono

rze ciężko pokrzywdzić! Ale co tam, pan Joachim połknie tę pigułkę, którą prosty chłop brudną ręką w gębę mu wsadził! Przecież to zawsze mniej śmierdzi niż szewcka smoła, a co? nie prawda?

— Odczep się odemnie, krawiecka duszo! — krzyknął szewc ze złością.

— Na całym świecie tylko jedne szewcy nie mają żadnego honoru! — wołał krawiec, ciągle zachodząc drogę Joachimowi. — Szewca można za drzwi wyrzucić, zekpać od ostatnich, a nawet trzasnąć na prawo i na lewo!... — i krawiec zrobił gest, jaki towarzyszy uderzeniu człowieka w policzek.

Joachim się teraz odwrócił, kopnął w brzuch krawca i szybko przez najbliższe schody zbiegł pod pokład.

Od tego czasu szewc przestał opowiadać chłopom dziwolągi; krawiec zaś już im nie wymyślał, lecz prześladowanie swoje zwrócił wyłącznie do szewca, na którego teraz polował całymi dniami. Joachim uchodził przed swoim przeciwnikiem jak najstaranniej, gdyż go bolały te drwiny z fachu szewckiego.

Wszyscy emigranci na okręcie bardzo uważali Wicka, i ile razy kto potrzebował jakiej rady, do niego się udawał. Kobyłak był już teraz jak dziecko: jeśli się nie modlił, to ciągle ludziom przepowiadał nieszczęścia. Siedzi on sobie raz samotny pod masztem, a Strzała do niego podchodzi i usiadł

obok. Stary zaraz zaczął przepowiadać straszne nieszczęścia:

— Pokarze nas Pan Bóg ogniem, powietrzem, wojną; jedna noga nie ujdzie przed sprawiedliwym gniewem Pana Boga wszechmogącego, w Trójcy świętej jedyne. Powietrze leci za nami przez te wody, a głód, wojna i ogień już na nas czekają. W grzechach będą ludzie nagle marli; brat gię na brata rzuci w głodzie, mąż na żonę...

— Mój Bartłomiej — przerywa mu Wicek — jesteście oto na świecie sami, jak palec, ja też nie mam nikogo. W eźcie mię sobie za swego, jak syn będę wam służył w waszćj starości.

Kobylak Wickowi w oczy spojrział, bo już znajomych ludzi nie poznawał, i pyta:

— A z kądże ty, człowieku, pochodzisz?

— Jakto z kąd ? Tak samo, jak wy, z naszej Rokitnicy, a nazywam się Wicek Strzała.

— Z Rokitnicy, z Rokitnicy!... Pamiętasz kościół między drzewami, bielutki taki, z krzyżem świecącym ?

— Cóżbym nie miał pamiętać...

— Środkiem przez wieś bieży droga, nad drogą chałupy z sadami, z obejściami, z żórawiami. Na pierwszej chałupie od Rypina gniazdo bocianie... Czekaj że, czyjaż to chałupa?

— Bartka Okrasy.

— A druga, czyja ?

— Franka Lodnickiego.

— Trzecia z rzędu była moja, tam się urodziłem; ale tam nie umrę...

Oni tak oba rozmawiają, a ludzie się schodzą, obstepują ich dokoła[^]i nasłuchują.

— Po jednej stronie za chałupami pola—mówił dalej Kobylak — jakie to tam żyto, mój Boże!... Za polami las: grabina śliczności, brzezina, znajdzie się i dąbek, sosenka!... Z drugiej strony, nad rzeczką, ogrody: bób, kartofle, rzepa, kukurydza, mak, czasem i słonecznik. Za ogrodami, za rzeką, pastwisko wchodzi klinem między łąki: co oni za bydelko mają! Pamiętasz ty krowy Nawrota, co je ta głucha Hanka pasła?... Ee, koniki jedyne, to już miał Szymek Kleparski, dwie siwe kobyły, co rok żrebne!... Jedną mu ukradli, mój Boże! Ale w rok potem odbił złodziejowi na jarmarku... Jak się to tam latem sypiało na łące pod kopką siana!... Idę ja sobie raz w nocy na łąkę, zasnąłem twardo, a we śnie mi się widziało, że złodzieje jedną kopkę po drugiój kradną; ocknąłem się: słońko wschodziło, opary, jak białe szmaty, szły precz ku rzece, bociek już gonił na długich nogach za żabami; spoglądam: ode wsi idą rzędem po kładce na rzece kosiarze, a w innym miejscu znowu — bydło przez rzekę brodzi ku pastwisku... Cóż wy powiecie? Łucka na łące była już z grabiami i drugą kopkę rozbiła...

Nie skończył mówić, a tu się rozległ płacz i szlochanie okrutne:

— Mocny Boże! a toć to nam Rokitnica! — wołały baby, a za babami zaczęły płakać głośniej jeszcze dzieci.

Starzec popatrzył na nich, i jakby zapomniał o tém, co mówił przed chwilą, w te słowa się odezwał:

— Wczoraj mi się śniło, że byłem na cmentarzu w Rokitnicy i tam na grobie postawiłem Łucce krzyżyk z brzeziny; ona mi za to powiedziała, co się będzie działo...

— Pewnikiem jednym będzie gorzćj, drugim le- pićj — przerwał Wicek.

— Gadanie! Ciężkiemi plagami nas Pan Jezus pokarze.

— Mój ojciec — powiada znowu Wicek — za cóżby miał karać ludzi biednych, jeżeli sobie dobrze postępują?

— Nie widzisz tego, że oni płaczą, bo zgrzeszyli, bo opuścili ziemię swoją?...

— Oni są tak, jak małe dzieci, nic a nic nie wiedzieli co robią. Wszyscyśmy tacy. Jakby już kara Boża spaść miała, to chyba na tych, co cały ten naród oszukali, zmanili i z domu wyprowadzili. Powiedzcież sami, mój ojciec, czy ja nie mówię prawdy? Też Pan Jezus jest dobry i sprawiedliwy!

— O, tak, tak, dobry i sprawiedliwy!

— No, to nie straszcież ludzi karami Bożemi, bo

oni tak mają za swoje od sumienia i od biedy! Kiedy teraz słuchają wszystkiego, co przepowiadacie, tracą głowy, upadają na duchu i niejedno robią jak po omacku.
Starzec słuchał mowy Wiekowej, może co z tego zrozumiał, a może nie rozumiał.

ROZDZIAŁ XVI.

"W" porcie Rio de Janeiro,

Nareszcie, jednego dnia wieczorem, spostrzeżona z okrętu w oddaleniu jakieś światło, które się mieniło — było już to purpurowe, już znowu po chwili zielone, potem żółte.

Wszyscy przyglądali się temu z pokładu zdziwieni*

— Co też to może być takiego? — zapytywano-

— Juści chyba gwiazda tu tako pośwituje, w ów- tych stronach.

— Musi kapliczkę jacy ze światłem postawili na morzu, koli nabożeństwa ludzi płynących, nieprzy- mierzający, jak i u nas w Polsce stawiają po wsiacb przy drodze.

Aż dopięro któryś z majtków opowiedział, że to jest latarnia morska, postawiona na brzegach Brazylii, dla bezpieczeństwa okrętów w nocy.

Wieść, iż okręt jest już blisko Brazylii, sprawiła

nadzwyczajne wrażenie. Choć to noc była, każdy z wielkim pośpiechem biegł pod pokład, pakował swoje manatki w worki, płachty i skrzynie; mniemano bowiem, że z chwilą przybycia do Brazylii, trzeba będzie natychmiast na ląd wysiadać. Spokojnie podążał okręt ku portowi, zamkniętemu między górami, kiedy naraz usłyszano huk wystrzału z armaty.

—Słyszysz? — odzywa się któryś z emigrantów — z armat wałą.

—Musi na wiwat tak wystrzelili!—odrzekł inny.

Ów wystrzał był znakiem, danym w tym celu, ażeby okręt podczas nocy nie wpływał do portu.

Ujrano teraz tysiące świateł, rozrzuconych po górach i nad brzegiem morza. Wśród ciemności nocnych ziemia sprawiała wrażenie nieba, zasianego gwiazdami.

Były to światła miasta Rio de Janeiro, stolicy Brazylii, owój ziemi obiecanej emigrantów.

Parowiec przeczekał noc zewnątrz portu, lecz przez ten czas żaden z emigrantów oka nie zmrużył; wszystkim żywo biły serca na widok krainy, ku której spieszyli wśród tak licznych przygód, przeszkód i porzuciwszy rodzinne strzechy. Pogoda sprzyjała, więc całą noc śpiewano pieśni nabożne, gwarzono.

Dzień zastał wszystkich razem zebranych i tak gromadnie wyczekujących, co dalej będzie.

Słońce pięknie wschodziło, promienie jego pozłoty- cały wierzchołki wiecznie zielonych gór brazylikań-

skicb, kiedy okręt wpłynął do wielkiego i wygodnego portu Rio de Janeiro, a wywiesiwszy flagi, zatrzymał się w dosyć znacznej odległości od brzegu.

Według zwyczaju, dano śniadanie emigrantom, ale z wielkiego wzruszenia prawie nikt nie jadł; wszyscy tylko wpatrywali się w rozrzucone po górach i nad morzem miasto białe, pokryte czerwonymi dachami. Jedni drugim pokazywali widniejące zdal- ka wieże licznych kościołów, mówiąc:

— Widno tutaj na nabożeństwie porządnie można użyć!

Niezadługo wpłynął do portu inny niemiecki parowiec, który się również W pobliżu zatrzymał i na kotwicy rozłożył, a przywoził on także polskich emigrantów. I ci też tłumem wylegli na pokład.

Dziesiąta godzina już wybiła, okręt nie ruszał się z miejsca i wychodźcom coś dziwno było, że nikt ich tutaj nie oczekuje, nie przyjmuje w tój nowój ojczyźnie.

Dopiero około południa ujrzano pędzący od wybrzeża mały parowczyk, z flagą barwy zielonój i żół. tej: płynął, głośno kwakając, jak kaczka. Na ten widok parowiec z naszymi emigrantami począł czynić odpowiednie przygotowania: spuszczone zaraz pomost i wśród całej załogi można było słyszeć powtarzane wyrazy:

—Wizyta jedzie, wizyta!

Chłopi myśleli, że się zapewne już teraz los ich

rostrzygnie, tymczasem na okręt przybył lekarz brazylijski ze swymi pomocnikami, ażeby sprawdzić, czy parowiec emigrancki nie przywozi z Europy do Rio de Janeiro jakiej choroby zaraźliwej.

Po tych odwiedzinach lekarskich przybyli celnicy, zwani w Brazylii „alfandega”, ci obejrżeli, co należało, i na okręcie zostawili strażników, którzy tu pilnowali, aby kto przypadkiem nie handlował jakim zagranicznym towarem, nie opłaciwszy cła przedtém.

Góż kiedy na okręcie niemieckim jedynym towarem byli ludzie, którzy dawno już sami siebie sprzedali..

Nakoniec po wizycie celników znowu przybył inny parowczyk, a na nim — jacyś panowie, bardzo pięknie poubierani w lakierowanych butach, z pierścionkami brylantowymi na palcach.

Byli to właśnie urzędnicy brazylijscy od kolonizacji.

Powchodzili na okręt, a najstarszemu z nich kapitan oddał spis polskich emigrantów i rachunek należności za ich przewóz, jako też na żywienie w Bremie i podczas drogi. Ci panowie przechodzili się potem między emigrantami, rozmawiali między sobą:

— Niéma tu wcale przystojnych kobiet! — powiada jeden.

— Dużo niéma; ale widziałem bardzo piękną dziewczynę: figurkę ma wysmukłą, buzię aż miło popatrzeć.

—Gdzie ona jest, gdzie? — zapytuje tamten.— Pokaż mi ją pan zaraz!

Idą znowu pomiędzy emigrantów i tam się przypatrywali Marynie Grzędzianee, stroili do niej miny, jak koguty.

Już wszyscy chłopci wiedzieli od majtków, od tłómacza, że ci panowie są to brazylianie, którzy emigrantom polskim grunt wydzielają, tak im się też :z ciekawością wielką każdy przyglądał. Dąbek i niektórzy na grunt chciwsi czapki z głowy pozdejmowali przed nimi.

Ale Wicek Strzała, jak tylko spostrzegł, że oni między kobietami przepatrują i Marynie Grzędzianee osobliwie się przyglądają, zaraz go to strasznie ubo- dło; wysunął się z gromady tak, żeby go każdy mógł widzieć, i dopiéro się z przekąsem odzywa:

—Tyle zbiedzonego narodu z ogromnej dali do nich przybywa, a ci ladaco między babami sobie myszkują! Słyszał kto kiedy takie rzeczy?... Tfu!...

I plunął przed siebie. Zobaczyli owi urzędnicy, że chłop musiał coś niedobrego na nich powiedzieć i zaraz jeden za drugim zmykali do kajuty, jak zmyci.

—Wiesz ty, Wicek, co ja ci powiem?—odzywa się Dąbek.—rTy bez potrzeby żadnej lubisz z ludźmi zadzierać! Tacy oto panowie mogli się ztwojój przyczyny na nas urazić. Dobrze to będzie, jak oni potóm jednego drugiego na gruncie uszczuplą, albo go na piachach, nieużytkach posadzą?

—Nie wam mnie uczyć rozumu! — zawołał Wicek.—Naturę mam taką w sobie, że jak widzę letko- ducha, nicponia, co mu we łbie świta, a nie ma wyrozumiałości na ciężką ludzką dolę, to swoje powiedzióć muszę! Te panki co innego mają na myśli, nie zaś uszczęśliwienie takich, jak my, nędzarzy. Jak w tej Bryzologii wszyscy tacy, to niech ich piorun trzaśnie!

Widać było, że Strzała miał złość w duszy, bo chodził po pokładzie i sam do siebie coś mamrotał z nikim się nie wdając już w rozmowę. Jak się tak wysapał, idzie potem do tłumacza i pyta:

—Może pan przypadkiem zasłyszał od oficerów na okręcie, kiedy z nami będzie jaki koniec?

A tłumacz mu na to:

—Wszyscy powiadają, że rząd brazylijski dziś jeszcze nie odbierze z okrętu emigrantów, bo ich nie ma gdzie pomieścić. Na wyspie Flores są koszary, ale tak zapchane polakami, że już palca wsadzić trudno, nie dopiero tylu ludzi.

Zabrali się wreszcie ci panowie urzędnicy i od płynęli do miasta, a emigranci zostali na okręcie, jak przedtem.

Niedługo było czekać, a nadpłynął jeszcze trzeci okręt niemiecki z polskimi emigrantami. Cała ta masa ludzi wyczekiwała losu swego na wodzie. Mówiono, że na onych trzech okrętach było razem około pięciu tysięcy polaków

Do parowca podpływali od miasta na czółnach

murzyni z bananami, pomarańczami, tytoniem i z wódką, co ją w Brazylii nazywają cackas (kaszas); sprzedawali to emigrantom za dobre pieniądze, bo te murzyny umieją tóż porządnie zdzierać. Kto miał przy sobie co pieniędzy, to kupował.

Oparł się Wicek o burtę okrętu i zdaleka patrzył na one targi. Naraz widzi, że Głodzikowszczyk na- kupił sobie od murzynów tytoniu, przeróżnych przysmaków i wyrzucił im złoty świecący pieniądz* żeby mu resztę zdali. Tknęło to Strzałę, skąd taki młodzieńiak mógł mieć tyle pieniędzy; więc bierze w te pędy chłopaka na bok i zapytuje:

— A ty jakim sposobem przyszedłeś do złotego ^pieniądza? wiadomo przecie, żeś na niego sam nie Zapracował.

Chłopak odrazu cały poczerwieniał, jakby go kto zlał wrzącą wodą, i nie wiedział, co odpowiedzieć.

Wicek już ani pyta, jeno go wręcz bierze za ucho, zakręcił tęgo i powiada:

— Hyclu jeden! zaraz mi wszystko wyśpiewaj, a nie, to cię na miazgę stłukę, albo i do morza wrzucę, boś ty musiał komu te pieniądze zwędzić! — umyślnie go morzem zastraszył, żeby prędzej prawdę wycisnąć.

Głodzikowszczyk się jąka, bąka ni to, ni owo — od rzeczy.

Wicek nic, jeno mu ucho coraz lepićj naciąga a powtarza:

— Łżesz, jak pies! Mów prawdę!

Chwilę dobrą się tak pasowali; nareszcie chłopak widzi, że niema sposobu i wyznaje:

— Nie ja — powiada — pieniądze brałem, kto inny je ukradł, jeno powiedzieć nie mogę kto, bom się na Sakrament zaklął, że nie zdradzę...

Wtenczas go Wicek lepić jeszcze za ucho szarpnął, spojrział nań straszniemi oczyma i krzyknął:

— A ty, nicponiu, złodziejowi będziesz za pieniądze przysięgi dotrzymywał, a uczciwemu człowiekowi nie chcesz za darmo prawdy powiedzieć! Gadaj mi wyraźnie wszystko, bo duszę z ciebie wytrąsnę, gałganie!

Chłopak nic teraz nie taił, drżał cały, a opowiadał Strzale, jako na gorącym uczynku przyłapał raz Czerniaka, kiedy ten Kobylakowi wyciągnął ze sakwy na łóżku pieniądze, zawiązane w supełku.

— Chciałem—mówi — donieść o tém zaraz Walentemu, ale Cierniak wraził mi w rękę trzy takie żółte pieniądze. Cicho bądź — powiadali — schowaj o sobie; będziesz mógł dobrze użyć, a staremu pie^ *niądze na nic się nie zdadzą, bo on już trupem prawie cuchnie... Potém mi kazał zakląć się na wszystkie świętości, że nikomu słówka nie pisnę.

Strzała odebrał teraz od Głodzikowszczaka dwie sztuki złote, każda po dziesięć marek, i sam poszedł czempredcój poszukać złodzieja. Cierniak grał właśnie na pieniądze w karty z dwoma jakimś chłopami i ciągle wygrywał.

— Sobek — rzeknie do niego Wicek —• ty widać masz szczęście do cudzych pieniędzy. Nie wiem tyło, czybyś ze mną co wskórał ?

— Jak masz pieniądze, to siadaj, zagramy — odgramy! — odrzekł Cierniak.

— Mam odrobinę swoich własnych; ale ty, widzę, cudzemi pieniędzmi chcesz się dorobić. W Rokitnicy ci szczęście nie posłużyło; myślałeś, że się w Bryzoli poprawi.

Cierniak rozdawał właśnie karty, ręce mu jakoś drgnęły i omylił się w rozdawaniu, a Wicek z kpinami coraz mu ostrzej dopiekał:

— Tylko ty sobie pamiętaj, żebyś pieniędzy Ko- bylaka nie przegrał, albo gdzie nie uрониł, bo jak Bóg na niebie, stary musi swoje odebrać!... Żeby tylko jednego grosiczka brakowało, toby twoja łajdacka skóra i kości nie wystarczyły na zapłatę, jako grosz taki z uczciwój pracy pochodzi!...

Zaćmiło się Sobkowi w oczach, znać było, że zzieleniał na twarzy, ale i tak spojrzawszy zuchwale Wickowi w oczy i powiada ze złością:

— Idź-że ty sobie do stu dyabłów, na karku mi nie stój, nie mąć głowy.

— Ohe, kochanku, niełatwo mnie się pozbędziesz! Ja nie taki bojny człowiek, żebym się zląkł przekleństwa twego.

Cierniak rzucił teraz karty, porwał się i prędko

A. Dygasiński. Na złamanie kurku. 10

pobiegł schodami pod pokład, gdzie emigranci mieszkali. Strzała pogonił za nim, wołając:

— Już mi się ty, ptaszku, w mysią dziurę teraz nie schowasz!

Zaledwie Wicek zeszedł pod pokład, zaraz spostrzegł, że Sobek od łóżka Kobylaka prosto szedł ku niemu i odgrażał się, klnąc strasznie. Strzała nie pyta, jeno sięgnął ręką pod poduszkę Kobylakową i wyciągnął supełek z pieniędzmi, zaraz przeliczył, a potem mówi:

— Trzech sztuk jeszcze brakuje!... Oddaj!

— Cóżżeś ty rachował cudze pieniądze? — powiada Cierniak.

— A jakże, rachowałem! — krzyknie Wicek i odrazu złodzieja schwycił za gardło, grzmotnął o ziemię, potem go katował nielitościwie.

Ten Sobek Cierniak pochodził także z Rokitnicy, ale do Bremy nie przybył razem z innymi, jeno osobno, sam jeden. We wsi wszyscy go dobrze znali, jako złodzieja koronnego, na którego sądy nie raz już wydały surowy wyrok: dawno już on powinien się- dzióć w kryminale, tylko się zawsze policyi wymykał. Tak w Bremie jak i na okręcie ludzie z Rokitnicy stronili od niego, więc szukał towarzystwa między takimi, co pochodzili z innych okolic.

O, Sobek Cierniak, był ziółko!

ROZDZIAŁ XVII.

Co było na wyspie Flores dawniej, a co teraz?

Przez cały dzień i drugą już noc parowiec stał w porcie z emigrantami, a rząd brazylijski ani myślał odbierać ludzi. Chłopi wyczekiwali, ziewali; brakło im cierpliwości, to niektórzy klęli, bo każdemu się ogromnie dłużyło takie wyczekiwanie.

Kiedy tak wystawali, słyszą, że tłómaez, co tam był na okręcie, pół-polak, pół-niemiec, z pod Białegostoku, —■ prowadzi rozmowę z brazylijskim strażnikiem celnym, który ciągle stróżował na pokładzie, a Niemcem był z urodzenia i na wylot znał całą Brazylię. Co strażnik opowiedział tłómaczowi, to tłómaez znowu wykladał chłopom. Zapytują oni owego celnika, jaki też porządek będzie w Brazylii z emigrantami. On zaraz mówi, że sam także przed dziesięciu laty na kolonię przywędrował; ale mu nie szło, więc rzucił do dyabła rolę i został strażnikiem Alfandegi.

10*

— Widzicie—powiada—na morzu tamtą wyspę, nazywa się ona Flores; dawniej tam brazylijanie kupowali ludzi, niewolników, a głównie murzynów. Przyjeżdżali zdaleka handlarze z ludzkim towarem, stawali z okrętami przy Flores i wystawiali na targ ówtych murzynów. Jak który brazylijan potrzebował robotników, to na wyspę przybywał, ztargował, zapłacił gotowemi pieniędzmi i ludzi zabierał.

—• A zkadże handlarz znowu brał owych ludzi?— pytają emigranci.

— Kupował ich w Afryce tanio, a w Brazylii sprzedawał drogo; zarabiał na tem dobrze.

— Mocny Boże! I sami się ci murzyni w niewolę handlarzowi zaprzędawali?

— Ej, gdzie znowu! Byli oto dawniej tacy rozbójnicy, nazywali się piratami albo korsarzami; podpływali oni na swoim okręcie do brzegów Afryki, gdzie jest murzynów pełno, wpadali na ląd i gwałtem porywali każdego, kogo się dało: chłop nie chłop, baby, dzieci — wiązali wszystko w powrozy, skuwali łańcuchami, wieźli na okręcie do Brazylii i sprzedawali, jak bydło. Kto sobie kupił niewolnika z żoną, to już i dzieci, wnuki, prawnuki, z takiego małżeństwa równie były jego niewolnikami, własnością.

— Ja bym nie zniósł!—odzywa się któryś z emigrantów. — Nogi za pas i poszedłbym sobie w świat.

— Ho, ho! Nie tak to było łatwo uciec niewolnikowi ! Pan zaraz dawał znać do rządu, że mu niewól-

nik zbiegł, a rząd wysyłał za takim pogoń; ścigali, trapiłi zbiega i gdy znaleźli, oddawali panu. Pojmany niewolnik miał się z pyszna! Pan kazał go bić, katować, żeby od ucieczki raz na zawsze oduczyć.

— A nie mogli się to wszyscy ci niewolnicy zmówić i hurmem uciec, a potem nie dać się pojmać, albo nawet takich panów rozumu nauczyć.

— I to nieraz bywało; ale rząd wysyłał wtedy wojsko, żartów niebyło, bo żołnierze strzelali, mordowali, a pojmany niewolnik uważał się za buntownika, i swoją drogą dostawał kije w urzędzie, a swoją od pana, do którego musiał wracać.

— Dawno też temu będzie, jak się tu w Brazylii takie straszne rzeczy działy? — pytają znowu ludzie.

— Co ma być dawno! Parę lat temu.

— No, widzicie, i myśwa nic nie wiedzieli! Psie dusze one agenty, o tem to nic nie pisały! Jakby człowiek był wiedział, pomiarkowałby się przecie; bo gdzie biednych ludzi przed niedawnym jeszcze czasem tak prześladowali, tam nie może być dobrze!...

— Bośwa to o czembądź wiedzieli! — rzecze Wicek. — Mogą tu być różne inne rzeczy, a my wszyscy, jak tabaka w rogu— ciemni... Okrutnie mi się to wszystko nie podoba.

— Teraz przecie niewoli w Bryzologii niema ! — zawołał Dąbek. — Na grunt nas przyznają, nie zaś na niewolę.

— Ale, ale! — odzywa się na to Strzała. — Kiedy

oni przed niedawnym czasem z murzynami tak sobie postępowali, to się po nich niczego dobrego spodziewać nie można. Prawdę powiedziawszy, toć my przez nich kupieni i zapłaceni. Za to, żeśwa się kawałek drogi przejechali darmo, żeśwa dobry kawałek czasu przeproźnowali, to jeszcze Bóg wie, co za pokuta nas czeka!... Mnie się tóż od początku nie mogło w głowie pomieścić, z kąd chłopci z Polski mają taką łaskę u bryzolian.

Rozmawiają tak, aż tu około południa ukazał się na morzu ten sam parowczyk, co dnia wczorajszego przywiózł był urzędników kolonizacyi; za nim płynęły teraz przywiązane z tyłu na linach dwie ogromne łodzie. Wszystko to podpłynęło do okrętu z emigrantami i znowu urzędnicy brazylikańscy weszli na pokład, powiadają kapitanowi, że będą polaków zabierali. Mieli oni przy sobie spisy ludzi, więc każdego wywoływali z imienia i nazwiska, a potem mu kazali na łódź się przenosić. Chociaż tam nikomu nie było wesoło, jednak naśmieli się emigranci, jak ci brązy - lianie zaczęli cudacznie przekręcać polskie nazwiska, ani jednego nie umieli poczciwie wymówić. Szeptali między sobą chłopci, że „taki brązy lian musi nie zna porządnie na książce, skoro się myli w czytaniu.”

Jeden z tych urzędników trzymał w ręku spis cały, włożył sobie w samo oko jakieś szkiełko i dopiero czytał, a inni rachowali głowy, zapisywali sztukę po sztuce, potćm wpuszczali na łodzie.

Czyta ów ten ze szkiełkiem naprzykład: — „Win- sent Strala”, a ta mu się nikt nie odzywa; drugi raz znowu na cały głos wykrzykuje: „Winsens Strala”. Nawrzeszczał się porządnie, aż chrypki dostał, zanim skończył to czytanie całe. Niejeden się domyślał, że jego wywołują, ale się nie stawiał:— „Co kto ma prze- dziwiać moje nazwisko!” — mówił jaki taki. Z Wickiem Strzałą to jeszcze było pół biedy; dopiero kiedy przyszło przeczytać Głodzikowskiego, już sobie ów urzędnik rady dać nie mógł w żaden sposób: Krztusił się krztusił i tylko jakieś bełgotanie z tego wyszło. Cierniaka przeważał — „Sierniak”, a Matus Dzwonko i Maryna Grzędzianka równie mu przez gardło nie mogli przeléć. Do późnego wieczora tak bałamucili, a co którą łódź wyładowali ludźmi, zaraz ją pod dozorem odprawiali na wyspę Flores do koszar. Emigranci tam wysiadali, a łódź po nowych znowu wracała do okrętu. Spory tam jest budynek na onćj wyspie, ale na tylu ludzi większego jeszcze o wiele potrzeba. Wypróżniał się niemiecki okręt, a koszary zapchali ludźmi, jak śledziami. Roilo się tam pełno służby, urzędników, jeno porządku żadnego nie było; o nic się człowiek nie mógł doprosić. Jeść dawali dosyć; ale ta brazylikańska strawa nie lubowała chłopom: paśli ryżem, czarną fasolą, mięsem, tyła dodawali do tego jakicjś takiej tłustości, że jak sobie kto do syta podjadł, musiał odchorować. Kartofli, kapusty, ani u nich uświadczy; chleb również

nie taki, jak w Polsce, a szperki ani kiełbasy nikt z naszych w Brazylii nigdy nie oglądał. Dawali kawę, herbatę, co ją tu nazywają: niewiele to to warte, dla bab jacy, dla dzieci, bo chłopca tylko zemdli. O, dużo było lepiej na okręcie niemieckim, aniżeli teraz.

Urzednicy brazylijscy mieli swego tlomacza niemca, co ich jezykiem takoz szwargotal; emigranci polscy rowniez mieli niemca, co i po polsku mowil. Wiecej kiedy przychodzilo do rozmowy miedzy brazylianami i polakami, to wszystko ci dwaj niemcy miedzy soba dokumentowali i potem kazdy swojej stronie wykladal. Zarowno brazylianie jak polacy musieli wierzyc temu, co ich niemiec mowi.

—Psu na buty sie taka rozmowa nie zda! — powiadali chlopi i mieli slusnosc, bo zawsze naopak wychodzilo, jak czego chcieli od rzadu brazylijskiego.

Urzednicy brazylijscy przez swego tlomacza zapowiedzieli emigrantom, zeby sie kazdy z nich dobrze namyslil, co ma robic w Brazylii: kto chce gruntu na kolonie, niech sobie sam obierze miejsce, a kto nie chce gruntu, to moze za pieniadze pracowac jak robotnik. Brazylianie zachwalali ona robotę za pieniadze.

— U nas, w Brazylii — mowili — dobrze sie ludziom placi przy plantacyach kawy, trzciny cukrowej, tytoniu; czlowiek oszczedny, nietylko wyzyje, ale jeszcze dobrze odlozy z zarobku.

Jeno chlopi wręcz im odpowiadali przez swego tlomacza:

— Czy to kto taki głupi, żeby się po tylósnej drodze poniewierał i aż do Bryzologii na parobka przyjeżdżał? Myśmy tu przywędrowali dlatego, bo nam obiecaliście grunty i zapomogę, to dajcie, a głowy nie trza zawracać ludziom!

— Dobrze — mówią brazylianie — kiedy chcecie kolonii, to dostaniecie, u nas niewoli żadnej nie ma; niech sobie każdy wybierze tylko stan, w którym chce grunt otrzymać.

Więc emigranci znowu, jak w dym, do swego tłómacza.

— Gadaj pan — powiadają — gdzie i jak co jest, bo my nic nie wiewa, a wybierać nam kazuja.

Tłómaez im zaś na to:

— A no, moi ludzie, ja taki sam głupi, jak wy, a ten tłómaez brazylikański także od nas nie mędrszy; tyłem się od niego dowiedział, że w Brazylii są różne stany, kraje ogromne, co się rozmaicie nazywają. Jeden taki stan zowie się Santa Catharina, drugi Parana, trzeci Rio Grandę do Sul, Minos Geraes... Trudno spamiętać, ile tego jest; ale i tak macie w czym wybierać.

— Ja sobie wybieram świętą Katarzynę! — ktoś zawołał. — Tam musi być dobrze, kiej taka porządna patronka jest nad ziemią.

Skoro to ludzie posłyszeli, zaraz się ze dwustu zapisało na kolonie do stanu świętej Katarzyny; inni się znowu zapisywali gdziebądź, na chybił trafił; nikt

nie nie wiedział, jeno wszystko szło z tego, jakie kogo słuchy dochodziły.

Ludzi z Rokitnicy zapisali urzędnicy do stanu świętej Katarzyny; ale Wicek Strzała i Matus Dzwonko chcieli z tej gromady wyłączyć Cierniaka.

— Co my ze sobą mamy złodzieja prowadzić na kolonie! — wołali do tłumacza.

— Dajcie pokój — odrzeknie tłumacz — nie gwałtujcie! Tu, w Ameryce, jest równość i wolność. Cierniak ma takie same prawa, jak wy; mógłby was przed sądy pociągnąć za to, że mu przeszkadzacie w sposobie do życia.

— Toć on złodziej! — zawołał Strzała.

— Póki go prawo nie ujmie i o kradzieży nie przekona, dopóty jest on wolnym obywatelem Brazylii. Niech Bóg broni zaś rzucać potwarze!...

— Kpię z takiego prawa! — rzekł Wicek.

ROZDZIAŁ XVIII.

"W drodze do kolonii.

Na szafirowym niebie Brazylii słońce miało się ku zachodowi, kiedy wzdłuż górzystych, wiecznie zielonych brzegów, szybko pruć morze lekki, biało malowany parowiec „Planeta”; unosił on na sobie ze trzydziestu pasażerów pierwszej klasy i około tysiąca polskich emigrantów, których rząd rzeczypospolitej wyprawiał na kolonie do południowych stanów.

Górny kajutowy pokład zajmowali wytworni pasażerowie: modne strojne damy, mężczyźni w eleganckich czapczkach, wonni, wymuskani, wyświe- żeni — wszystko pełne kokieteryi, której brazy- liański high life nie zaniedbuje nawet podczas uciążliwej podróży. Niektórzy mieli tam na pokładzie własne fotele, zaopatrzone napisami, wyrażającymi nazwisko a często i godność właściciela; inni rozpierali się na ławkach okrętowych, a wszyscy bardzo

wesoło gwarzyli wśród wykrzyków, wybuchów śmiechu, co tak charakterystycznie znamionują południowców.

Z kapitańskiego pomostu odzywały się często sygnały dzwonków elektrycznych, lub brzmiał ostry, stanowczy głos kapitana okrętu. Na niemieckim albo angielskim parowcu pasażer nigdy nie poczuje tego, że tu ktoś rządzi: rozkazy, choć nieubłagane, są ciche i spokojne, jakby prawa przyrody; ale wsiądź na statek portugalski, hiszpański, włoski, a wszystko odbywa się już ze zgiełkiem.

Na „Planecie” pokład pasażerski ostatniej klasy zajęli zupełnie polscy emigranci, którzy się zresztą wałęsali, zaglądając wszędzie z naiwną ciekawością prostaków. Kobiety ogorzałe od słońca, w barwnych chustkach na głowie, powarzone jakieś, małowmne, siedziały na pokładzie, a dokoła nich igrały gromadki malców brudnych, łąziły na czworakach niemowlęta w różnokolorowych czepeczkach. Chłopi znowu w dużych butach, przepoconych koszulach, wystawali po kilku i kurząc papierosy, rozmawiali o tym, co było, co będzie. Jedną część tych emigrantów przewożono do Desterro, stolicy stanu świętej Katarzyny, drugą do Porto Allegro na kolonie w sta-

Jakaś piękna brazylianka, otoczona przez strojnych elegantów, przyglądała się z góry emigranckiej rzeszy i zapytała jednego ze swoich towarzyszy:
nie Rio Grandę do Sul.

— Co za jedni są ci ludzie tacy rośli, barczyści, z włosami blond, w butach z cholewami po kolana?

— Są to polacy, naród pochodzenia słowiańskiego — odrzekł zapytany. — Przybywają oni do- Brazylii na kolonie.

— Polacy? Pierwszy raz słyszę, że taki naród istnieje na świecie. A gdzież jest kraj, będący ich ojczyzną?

— W Europie.

— Rzecz szczególna! Byłam przecie w Lizbonie, Rzymie, Madrycie, Paryżu, a nigdzie nie widziałam takich ludzi. My uważamy Europę jako najbardziej cywilizowaną część świata, a jój mieszkańców mamy za najszczęśliwszych; tymczasem ci oto ludzie wyglądają jakby półdzicy i mają takie smutne fizyogno. mie. I co ich tóż mogło skłonić do opuszczenia kraju rodzinnego ?

— Złe warunki bytu, a przytém nadzieja, że im w Brazylii będzie lepiej ?

— Nie prawdaż, że się biedacy ciężko zawiedli ?

— O tak, tutaj doznają zupełnego zawodu! Synowie północy, wrośli w swoją glebę, wychowani przez surowy klimat, nie zniosą ognistego podniebia Brazylii, nie wyżyją na naszych płodach. Patrz pani, ci wszyscy ludzie tęsknią, widać to w ich fizyogno- miach, w ich ruchach ciała; widocznie cywilizacya nie przygotowała jeszcze tego ludu do kosmopolity

zmu kolonizacyjnego, — lub jeśli kto woli — do przeszczepiania własnej, rodzinnej cywilizacji na grunt obcy; nasz rząd źle robi, że takich właśnie sprowadza: Brazylia bowiem nie będzie miała obywateli z tego materiału, a ich ojczyzna i ludzkość straciły ich już na zawsze.

— To bardzo smutne, gdy tyle rodzin ginie bezowocnie ! Ale powiedz mi pan, dlaczego to nie przepadają jednak w Brazylii włosi, hiszpanie, Niemcy?

— Włosi i hiszpanie żyją w przyrodniczych warunkach, zbliżonych do naszych, a na Niemców znowu przyszła ta cywilizacyjna pora, w której częściowa ich emigracja jest koniecznością. Zresztą, Włochów, Hiszpanów, Niemców nikt nie wywabia z kraju nadzwyczajnymi obietnicami; oni emigrują naturalnie, dobrowolnie, nie spodziewają się niczego i wszystko, co znajdują w Brazylii, jest dla nich dobre. Natomiast Polaków sprowadzają do nas agenci sztucznie, przyobiecując im złote góry; więc nie dziw, iż ci ludzie spotykają się z zawodem, z rozczarowaniem; tern gorzej, że to jest ludność bardzo biedna, bez najmniejszych środków...

Ci państwo tak rozmawiają, a tu wychodzi skądś na pokład Marcin Głodzikowski, dobrze urżnięty i z miną butną; rękoma wziął się pod boki, kapelusz nacisnął na jedno ucho i, przytupując nogą, zaczyna na cały głos śpiewać:

.Kaśka za piec, Maciek za nią, Obalili garnek z banią; Obalili nie podnieśli, Po cóż was tam biesi wnieśli!...*

Któryś z oficerów zaraz dał znak majtkom, ażeby Głodzikowskiego doprowadzili do porządku i nie dozwolili mu wyprawiać hałasów. Niebawem więc dwaj rośli murzyni podbiegli do pijanego, chcąc go z obu stron wzięść pod ręce. Ale Głodzikowski wymknął im się zręcznie, a przytem pchnął jednego z murzynów tak energicznie, iż ten upadł. Widząc to drugi majtek, poskoczył żwawo, uchwycił silnie Marcina za kark i przygiął ku ziemi; chłop wierzgnął raz drugi, więc majtek uderzył go kolaniem w plecy i pchnął przed siebie. Teraz Głodzikowski pomiędzy babami, dziećmi, pędził przez pokład, jakby wyrzucony z procy, aż nareszcie uderzył nosem o żelazną rurę, służącą do przewietrzania wnętrza okrętu, i mocno się zakrwawił. Zgiełkliwa utarczka zwróciła uwagę chłopów, a widok krwi swojaka oburzył ich tak, że jeden bez namysłu huknął murzyna pięścią w głowę i na miejscu powalił. Zaledwie się to stało, kiedy naraz wypadło pięciu innych majtków, którzy z pięściami, złożonemi w kulak, rzucili się między chłopów i neliłościwie młócili każdego, kto im pod rękę popadł. Słychać było krzyk bab, płacz dzieci, odgłosy gęstych razów i jakby wycie walczących.

Właśnie na to nadbiegł Wicek Strzała, a widząc,

co się dzieje, porwał zawieszony u burty na łańcuszku żelazny kubeł, wpadł w środek między walczących i tym kubłem począł grzmocić po głowach marynarzy. Oręż był wprawdzie nie do bicia, lecz w silnych łapach Strzały raził dzielnie nieprzyjaciela; od uderzeń blacha kubła zamieniła się w jednolitą masę. Aż oto jeden z majtków, drab ogromny, wydobył z pochwy nóż i z nim rwał się do Wicka, który spostrzegł niebezpieczeństwo, więc kubłem swoim chciał uprzędzić cios przeciwnika; ale w rękach chłopca pozostał teraz tylko łańcuszek, kubeł zaś, świszcząc, poleciał przez powietrze. Zdawało się, że Strzała nie uniknie już owego noża, gdy nagle ze strasznym krzykiem zasłoniła sobą chłopca Maryna Grzędzianka, której w tej chwili nóż majtka przebił rękę poniżej ramienia. Krew trysnęła strumieniem i ranna dziewczucha padła u nóg Wicka.

Na taki widok białkami błysnęły strasznie ślepie chłopca, zjeżyły mu się szpecinowate włosy na głowie i z obu pięściami, wzniesionymi jak młoty do góry, zboczony na piersiach krwią Maryny, pędził do majtka, który się tyłem cofał, a oczyma śledził nieprzyjaciela. Strzała wyglądał tak straszliwie, że się wszyscy uciszyli na chwilę i patrzyli na niego. Ale miał on za przeciwnika górala hiszpańskiego z Teneryfy, który w potrzebie umiał używać, jako oręża, zarówno noża, jak i pięty. Kiedy Wicek wściekły walił się tak ku niemu, on naraz szybko skoczył,

podniósł nogę i piętą uderzył chłopca w dołek poniżej piersi. Strzała jęknęła tylko i upadła na pokład jak długi.

Teraz na placu bitwy zjawiał się kapitan, a z nim dwóch oficerów — wszyscy uzbrojeni w rewolwery; po za tymi wodzami postępowało kilkunastu majtków, którzy wściekle spojrzenia rzucali ku emigrantom. Powaga władzy okrętowej w takiej postawie zupełnie uśmierzyła wszystkich: majtkowie poranieni z uszanowaniem stali na boku, a chłopcy ochłodli w rozjuszeniu i pośpiesznie opuszczali pole walki. Zapewne jednak u jednych i u drugich nienawiść wrzała na dnie duszy.

Po takiej to krwawej przygodzie, parowiec „Planeta” przybił nareszcie do wyspy Świętej Katarzyny i zawinął do portu Desterro. Tutaj kapitan okrętu, biorąc pod uwagę wielkie rozdrażnienie umysłów, zażądał, aby mu dano pomoc kilkunastu uzbrojonych żołnierzy; obawiał się bowiem, ażeby emigranci w drodze do Porto Allegro nie podnieśli buntu.

Ci z pomiędzy Polaków, którzy mieli osiąść na koloniach wstanie Św. Katarzyny, wylądowali w Desterro; inni, pod eskortą żołnierzy, jeszcze tego samego dnia popłynęli dalej na południe.

Przed odjazdem atoli kapitan okrętu, polegając na zeznaniach swój załogi, przedstawił Strzałę, jako bardzo niebezpiecznego herszta, zawsze wielce pochopnego do naruszania porządku. O Głodzikowskim

A. Dygasiński. Na złamanie karka.

znów wydał opinię, jako o zuchwałym i bezczelnym pijaku. Nie oszczędził też wcale Grzędzianki rannej, którą uważał jako solidaryzującą się w danym razie z buntownikami.

Zarząd kolonizacyi w stanie Św. Katarzyny bardzo wziął do serca zeznania pana kapitana i postanowił tak niekorzystnie przedstawionych sobie ludzi nieuchronnie odosobnić od całej gromady, to jest osadzić ich w takiej miejscowości, gdzie niema ani jednego polaka. Takim więc sposobem Strzała, Głodzikowski i Maryna, uznani za jednostki niebezpieczne dla rządu rzeczypospolitej brazylijskiej, byli odtąd raczej politycznymi więźniami, niż emigrantami przybyłymi na kolonie.

- Umieszczono tymczasem całą przybyłą tutaj gromadę w koszarach nad morzem, gdzie przyszło znowu czekać około dziesięciu dni na parowiec, mający zawieźć emigrantów do następnej stacyi.

W koszarach owych ranę Maryny troskliwie opatrywał felczer, który codziennie przybywał z Desterro na łodzi. Głodzikowski od razu zapomniał o krwawej przygodzie na okręcie i znalazł sobie stosunki, za pośrednictwem których mógł nabywać potrzebną ilość kaszasu. Pokazało się też tu, że przykład ojca nie pozostał bez wpływu na syna, i dwunastoletni chłopak, Felek Głodzikowszczyk, podchodził często flaszkę starego i spijał się w najlepsze.

Oczekiwany parowiec przybył nareszcie i na nim wyprawiono z koszar wszystkich emigrantów, wyjąwszy Strzałę i przypisanego do Strzały na liście emigranckiej Eobylaka; pozostali się również w koszarach: Maryna Grzędzianka, jako też Głodzikowski ze synem.

Widząc takie wyróżnienie, Wicek założył zuchwały protest, co się na nic nie przydało, owszem utwierdziło władzę w przekonaniu o pochopności obłopa do buntu. Urzędnik kolonizacyjny wręcz oświadczył przez tłumacza, że pięcioro ludzi, zatrzymanych w koszarach, dopiero za kilka dni odjedzie stąd na kolonie do municypium Tijuca (Tizuka).

Smutne te są koszary w Desterro 1

Morze zielonkowatą barwą bije o brzegi, dokoła wszędzie dzikie góry, niektóre nawpół nagie.

Wprawdzie na przeciwnym brzegu widać miasto Desterro, lecz emigrantom nie dozwala się opuszczać koszar i przepływać na drugą stronę. Jest się tu, jak w więzieniu.

Tuż ponad morzem latają gromady szarych mew, które niekiedy tłumnie obsiadają wierzchołki nagich skał, wynurzających się z morza. Wyżej w powietrzu buja poważnie czarna i spiczasta na wszystkie strony fregata. Ptaki urubii, czarne sępy, gnuśne łążą nad brzegiem morza, lub drzemia, opuściwszy długie skrzydła. Tu i owdzie na powierzchni wody

iH

sunie łódź z wydętym żaglem, a czasem ukazuje się przybyły do portu parowiec.

Emigrant spogląda na to wszystko, tęskni do rodzinnej ziemi i ciężko wzdycha.

Wicek kupił był sobie od jakiegoś emigranta lufy, oraz zamek dubeltówki i teraz oddał się zupełnie dorabianiu brakującej osady z drzewa. Dzieło to udało mu się po niejakich usiłowaniach.

ROZDZIAŁ XIX.

U a koloniach.

Pomiędzy wyspą, na której leży miasto Desterro a wyspą Świętego Franciszka, strzępi się ziemia Świętej Katarzyny w mniejsze i większe półwyspy, między którymi znowa rzeźbią się zatoki i przystanie. Całe to wybrzeże ma powierzchnię dosyć równą, - zroszoną licznymi rzekami, a przeto nadającą się na kolonie. Pasma wielkich gór Serra Geral z odnogami dos Tijucas, do Itajahy, do Jaragua nie dochodzą do morza, lecz się urywają wewnątrz kraju.

Tylko tu i owdzie na tej równinie spotykasz osamotnione wyspy gór, jak naprzykład góry położone po obu stronach Rio dos Tijucas, lub Rio Biguassii.

Nie dopływając od Desterro do Porto Bello, między wyspami dos Palmas i dos Macucos, leży dosyć obszerna zatoka i jest ujście do morza rzeki Rio dos

Tijucas, która przed oddaniem wód swych oceanowi 1 łączy się z rzeką Itinga. Otóż właśnie ta Itinga bie- ! rze początek n stóp takiego odosobnionego pasem- \ ka gór, a niedaleko ztąd leży miasteczko S. Jao r Baptista dos Tijucas. Nieco powyżej źródła owej rzeki, na stoku góry, wyznaczono kolonię dla Wicka Strzały, a drugą dla Marcina Głodzikowskiego. Grzę- 2 dziance nie wydzielono wcale ziemi na kolonię, lecz dano jej do wyboru, aby się przypisała bądź do Wicka, bądź do Marcina. Ustawa bowiem koloni- i zacyjna rzeczypospolitój brazylińskiej wychodzi z zasady, że kobieta nie podola ciężkim trudom kar- czunku i wogóle bardzo uciążliwej pracy początkującego kolonisty.

— Przypisz się do kolonii Głodzikowskiego — tłumaczył Marynie Strzała—bo tam koniecznie opieki i głowy będzie potrzeba, jeżeli Marcin i teraz jeszcze pić nie przestanie.

Grzędzianka usłuchała rady.

Początkowe gospodarstwo na obu tych koloniach było wspólne: Wicek i Maryna dzierżyli tu ster i kierowali wszystkim. Niedaleko od nowoprzybyłych polaków siedział też na kolonii murzyn ¹ nadto były kolonie osiedlonych tutaj od dwóch lat włochów.

Kiedy koloniści nasi wysiedli z parowca na brzeg morza, już o ich przybyciu wiedziała miejscowa władza z S. Sebastião i myślała nad tem, ażeby emi

grantom ułatwić przeprawę do miejsca przeznaczenia. A i tak przez dwa dni pięcioro tych ludzi pod gołym niebem musiało wyczekiwać na skuteczną decyzję opieszłych urzędników. Na tej zwłoce czasu zyskał przynajmniej Strzała, ponieważ przybłąkał się tu do niego duży pies, który widocznie poszukiwał służby; spotkał polskiego chłopca i poszedł z nim na kolonię.

Wszystko, co dotychczas przechodzili emigranci, było jeszcze dobre w porównaniu z dołą, jakiej doświadczali w owych leśnych koloniach, gdzie ręka ludzka po raz pierwszy rozpoczynała dzieło pracy. Piękną jest dla oka owa pierwotna dzikość przyrody, lecz to nie obchodzi człowieka, który łaknie kawałka chleba.

Dla owych dwóch kolonii polskich rząd miał nadesłać dwa topory, dwie motyki i dwie gracje, jako narzędzia karczunkowe i rolnicze, a nadto każda kolonia miała prawo do zapomogi pięćdziesięciu milrejsów na postawienie chaty. Zanim atoli nastąpiła uchwała, a po uchwale — wykonanie, mieszkali wszyscy w budach, zrobionych naprędce z gałęzi.

Nowi koloniści doznawali uczucia trwogi i wstrętu na widok licznych węzów, jaszczurek, ropuch. Płazy te w wielkiej obfitości gromadziły się nocą około ogniska, przy którym wczoraj warzono wieczerzę; włąziły one także często do szałasów i nie

raz zbudzony ze snu człowiek znajdował przylepionego na swém ciele zimnego płaza. Niełatwo to koloniście pozbyć się owych mieszkańców dziewiczego lasu, którzy tutaj gospodarowali od wieków.

Inną dotkliwą plagę stanowiły tak zwane pchły ziemne, które się ludziom wgryzały w skórę nóg, aby tam znosić jajka. Oprócz tego dokuczały straszliwie drobne komary, od których ukłuć wszyscy mieli opuchłe twarze, ręce i nogi.

Mimo leśnego cieniu, panowało tutaj nadzwyczajne gorąco, uniemożliwiające pracę w czasie pogody. A ta praca była tak ciężka, tak bardzo nagła!

Pierwszy Wicek powziął myśl puszczenia się w drogę do jakiego miasteczka, w celu zakupienia toporu, piły, noża, prochu i ołowiu do strzelby. Sąsiad kolonista, murzyn, okazał pod tym względem uczynność; porozumiawszy się ze Strzałą na migi, nie tylko mu wskazał drogę, lecz i osobiście doprowadził go do S. Jao Baptista dos Tijucas; zażądał jednak za usługę parę czarek kaszasu i garstki ty- tuniu.

^Maryna stała się teraz jakby zupełnie inną kobietą: bez niczyjjej zachęty odrazu zaczęła być gospodynią, sama rozniecała ognisko i warzyła stawę dla reszty. Ale brakowało tutaj wielu rzeczy, więc się wybrała do miasta i tam za własne pieniądze naku- piła czarnćj fasoli, mąki manioki, mąki cukrowej,

suszonych ryb i naczynia, potrzebne do gotowania. Chociaż tak pracowała, pamiętała zawsze dobrze

O tern, żeby się czyściutko wymyć, ładnie uczesać

I strojnie ubrać — zawsze była elegantką. Wicek zastrzelił nieraz jakiego ptaka w lesie, to go Grzędzian-ka ugotowała lub upiekła i podawała kolonistom na misce.

Głodzikowski przez kilka dni zachowywał się trzeźwo, pomagał Strzale w wyrąbywaniu lasu, przeznaczonego na kolonie, w budowaniu chaty, i swojego Felka tóż napędzał do roboty. Trwało to na nieszczęście dopóty tylko, dopóki sąsiad murzyn, wielki zwolennik kaszasu, nie zwąchał się z Marcinem. Manoelo — było imię murzyna — odwiedzał codziennie polskich kolonistów, za pomocą migów udzielał im rad rozmaitych, a z Głodzikowskim, na zasadzie wspólnego nałogu, zawiązał stosunek serdecznej przyjaźni. Doszło do tego, że Marcin gościem tylko bywał między swymi. Murzyn i polak, nie mogący się porozumieć za pomocą języka, wybornie wymieniali swe myśli i uczucia przy szklance wódki. Manoelo był to pijak cichy, potulny, po trzeciój czarce już się zupełnie upijał i snu pragnął. Głodzikowski wtedy nabierał dopiętro pragnienia do picia, stawał się wesołym awanturnikiem, dokuczał przyjacielowi, bił go nawet. Często upijali się we dwójkę gdzieś w lesie, lub szli do miasta i tam na parę dni przepadali.

Wicek gnał Felka do roboty, dając mu różne zajęcia, które nie przechodziły sił chłopaka, a odwracały jego uwagę od ojcowskiego postępowania. Z opilem Marcinem bywały nieraz na kolonii sceny. Jednego razu, po dłuższej pijatyce, wrócił do domu, niosąc na plecach zupełnie nieprzytomnego murzyna, którego potrząsał jakby wór zboża, a czasem puszczał na ziemię, kopał, bił po łbie pięściami, wołając:

— Obudź-że się, niemrawo, poganinie jakiś!... Słyszysz, psia duszo, czarnuchu, kominiarzu!... Czekał, durniu, ja cię tu zaraz obudzę...

I mówiąc to, poskoczył do ogniska, przy którym Maryna warzyła wieczerzę, porwał głownię i z nią biegł do swego towarzysza, lecz się potknął, upadł. Grzędzianka chwyciła zaraz dzbanek z wodą, podbiegła do Marcina i oblała mu łeb, na którym się włosy już zajęły od głowni. Głodzikowski, trochę poparzony od ognia, powstał; wyglądał jakby dopiero co dał nurka w wodzie, zbliżył się do Mafyny i począł stroić koperczaki. Dziewucha odpychała go od siebie; lecz kiedy chłop nie zaniechał natarczywych umizgów, wpadła w złość, chwyciła go za łeb, rznęła o ziemię, i polanem drzewa zaczęła leżącego okładać, gdzie popadło.

— Bij, Maryś, bij! — wołał Marcin. — Jeno za to moją będziesz, jak Boga kocham, będziesz!...

Te słowa pobudzały złość Maryny jeszcze bar

dziej: bila jak w martwą kłodę. Nadszedł na to stary Kobylak i, widząc, co się dzieje, krzyknął przerażony:

— Jezus, Marya, Józefie święty ! Ludzie, nie zabijajcie się sami, bo to ciężki grzech zabić swojaka !...

Opamiętała się teraz Grzędzianka i wróciła do swego zajęcia przy ognisku.

Zwykle po wytrzeźwieniu Głodzikowski uciuwał w sobie wyrzuty sumienia i, choć go nawet nikt nie strofował, on się sam zarzekał to przed Grzędzianką, to przed Wickiem, czy Kobylakiem, że już nie będzie pił więcej i weźmie się do roboty. Ale to wszystko na nic się nie zdało: dobre postanowienia trwały pół dnia najwyżej.

— Kiedy już przepije wszystko do ostatniego grosza, może się potem jeszcze ustatkuje - mówił Wicek.

Stary Kobylak nie próżnował na kolonii: codziennie rano i po południu chodził on z dwoma dzbanami do źródła, z kąd przynosił wodę, potrzebną Marynie do gotowania. A kiedy przyniósł wodę, to się znowu puszczał na zbiórkę drzewa, łamał gałęzie, suszył je na słońcu, aby gospodyni miała przy czem warzyć. Grzędziankę bardzo lubił i nazywał ją swoją córką. Kiedy się już stary nakrzętał około gospodarstwa, wtedy siadał gdzie z boku pod drzewem i zasypiał, odmrukując swoje pacierze. Ale

czasami znikał na parę godzin w bora, a nikt nie wiedział, co on tam robi; wtedy na obiad, czy na wieczerzę, trzeba go było zwoływać, wykrzykując po lesie:

—Hop, liop! bywaj, Bartłomieju!

Od czasu, kiedy wysiadł z niemieckiego okrętu na brzegi Brazylii, starzec bardzićj zgrzybiał, skurczył się; biedzi utki, pomarszczony, krzaczek taki łąził między ludźmi w białej koszuli, z bielutkimi włosami, podparty sękatym kijem i zawsze z różańcem na szyi. Kto może wiedzieć, co tam było w jego duszy?

Jednego dnia Wicek wrócił od pracy do szalasów na obiad, a z nim przyszedł i Felek, który się już był dobrze włożył do roboty. Maryna miała warzę gotową, lecz nie podawała miski, ponieważ brakowało Kobylaka.

Tym razem na poszukiwanie starca puścił się Strzała i, wszedłszy w las, nawoływał, jak zwykle:

—Hop, hop, Bartłomićj!

Daremne było to wołanie, nikt na nie nie odpowiadał i starzec się nie pokazywał. Wicek spostrzegł świeżo wydeptaną pod górę ścieżynę, więc poszedł za tym śladem. Tak przebiegł kilkaset kroków, aż na wzgórzu, ujrzał polankę, dokoła której rosły palmity i mimozy, a na tej polance stała jakaś altanka, zrobiona z gałęzi. Strzała zajrzał tam pocicbu.

Przed krzyżem z dwóch patyków, przewiązanych łykiem, klęczał Bartłomiej ze złożonymi dłońmi i modlił się półgłosem:

— „Panie Jezu Chryste, któryś jest na cudownym obrazie w naszej parafii i Najświętsza Panią Czeszochowska, ofiaruję Wam wszystkie moje pacierze na intencję tych braci, co porzucili własną ziemię, chaty, i w eieżMej doli poniewierają się po świecie. Nie karz ich, Panie, za grzechy, spraw miłosierdzie Swoje nad nimi, bo oni są już bardzo nieszczęśliwi...”

Na szelest, sprawiony przez Wicka, starzec odwrócił głowę i bladą jego twarz okrył lekki rumieniec wstydu. Tu było tak cicho, spokojnie, że on czuł Boga, a Bóg musiał głos jego wyróżnić wśród gwaru ludzi całego świata. Nie zdradza się przed nikim tajemniczy takiej modlitwy.

Bartłomiej wstał z trudem z ziemi, podszedł do Strzały, a spoglądając mu uważnie w oczy, rzekł:

— Jak umrę, pamiętajcie mnie tutaj pochować...

Wickowi łza spłynęła z oka i z uszanowaniem pocałował w rękę Kobylaka.

I Głodzikowskiego nie było na obiedzie; ale się nikt o niego nie pytał, nikt go nie szukał: wiedzieli wszyscy, że Marcin poszedł z murzynem na pohulan- kę do miasteczka.

Nareszcie po upływie dwóch tygodni z górą zarząd kolonizacyi przysłał do emigrantów swego

urzędnika, który im przywiózł topory, motyki, grace i zapomogę w gotówce. Zapomogę atoli w pieniądzech dostał tylko Strzała, ponieważ urzędnik kolonizacyjny ocenił jego pracowitość zarówno w przygotowaniu pola pod zasiew, jak i w przysposobieniu niateryału na postawienie chaty.

4

ROZDZIAŁ XX.

"Wpływ Cachasu,

Pewnego wieczora powrócił Marcin pijany do szałas, gdzie sypiał razem z Felkiem, rzucił się w barłóg liści i odrazu twardo zasnął. Nazajutrz, skoro świt, przyszedł Wicek, ażeby Felka zbudzić i do roboty napędzić. Po śpiących Głodzikowskich skakały ropuchy i biegały jaszczurki różnej wielkości, które na widok wchodzącego człowieka narobiły zgiełku, chroniąc się na wszystkie strony. Strzała rozbudził chłopaka i już miał wychodzić, kiedy Głodzikowski otworzył oczy i ziewnął głośno.

— Oj, Marcinie, Marcinie, co wy też wyrabiacie ! — rzekł Wicek z wyrzutem.

— Pies jestem, łajdak, ostatni gałgan! Ale temu koniec już być musi — odpowiedział Marcin.

— Jak wam chodziło o pijatykę, toście niepotrzebnie tak daleko emigrowali.

— Masz słusność;, Wicusiu, tyła ci się tu za- przysięgam, że wczoraj piłem po raz ostatni.

— Dajcie pokój, nie przysięgajcie, bo nie wytrzymacie; choroba jacy w was jest jakaś wewnątrz.

— Co ma być choroba 1 Gorzej świni człowiek¹ oto i cała parada.

— Żebyście się tak choć przez tydzień wstrzymali, toby może jako i przeszło.

—Wstrzymam się przez całe życie, tak mi Panie Boże dopomóż! Toć mnie się o kęs co dziwnego nie stanie, kiedy widzę, że wy ciężko pracujecie, a ja chlam tyło. Wicusiu, mojeś ty, uwierz, jakieś dobry 1 Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie...

— Ha, jak macie takie postanowienie, to bierzcie zaraz topór i pójdźcie do roboty. Kolonia wasza prawie nietknięta, a ja na swojej het już zwałem drzewo, czekam jeno, żeby przeszło, podpalę toto i na łeb, na szyję, zacznę sadzić kukurydzę, fasolę.

— O, psia dusza jakaś, łazi to wszędzie i człeka się nie lęka! — zawołał Marcin, wyciągając z pod siebie za ogon jaszczurkę, którą rzucił o ziemię.

— No, nie mitrężeie! Wstawaj i do roboty! — rzecze Wicek— ja was dziś dopilnuję!

— Dopilnuj, Wicuś, dopilnuj, jakieś dobry! Pod kpem będę, jeśli się dziś upiję... Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie...

Mówiąc to, dźwignął się Głodzikowski z barłogu,

przydeptał butem ogromną ropuchę, poczem opuścił szałas razem ze Strzałą i Felkiem.

Kiedy wyszli, spostrzegli, że opodal Maryna już się krzątała około ogniska, z którego błękitny dym snuł się w górę.

Wicek wstąpił do swego szałas, wyniósł z tam- ąd dwa topory i nóż; jeden topór oddał Marcinowi, a Felkowi nóż, z temi słowy:

— Smyk, taki lekki, jak ty, może się wspinać po drzewach; widzisz te sznurki, co się opuszczają ku dołowi, nazywają się one sipo; natnij mi ich dużo, bo się przydadzą, jak przyjdzie poszywać strzechę na chałupie, wiązać płoty, czy urządzać werka do spania. Tylko pamiętaj ciąć czarne — białe są słabe.

Zaledwie Felek odszedł, Marcin się zwraca do Wicka i mówi:

— Mnie koniecznie potrzebna kobieta! Cóż ty, Wicuś, na to, żebym się tak pobrał z Maryną?

Strzała ze zdziwieniem spojrział na Głodzikowskiego.

— Maryna? Toć ona młoda dziewczucha, a wy staruch; do czego podobna para taka?

— Staruch nie staruch, a Maryna mi się podoba I Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie ?

— Wszystko mi się widzi, żeście wy jeszcze nie wytrzeźwieli po wczorajszym bankiecie.

— Świętą prawdę mówisz, Wicuś, we łbie mi się trochę kotłuje. Ale bądź moim swatem u Maryny!

A. Dygasiński. Na złamanie karku. 12

— Nietylko swatem nie będę, ale wam jeszcze powiem, że Maryna za was nie wyjdzie!

— Chciałbyś ją dla siebie?... Oho, kto może wiedzieć, co będzie!

Wicek ponuro spojrział na Marcina i rzekł ostro:

— Zamknijcież sobie gębę !

Poszli w las i poczęli wyrąbywać drzewa na gruncie pod kolonie. Obaj chłopci pluli w dłonie, a huk toporów rozlegał się po dziewiczym boru.

Maryna przyniosła im w garnkach śniadanie, a skoro zjedli, znowu się jęli roboty i tak, zwalając ogromne wiekowe drzewa, pracowali do południa.

Na obiad wrócili znowu przed szałas, aby się posilić i wytchnąć trochę. Kiedy Grzędzianka postawiła przed nimi pełną miskę i podała łyżki, Głodzikowski jadł, a co chwila zerkał w stronę kolonii murzyna. Jakoż po niejkiej chwili ukazał się na wzgórzu Manoelo, którego czarna twarz wyraziście się rysowała na zielonym tle krzewów. Murzyn stanął i spoglądał ku polskim kolonistom.

— Aha, murzyn już wabi tatusia! — wykrzyknął Felek.

— Stul gębę, zatracony raku ! — zawołał Marcin ze złością. — Tobie zaś co do tego?...

Manoelo czuł dobrze, że jego przyjaźń z Głodzikowskim musi się niepodobać Strzale i innym, więc nie miał śmiałości podejść do szałasów, tylko zdal- ka obserwował. Trudna rada, Marcin nie zdołał się

oprzeć pokusie, i od południa drapnął; Wicek nie mógł go dopilnować.

— Oj, ciężko się dziś spracowałem! — rzekł Głodzikowski, połączywszy się nareszcie w lesie z przyjacielem.

Murzyn nie rozumiał, co Marcin mówił i wytrzeszczał tylko oczy z dużymi białkami. Sądził widać, że mu chłop robi jakąś propozycję, bo wyciągnął rękę w kierunku miasteczka i przyzwalająco skinął głową.

— Kasias! — zawołał Głodzikowski.

Manoelo znowu skinął głową i twarz apatyczna mu się ożywiła. Niebawem puścili się w drogę; deszcz nieco rosił, lecz to ich bynajmniej nie powstrzymywało. Skrócili sobie drogę, która prowadziła przez wysoką górę, i przeszli dołem po kładce nad strumieniem, huczącym gdzieś głęboko w dole pomiędzy urwistymi skałami.

— Tu łatwo grób znaleźć! — rzekł Marcin, ukazując palcem przepaść.

Murzyn skinął głową.

Zmierzch już padał, kiedy przybyli do miasteczka i udali się prosto do znanj sobie gospody. Zastali tam tylko policyanta, który, paląc papierosa, siedział w milczeniu nad maleńką filiżaneczką czarnej kawy.

— Dajs Kasias! — zawołał Głodzikowski, szczęśliwy, że umiał tyle powiedzieć po portugalsku.

Oberżysta z zimną krwią rozlał wódkę w dwie czarki, a Marcin skwapliwie trącił się z murzynem i wypił swoją porcyę, poczem splunął przed siebie.

Policyant zamówił coś do murzyna i wszczął z nim rozmowę, w której Głodzikowski nie brał wcale udziału, lecz, skrzyżowawszy ręce na piersiach, przechadzał się po izbie.

Po kilku minutach Marcin zbliżył się do rozmawiających, mrugnął na murzyna i rzekł:

— Kim, Manelo, kim! Na jednej nodze przecie nie będziewa stali.

Znowu nastąpiły „dajs kasias”. Teraz Głodzikowski kazał sobie dać tytoniu za dwa wintyny, poczęstował nim murzyna, policyanta i sam, śliniąc kawałek grubego papieru, skręcał w palcach papierosa.

— Wódka tu w Bryzologii u was gorsza, ale za to tytoń macie czujny! Jak pociągnąć dymu, to nikićj zgrzeblem po wnętrzu drapie: człek wić, że kurzy!... Tabak gut!

I Marcin szeroko otwarł usta, puszczając kłęby dymu.

— Famo! — zawołał policyant.

— Nie fumu, jeno tabak, mówię wam! U nas się też nazywa świcent albo machorka; ale na okręcie każdy mówi: tabak, a wódkę nazywają snaps!... U was się gorzałka nazywa Kasias, ni w pięć, ni w dziewięć...

Począł znowu chodzić po izbie, a pod nosem mruczał sam do siebie:

— Ścierwo ta Bryzolia, wszystko w niej takie opaczne!... Okowitkę pono tu robią z cukru, nie z kartofli. Chłopa u nich nie uświadczy, jeno co tknąć — murzyn, albo bryzolian... Pewnikiem bez to chłopów sobie z Polski sprowadzają.

Skończywszy ten monolog, podszedł do stołu i rzekł:

— Panie wojak, możebyśwa się tręcili — hę? Kim, kim, trejs Kasias!

Zrozumiał policyant, że mu chłop ofiaruje kubek, przyjął i do dna wychylił.

Marcin, któremu coraz więcej fantazyi przybywało, poklepał policyanta po plecach, wołając:

— Sołdat gut!... Fajn pije śnaps!... Małe to to, a czysto pije...

Teraz już Głodzikowski rozsiadł się za stołem i zaczął bardzo rezolutnie rozmawiać.

Murzyn po tej trzeciej czarce kaszasu był prawie nieprzytomny, otworzył idyotycznie szerokie usta, z których mu ślina ściekała, i wybałuszone oczy utopił w Marcinie.

— Czegóż ty, durniu, tak na mnie wywalasz gały? powiada Głodzikowski. — Czy ja mam rogi na łbie? Tyś prędczej podobny do dyabła, boś czarny i nazywasz się Manela. U nas w Polsce tylko żyd się nazywa Manela, a nie żaden człowiek... Głodzikowski ja się nazywam, po pańsku, a ty — Manela, flanela!... '

Chwycił murzyna za ucho, pokręcił mocno, a potem znowu prawil:

— Wiesz ty, panie wojak, że ja tego Manelę kocham, choć taki dureń, jeno go nigdy w gębę pocałować nie mogę? Cała skóra na nim śmierdzi capem, czy psem zdechłym!... No dalej, kim, kasias!

Policyant ruchem wyraził gotowość do picia; ale murzyn podparł głowę na łokciach, bo czuł taki zawrót, jakby się świat z nim kołował.

— Manela, pójdź na kasias!—wykrzykiwał Marcin.

— Cachas! — mruknął murzyn. — Obrigado!...

— Brykało, brykało!... A wiesz ty, co się u nas w Polsce nazywa brykałą?.. Chłb razowiec, co go sobie chłop tego podje, to potm bryka!... Manelu, pójdź na kasias, bo cię, jak Pana Boga... Panie szyn- karzu, nalać trejs kasias, ja funduję!...

Gospodarz znowu nalał trzy czarki, Marcin trącił się z policyantem, ale murzyn nie opuszczał swego miejsca za stołem. Głodzikowski wziął czarkę z wódką, podszedł do stołu i wrzeszczał:

— Manela, psia duszo, pij, bo ci gwałtem w gębę wleję!

Kiedy Manoelo i teraz się nie poruszył, Marcin pochwycił go w lewą garść za kędzierzawą czuprynę, a przechyliwszy mu w tył głowę, wylał w gardło gorzałkę. Jakoś szczęśliwie przeszła wódka do miejsca swego przeznaczenia.

— Jucha, ma spust dobry, tylko łeb słaby!..»

A u nas, w Polsce, jak chłop setny, to cały tęgi, nie- przymierzający ja, Marcin Głodzikowski, ze wsi Rokitnicy, gospodarz rolny!... Panie wojak, spróbuj się pan ze mną na rękę!

I Marcin uparł się koniecznie, żeby swych sił spróbować w zapasach z policyantem. Ale brazylijski strażnik porządku publicznego zaczął przed chłopem uchodzić to w prawo, to w lewo. Podczas tej pogoni Głodzikowski wyrwał mu z pochwy pałasz i wywijając nim, wołał:

— Po co takiemu kociakowi szabla? Mnie ją dać, to pokażę!... Co mi to za żołnierz, ledwie ćwierć chłop!... U nas żołnierz, to żołnierz... chłop jak smok!...

Jeszcze wypili po parę czarek, poczem już Marcin, równie jak policyant, zwalili się pod ławy, gdzie przedtém jeszcze spoczywał Manoelo.

Nazajutrz, około południa, zataczając się, Głodzikowski i murzyn powracali z miasteczka do kolonii. Kiedy przybyli pod górę, którą można było obejść po kładce na strumieniu, murzyn się cofnął, unikając niebezpiecznej przeprawy. Ale Marcin nawowywał nań:

— Manela, psia wiaro, zawracaj! Słyszysz, ja ci każę tędy iść ze mną!

Mówiąc to, zaczął gonić murzyna, który się potknął w ucieczce i runął. Głodzikowski nadbiegł, padł na leżącego, chwycił go oburącz za gardło i du-

sił. Doprowadziło to widać Manoela do wyzwolenia energii, bo zębami ugryzł przeciwnika w rękę aż do krwi, nagle wydobył się na wierzch, wymierzył Głodzikowskiemu parę potężnych kulaków i puścił się lasem przez górę.

Tego właśnie dnia po południu, Strzała, wzięwszy ze sobą psa i strzelbę, wybrał się do miasteczka, aby poczynić pewne sprawunki. Już miał wstąpić na ową wąską kładkę, gdy spostrzegł Marcina, który, krwią zboczony i zaledwie trzymając się na nogach, usiłował z przeciwnego brzegu dokonać przeprawy.

Przerażony Wicek krzyknął:

— Stój!

Przytem rękoma wykonywał gesty wzbraniające.

— Ho, ho! — mruczał Głodzikowski. — Niech mi się nikt nie przeciwi, bo, jak Pana Boga...

Pies Strzały, widząc jakieś niespokojne ruchy swego pana,, puścił się przez kładkę, na którą wszedł już i Marcin. Człowiek i pies spotkali się prawie na środku drogi.

— To ty mi hyciu będziesz stał na zawadzie! — krzyknął Głodzikowski ochrypłym głosem i nogą chciał psa strącić z kładki.

Ale sam stracił równowagę i gruchnął w przepaść.

Woda strumienia zarumieniła się od krwi, a pomiędzy kamieniami leżał trup Marcina z roztrzaskaną głową.

ROZDZIAŁ XXI.

Po śmierci.

Strzała miał nadzieję, że nieszczęśliwemu można jeszcze nieść ratunek, więc się opuszczał na dno przepaści; wnet się jednak przekonał, iż z Marcina dech życia już uleciał. Ażeby wydobyć martwe zwłoki, Wicek musiał się z niemi przeprowiać blisko wiorstę drogi w dół strumienia, gdzie już snadniej było na brzeg się wydostać.

Dokonawszy tego dzieła z niemałym trudem, niósł trupa przed szalasy. Strasznie wyglądała teraz latająca na wszystkie strony głowa nieboszczyka: kawałki zsiadłej krwi pozlepiały włosy na skroniach i czole, nieruchome oczy, krwią nabiegłe, wyszły na wierzch i wyszczerzyły się zęby obu szczęk, silnie)? zwartych.

Czarne sępy poczuły zapewne żer dla siebie, bo

lecąc górą, przeprowadzały Wicka z tem brzemieniem.

Pierwszą napotkaną osobą był Kobyłak, który siedział pod drzewem i zdaleka już spostrzegł Strzałę.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — zawołał Bartłomiej, podnosząc się z ziemi, a cała twarz jego przybrała wyraz zgrozy. — Cóż się stało?...

Wicek złożył na ziemię ciężar i opowiedział starcowi całe zdarzenie.

— Gniew pański przyszedł już do nas i trafił naj- pierwszego! — rzekł uroczyście Kobyłak. — Ojcie nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja!... Duszy zmarłego racz dać pokój wiekuisty. Amen.

Niebawem nadszedł też Felek, i ujrawszy zwłoki swego rodzica, rozgłośnym lamentem nappełnił powietrze. Teraz Bartłomiej wziął nieboszczyka pod swoją wyłączną opiekę, omył go, przybrał w czyste obleczenie i ułożył go po za szalaszami na stosie gałęzi. Przez całą noc leżał tak Marcin, sztywny, z obrazkiem świętym w rękach złożonych na piersi, z powiekami przyciśniętymi przez dwie miedziane monety; dokoła niego, zamiast świec, gorzały łuczywa. Kobyłak, zgięty w kabłąk, klęczał i głośno odmawiał różne modlitwy za umarłego.

Po upalnym dniu, zaiskrzyło się niebo gwiazdami,

w dolinie szumiał i huczał potok, a nad nim, niby dymek, unosił się lekki, białawy obłoczek mgły. Wnet też, jakby gwiazdami, pokryły się i lesiste góry milionami świetlików. Z wnętrza borów dolatywał posepny głos puhacza, a naokoło brzmiała nigdy nie ustająca muzyka świerszczów i piewików. Czasem, na czystym niebie, jak rakietą, przeleciała spadająca gwiazda i, rysując świetlny łuk w przestworzu, ginęła w dziewiczych borach Brazylii.

Tego wieczora nikt nie tknął wieczerzy, przygotowanej przez Marynę. Przed szalasami siedzieli: Wicek, Maryna i Felek; nikt nie śmiał jakoś odezwać się jednemu słówkiem, tylko Głodzikowszczyk czasem coś sobie przypomniał i zaszlochał. Wtem naraz w mroku zjawił się przed nimi Bartłomiej, i nic nie mówiąc, ręką dał znak, aby wszyscy za nim poszli. Zaprowadził ich przed zwłoki Marcina, na którego twarz padał blask od światła łuczyw. Uczucie smętku i grozy obudzało w duszach tej gromadki widok chłopca polskiego, zmarłego tak daleko od swoich, od cmentarza, gdzie spoczywały prochy jego dziadów i ojców.

Ziemia pragnie odebrać te plody, które urodziła, a teraz je oto traci na zawsze, — traci swoją płodność.

Kobyłak miał w twarzy ów poważny i surowy wyraz, który cechuje kapłana, przejętego ważnością swoich obowiązków; jego oblicze zdaławało się mówić

do obecnych: — „jestem wyższy nad wasze powsze-? dnie smutki i cierpienia, bo większe nad to rzeczy; mię obchodzą, bo po nad waszą zgryzotą pannje wielka idea, a ja jestem jej kapłanem”.

Biedna jest ziemia, która takich już nie ma!

Starzec nie mógł ukłęknać o własnej sile, więc ukląkł, wspierając się na sękatym kiju, który wbił w ziemię; na nim złożył obie ręce i zaintonował litanie za dusze zmarłych. Jego głos drżący zdawał się ginąć w szumie potoku i krzyk puhacza dopełniał go' niejako.

Już teraz słuchać było oiaśle wołanie i odpos wiedzy:

— „Kyrye elejson. — Chryste elejson. — Ky- rye elejson. — Chryste usłysz nas. — Chryste wysłuchaj nas. — Ojczy z nieba Boże, zmiłuj się nad nami”...

A puhacz i szum potoku ciągle wtórowały tój litanii polskich chłopów.

Kończyli nabożeństwo, Kobyłak wygłosił — „Baranku boży, który gładzisz grzechy świata”, a chór mu odpowiedział — „zmiłuj się nad nim, Panie!”

Nagle pies Strzały warknął i w bok poskoczył, ujadając zawzięcie. Nie przzerwano atoli modłów

jeszcze:

— „I nie wódź nas napokuszenie”.

— „Ale nas zbaw ode złego”. »

— „Panie, wysłuchaj modlitwy nasze”.

— „A wołanie nasze niech przyjdzie do Ciebie”...

Wtem dał się słyszeć odgłos cichych kroków. Mimowolnie wszyscy zwrócili głowy w tym kierunku i spostrzegli Manoela, który spokojnie, z głową pochyloną, przystąpił do zwłok i kornie padł na kolana. Przeżegnał się, złożył ręce, szeptał modlitwę, bił się w piersi, chylił ku ziemi głowę, i znowu się żegnał, i znów modlitwę rozpoczynał. Oni skończyli już się modlić, a z warg jego ciągle brzmiał jeszcze szmer pacierzy. Oprócz Bartłomieja, wszyscy powstali, a murzyn ciągle się modlił i modlił.

Z za ciemnych borów ukazał się na niebie księżyc, gorejący ogromną łuną, wschodził jak pożoga, mająca cały świat objąć sobą. Przy jego krwawym świetle naj wyższe palmy gór czarno się odrysowały na tle nieba.

Bartłomić i murzyn ciągle jeszcze klęczeli przy umarłym. Manoelo powstawał niekiedy, dorzucał świeżych łuczyw na przygasłe ognisko, poczem padał na kolana i znowu się modlił. Pomiędzy tym człowiekiem a polskimi emigrantami istniał tajemny węzeł współczucia: on, przed dwoma laty jeszcze niewolnik, czuł dotąd, jak ciężko jest człowiekowi na obcej ziemi, gdzie mu wszystko walkę wypowiada.

Zabieliło się niebo, znużone całonocnym lata

niem świetliki zniknęły gdzieś w gąszczach i pa- J hacz przestał nawoływać. Świeże, miłe powietrza poranku szło poprzez doliny, góry, a w lasach! odezwało się, jak żalosne jęki, gruchanie gołębi® junty.

Oparty na swoim kiju, Bartłomiej wyczerpał siłyjj drzémał i przez sen poszepty wał niekiedy jakieś! wyrazy pacierza, a murzyn czuwał jeszcze ciągle! i ciągle się modlił. Nagle powstał, podszedł do! zwłok Grłodzikowskiego, złożył przed nim ręce i zda-i wał się o czémś rozmawiać z przyjacielem, z którymi się tyle razy tręcał czarką kaszasu.

Oczy Manoela wyrażały jakby prośbę, błaganie! zadrgały mu grube wargi i po czarném licu stoczyła się łza rozrzewnienia. Snadź na dnie duszy, pod nałogiem pijaka, był człowiek. Może teraz chciał sami na sam pożegnać przyjaciela pijaka po raz ostatni,! a może wyraził żal swój, iż mu nie towarzyszy doi bram wieczności.

Dobry dzień był na niebie, gdy przed szalasami dał się słyszcć skrzyp piły i od czasu do czasu ude-j rżenia topora, czy młota: to Strzała zbijał trumnę dlał Marcina. Kiedy ją już przygotował, wziął na ramię! przyniósł i postawił w nogach umarłego.

Ocknął się teraz dopiero Bartłomićj; lecz długi<£| klęczenie tak zgębiło starca, że żadną miarą nie] mógł powstać na nogi o własnej sile i Wicek zale-J -dwie go zdołał podźwignąć. Kobylak ciągle miall

fizyognomię uroczystą, popatrzył na trumnę i ręką dał znak Strzale, iż na wieku brakuje krzyża. Wicek wyraził pewne zakłopotanie, nie wiedząc, co ma począć; wtedy murzyn żywo poskoczył do swojej kolonii, przyniósł ztamtąd sztabkę żelaza, rozpałił ją do czerwoności w płonącym ognisku i na wieku trumny wypiętnował krzyż czarny; potem podszedł do Bartłomieja i pytał go na migi, czy grób już wykopano. Właśnie Strzała miał się tćm teraz zająć, le cz Manoelo Wymownie błagał go spojrzeniem, aby mógł tę czynność wykonać. Kobyłak zawyrokował, iż mogiła nieboszczyka ma być na owej polance, gdzie sobie sam starzec zbudował był kapliczkę z gałęzi, tam się tćż murzyn udał natychmiast z motyką.

W dobrą godzinę czasu powrócił Manoelo, dając znać, że grób jest już przygotowany. Teraz Bartł- mićj odprawił po raz ostatni modły nad umarłym, poczem nieboszczyka złożono w trumnie. Rozległ się huk przybijania wieka, czemu towarzyszył rozgłośny płacz Felka.

Wicek i murzyn przystąpili z obnażonemi głowami, dźwignęli trumnę i ponieśli ją na swych ramionach. Przed nimi postępował Bartłomićj, biały jak gołąb, na szyi miał zawieszony swój różaniec, w ręku niósł krzyż z dwóch kijków, związanych sznurkiem sipo, i śpiewał pieśń:

„Witaj Królowo nieba i matko litości, Witaj nadziejo nasza w smutku i żałości!”

Za trumną szła Grzędzianka i Felek, oboje z za- J płakanemi oczyma.

Za życia, Głodzikowski, oprócz murzyna, nie miał w nikim szczególnego przyjaciela, z powodu swego nałogu do gorzalki; ale po śmierci chętnie zapomniano o jego przywarach, a jedno wszyscy dobrze pamiętali: że to był swojak z Rokitnicy.

I tak cały ów szczupły orszak szedł pod górę, aż dotarł do znanćj nam polanki. Tutaj ustawiono naprzód trumnę na ziemi, podłożono pod nią dwa grube a długie sznury sipo, na których Strzała i Manoelo powoli spuścili zwłoki do dołu.

W tój chwili Bartłomićj, trzymając krzyż w lewej ręce, prawą zrobił znak krzyża świętego nad grobem, i przemówił uroczyście:

— Duszo Chrystusowa, której śmiertelne ciało tutaj spoczywa, niech ci odpoczynek da Jezus Chrystus, syn Boga żywego, który nas krwią swoją odkupił, a niech cię z opieki swojej nigdy nie wypuszcza nasza Przenajświętsza Panna z Jasnej Góry. Amen.“ Wszyscy zaczęli teraz garściami rzucać do dołu zie- j mię, która, spadając na trumnę, wydawała głuchy[^] odgłos.

Na usypanej świeżo mogile Kobylak zatknął ów krzyż, co go niósł w ręku. I znowu teraz wszyscy

ROZDZIAŁ XXII.

"Waż popsuł plany.

Po śmierci Głodzikowskiego tryb życia) na kolonii nic a nic się nie zmienił. Wicek pracował teraz jeszcze usilniej;, opadła go jakaś gorączka pracy, jakaś taka nagłość, jak gdyby chciał wszystko od jednego zamachu zrobić. O wschodzie słońca już był na swojej kolonii i puszczał w ruch siekierę, przygotowując ziemię pod przyszłe zasiewy. Posiliwszy się na południe, używał krótkiego tylko wypoczynku i znowu pracował, nieraz mimo słoty, lub nadzwyczajnego skwaru. Kiedy się zmierzchno, on przed wieczerzą i po wieczerzy wykończył budowę chaty. W tych wszystkich czynnościach dopomagał mu Felek, o ile mógł chłopak taki.

Obaj ci pracownicy strasznie wyglądali: słońce; przypaliło im do czarna skórę na twarzy, szyi, rękach, a resztę ciała pokryły jakieś krosi, które bo

łały, swędziały. Pchły ziemne znowu pokaleczyły im nogi nielitościwie, a od ukąszeń innych owadów opuchli zupełnie.

Ubiegło dwa miesiące czasu od przybycia ich tutaj i przygotowawcza praca w kolonii Strzały była już na ukończeniu. Drzewa, toporem zwalone na stoku góry, przeschły już, więc je poczęto palić, co było niełatwym zadaniem; należało bowiem oddzielnie pod każdą kłodę podkładać ogień, a oprócz tego zbierać niedopałki gałęzi, układać je w stosy, palić, aby zyskać przestrzeń pod przyszłe zasiewy.

Mimo jednak całej usilności, niepodobieństwem było pozbyć się owych zawał. Pole kolonii wyglądało jak pogorzelnisko, pełne węgla i opalonych ogromnych belek, pomiędzy którymi jedynie mógł kolonista siać lub sadzić, nic nie wiedząc jeszcze, jaki plon będzie. Dniem i nocą wznosił się dym z niwy Wicka, płonęły tam liczne ogniska, a dokoła nich wiła się moc węzów, jaszczurek różnej wielkości i barwy.

W ogólnych zarysach stała też i klatka chaty, którą Wicek zamierzył zbudować, jak mówił, na sposób polski; ale i ta praca nie szła sporo: raz, że Strzała na sztuce budownictwa znał się nieosobliwie, następnie, że mu brakowało różnych potrzebnych narzędzi.

Stosownie do tego, jak się posuwały naprzód owe roboty i blizkie były dokończenia, Wicek zwracał

się coraz widoczniej ku Marynie, robiąc wymówki* że „na gospodarstwie, na kolonii, nie może być dłu- żój tak, jak jest dotąd”.

Grrzędzianka dobrze rozumiała, o co chodzi, i spoglądała na Wicka ukradkiem, obdarzała go miłemi uśmiechami, bo wiedziała, że ma zalotnika, który teraz gotów iść z nią do ołtarza.

— Do czego to podobne — mówił raz Wicek — sama jedna dziewczucha prowadzi tu całe babskie gospodarstwo, a nic ją z tem nie wiąże; obgadać jacy ludzie mogą, że my na wiarę z sobą żyjemy. No, a ja pocóż tak ciężko pracuję? Czy mnie to samemu jednemu potrzebne? Niechże raz będzie koniec temu sieroctwu, w jakim tu na obczyźnie każde z nas zostaje !... Koniecznie się przecie musi jedno na dru- giem oprzeć.

Jak oni się tak rozmówili raz i drugi, tak nareszcie stanęło na tem, że się powinni pobrać, ile że i chałupa akurat postawiona dla jednéj rodziny.

Manoelo przychodził na polską kolonię, przesiadywał tu, patrzył co ludzie robią, a niekiedy dopomagał Marynie w jej gospodarskich zajęciach. Wyrażał on zawsze zdziwienie wielkie na widok tak skrętnej pracy. Oo, chociaż miał rodzinę, bardzo rzadko i tylko z musu brał się do roboty na swojej kolonii. W domu jego była okrutna bieda: trzy krzaki bananów i kawałek ziemi, obsadzonéj czarną fasolą, stanowiły całe utrzymanie tej rodziny. Przy-

iem Manoelo każdy grosz, który mu wpadł do ręki, zaraz wydawał na kaszas, gdyż był namiętym zwolennikiem tego napoju. Z żony jego sypały się szmaty, a dzieci chodziły nago. Ten murzyn zdawał się teraz na swobodzie odbijać ciężką pracę niedawnych lat niewoli i poszukiwać zapomnienia o życiu w gorzałce.

Po zmówinach Strzały z Crzędzianką budowa chaty postępowała już bardzo szybko; Wicek śpieszył się oczywiście, ażeby jak najprędzej przygotować dom mieszkalny.

Narzeczeni ułożyli się nareszcie; że pójdą do miasta i tam poproszą księdza o ślub kościelny. Felka z psem miano zostawić na kolonii dla opieki nad całym majątkiem, Bartłomieja zaś i Manuela poprosił Wicek na świadków przy akcie ślubnym. Ten układ miał miejsce we wtorek, a sobotę wyznaczono na ślub i wesele. Murzyn zawczasu już okazywał zadowolenie, mając nadzieję wypicia niejednej czarki kaszasu.

Atoli we czwartek przed wieczorem puścił się l[^]P/ć* Strzała na łowy w bór, gdzie pies jego ruszył ogromnego tapira, którego brazylianie nazywają ant*. Dziki zwierz daremnie chciał ujść przed natarczywością Zabija i rzucał się w największe gąszcze; pies go nieustannie docierał i osadzał, a Wicek doganiał, pośpieszając za głosem Zabija. Już raz myśliwy dopadł był na odległość strzału i dał ognia,

lecz tylko zranił tapira, który teraz całym pędem puścił się przez wąską, krętą ścieżkę, wydeptaną tu zapewne wyłącznie przez dzikie zwierzęta. Strzała, zagrzany nadzieją łupu, dającego cenne mięso, biegł żywo, trzymając na pogotowiu strzelbę z odwiedzionymi kurkami. Wtém naraz z boku poczuł jakieś nagle uderzenie i ukłucie, jakby sztydłem, w nogę. Gdy rzucił okiem, spostrzegł tylko ogon węża, który w tej chwili zniknął wśród gęstej trawy i krzaków.

Wicek zaraz sobie przypomniał opowiadania różnych ludzi o jadowitych wężach w puszczech Brazylii i mrowie go przeszło na myśl, że właśnie oto może już mieć w sobie śmiertelny jad płaza. Zaniechał przeto dalszych łowów, nie ścigał już tapira, lecz czempredzj zawrócił do domu.

Kiedy przybył przed szałas, zastał tutaj Marynę, krzątającą się około ogniska, do którego Manoelo i Felek kolejno drew dorzucali; opodał, na wypró-chniałym pniaku drzewa, siedział Bartłomiej i kiwał się nad pacierzami.

Strzała zrazu nic nie rzekł; ale kiedy murzyn podszedł do niego z uśmiechem na ustach i zdawał się mówić: „jak widzę, nie udało ci się dzisiaj polowanie”, wtedy Wicek w milczeniu pokazał mu palcem ranę na nodze. Było to niewielkie zakłucie, poniżej którego przyschło nieco krwi ścieklój, a dokoła znad było na ciele lekkie zaczerwienienie.

Manoelo pochylił się, popatrzył uważnie, a potem z przestachem wykrzyknął:

— Jararaca! *).

Zaledwie to wyrzekł, pobiegł natychmiast do swojej kolonii i w cwał powrócił, niosąc tę samą sztabkę żelaza, która mu kiedyś posłużyła do wypalenia krzyża na Marcinowej trumnie.

Teraz murzyn gestami wyraził życzenie, ażeby się Wicek położył na ziemi.

Podczas gdy żelazo nabierało w ogniu czerwonej barwy, Manoelo wy dobył nóż i ostrzem jego zakreślił najprzód krąg na skórze dokoła rany, którą potem rozplątał tak, że krew obficie odpływać zaczęła. Następnie wy dobył z ognia rozpalone do białości żelazo, przyłożył do nogi Strzały i palił żywe ciało, z którego się rozeszła niemiła woń spalenizny.

Wicek cierpiał bardzo, ale ani pisnął, zacisnął tylko zęby i poddawał się operacyi.

Teraz murzyn pobiegł nad potok, narwał tam jakichś liści, położył ich kilka na ranie, a na liściach znowu rozpostarł warstewkę ziemi, rozrobioną na błoto w ślinie, poczem troskliwie obwiązał nogę długą szmatą.

Gdy tutaj nadszedł Bartłomiej i dowiedział się

*) Miejscowa nazwa węża, będącego postrachem mieszkańców Brazylii.

Otém wszystkim, co zaszło, twarz jego przybrała jakiś ponury wyraz, a wzniosłszy rękę do góry, zawołał:

— Każdego z nas już Pan Bóg sprawiedliwy pokarał gniewem swoim!... Oj, to jeszcze nie koniec, jego sprawiedliwość jest wielka, a grzechy nasze są bez miary i upamiętania!

To tylko rzekł, a potem zaraz padł na kolana

I modlił się głośno:

— „Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi! Panie, niech ci za wszystko będą dzięki! Ojczye litości pełen, niech Cię błogosławi dusza moja! Racz wysłuchać mnie, niegodnego sługę Twego, który do Ciebie zanosim modły za ten nieszczęśliwy naród! W Swoję ojcowską opiekę przyjmij ich Panie! Umacniaj ich, Wszechmogący Boże, ażeby dla miłości Twojej znosili swoje cierpienia!”

W nowćj chacie już były przygotowane tarimy, to jest rodzaj łożek: cztery słupki, wbite w ziemię, a na nich położona rama, przeplatana sznurkami sipo i zasłana liśćmi palmity.

Na taką to tarimę murzyn przy pomocy Felka i Maryny przeniósł Strzałę, zalecając mu leżć spokojnie. Zaczęła się teraz długa i przykra kuracya.

Noga spuchła, zaogniła się i Strzałę dostał bardzo silnej gorączki, podczas której opuściła go zupełnie przytomność. Przyszedł do siebie, lecz tём silnićj odczuwał cierpienie.

Panowały nadzwyczajne upały, a w chacie było

duszno i parno; przez otwory okien i drzwi wpadały roje natrętnych, dokuczliwych owadów, które dręczyły Wicka, pomnażając jeszcze już i tak bardzo wielkie dolegliwości.

Na szczęście Manoelo codziennie odwiedzał chorego, opatrywał ranę, opędzał muchy i komary i godzinami przesiadywał przy Strzale. Od czasu do czasu przychodził on tu pijany; woń kaszasa czuć było od niego i wtedy kładł się nieraz na gołej ziemi, chrapał, a roje owadów obsiadały jego skórę czarną, grubą i świecąca, jakby tłuszczem pociągniętą.

Bartłomiej bo już był za niedołężny, ażeby dozorować chorego; jego ciągle modlitwy i przepowiednie nieszczęść, nietylko nie przynosiły Wickowi ulgi, lecz go rozdrażniały.

Grzędzianka zawsze miała dosyć zajęcia około domu i choroba narzeczonego jakoś niebardzo ją zasmuciła. Felek, wtajemniczony już przez Strzałę w bieg robót na kolonii, nie próżnował bynajmniej, lecz nieustannie wynajdywał sobie zajęcia.

ROZDZIAŁ XXIII.

Koloniści z nad Rio Itapava.

" Porzucmy na chwilę naszych kolonistów u źródeł rzeki Itingi, a przypatrzmy się losom tych emigrantów, których z Desterro wysłano na parowcu do Itajahy, miasteczka leżącego przy ujściu do morza rzeki Itajahy assu. I to miasteczko ma także koszary dla emigrantów, jeżeli koszarami nazwać można ten stary drewniany budynek, położony wśród bagnisk i sapów. Jest to raczej rodzaj stajni obszernej, w której urzędnicy kolonizacyjni pomieszczają nieraz około trzystu ludzi, zdrożonych, znękanym przygodami, zaledwie zdrowych, aby tam na wpół-przegniłym barłogu z liści wypoczęli i przygotowali się do cięższych jeszcze zapasów. Niektórzy, nie mogąc znieść atmosfery tego gniazda chorób, wynoszą się na świeże powietrze, stawiają sobie budy z gałęzi i tak oczekują dalszego przeznaczenia.

Otóż dwustu emigrantów polskich znajdowało się w tym położeniu przez cały tydzień czasu. Kto umarł, to umarł: szczęśliwy, że raz zakończył tułaczy Na żywot. Reszta doczekała się pewnego dnia wizyty pana szefa kolonizacyi, nikłego człowieczka, z raaleń-kiemi jaszczurczemi oczyma, który tu przybył ze / swoją świtą i z plikami papierów pod pachą. Odczytał on listę powierzonych sobie ludzi, obojętnie wykreślił z niej tych, co umarli, a pozostałych wyekspe- dyował na mały parowiec, który ich miał powieźć po- rzece Itajahy assil do Blumenau. I znowu pod rachunkiem zdano ich komendantowi statku.

Ale parowiec nie mógł pomieścić tylu ludzi, więc przyczepiono do niego na linie wielką łódź, napełniono ją ludźmi, jak śledziami, i puszczono się w drogę. Słońce nielitościwie paliło głowy tych, którzy płynęli na owej odkrytej łodzi; przechylali się zatem, czerpali dłońmi wodę z rzeki i polewali rozpalone czaszki. Kto nie zna słońca Brazylii, ten nie ma wyobrażenia, co za męczarnię sprawiać mogą (W o jego promienie, jeśli się przed niemi nie można schronić. Wielu siadało na brzegu łodzi, opuszczając nogi w wodę, ażeby się przynajmniej w ten sposób cokolwiek ochłodzić.

Bądź co bądź, po przebyciu jednego piekła w koszarach Itajahy, drugiego na słonecznym spieku, przed którym nawet wytrwały murzyn zasłania się: parasolem, cała gromada przybyła do koszar w Blu-

menau, już pod sam wieczów. Pomieszczenie, które tutaj znaleźli emigranci, było rajem w porównaniu z koszarami w Itajahy. Komendant statku zdał swój towar urzędnikom kolonizacji i odpłynął.

Znowu stacya odpoczynkowa, trwająca przez kilka dni, a potem znowu jazda dalsza, już teraz łądem! i na kolonie. Ale jakże tu można wypocząć w takim tłoku, gwarze ludzi! Tam niemowlę wrzeszczy, jakby życie z siebie wypłakać chciało; opodal matka] rozpacza straszliwie, bo oto już ostatnie dziecię za cbwilę straci; dalej jeszcze jakaś rozczochrana baba z furią wpadła na męża za to, że ją do emigracyi nakłonił; gdzieindziej dwóch chłopów zawzięcie się sfarzy, bo jeden od drugiego pożyczył pieniędzy i oddać mu nie może, a wierzyciel jest oto w potrze! bie; jeszcze gdzieindziej przyjaciel przyjacielowi opowiada jakieś zdarzenie, a że chce być słyszany, więc usiłuje wszystkich przekrzyczćć. Ci, którzy tu właśnie tylko co przybyli, zabierali znajomości z ty-: mi, co przybyli dawniej; ztąd pełno wykrzyków, skarg, utyskiwań na doznane zawody.

Jednakże i to wreszcie przeszło, a emigrantów wysłano na kolonie do tak zwanych Terras devókdąs (ziem niezajętych), leżących między górami Serra do Jaragua i ich odnogami, w których biorą początek bardzo liczne rzeki, będące dopływami Itajahy assii. Tutaj u źródeł Rio Itapava wyznaczono tery- toryum na polskie kolonie.

Zdumieli się teraz emigranci, kiedy im ukazano- ową obiecaną ziemię, do której spieszyli z takim zapałem na złamanie karku. Bory nieprzebyte i góry — wszystko po za światem!

Urządnic kolonizacyi w towarzystwie miejscowego dozorca i tłómacza zaprowadził ich do szopy bez. ścian i rzekł:

— Oto są baraki, które wam rząd przeznacza na tymczasowe mieszkanie, zanim sobie pobudujecie chały!

— Spodziewam się, moi ludzie, że teraz jesteście już zupełnie szczęśliwi, przysługują wam bowiem wszystkie prawa wolnych obywateli Stanów Zjednoczonych rzeczypospolitej Brazylii.

Kiedy chłopci posłyszeli tę przemowę z ust swojego tłómacza, rozległ się wśród gromady nędzarzy szmer niezadowolenia, a tu i owdzie wyrywały się przekleństwa, lub groźby.

Ale oto urządnic kolonizacyjny już im z przed oczu zniknął, a dozorca z rewolwerem i kindziałem za pasem popatrzył ostro na tłum obdartusów, po- czem spokojnie odszedł do swoich baraków na górze (zaprawdę o wiele, wiele, wygodniejszych od tych na dole), ażeby tam z wyżyn czuwać nad porządkiem świeżych obywateli.

Teraz już dzień po dniu przynosił nową nędzę, a przyszłość ukazywała za cały ratunek — rozpacz.

Jak tu pracować o głodzie i w braku wszystkiego?

Nawet na owe narzędzia pracy, z czego się rząd brazylijski przez usta urzędników tak przechwalały trzeba było czekać przeszło dwa tygodnie czastd A ta wszystko dokuczało: przyroda, ludzie, własnjg głód, żal i tęsknota za rodzinnym krajem, na zawsze już straconym.

W obec tego Matus Dzwonko, ów żarliwy apostda •emigracyi do Brazylii, stracił zupełnie nadzieję odzy* skania pieniędzy, które mu skradziono w Szarlotten^j burgu i upadł na duchu. Żona jego, kobieta cichad spokojna, z zapłakanemi oczyma, w milczeniu tuliła jak mogła, dzieci głodne i schorowane.

Tak chciwy na rolę, Mikołaj Dąbek, zgłupiał for-* 'malnie, kiedy obejrzał te pałygi w górach, mające być jego własnością po nieskończenie wielkim trudzie wykarczowania dziewiczego lasu. Już w trze-; cim tygodniu pobytu tutaj, pewnego dnia, żona jego Kaśka, baba nader energiczna, istna tygrysica, gdy? szło o obronę dzieci, choćby w obec męża, stanęła przed nim, jakby straszliwy sędzia i kat zarazem^ wyglądała przerażająco: pod brudną koszulą, pierś! jej się wzdęła, szafirowe oczy świeciły iskrami; a cała twarz płonęła ogniem złości. Na muskularnych rękach miała rękawy koszuli zakasane po łokcie, i tak na swych grubych, czerwonych jak raki nogach biegła do Mikołaja, aż ziemia pod nią dudniła. Chłop się cofnął z przestachem, bo czuł, że nań idzie burza, której nie miał możliwości zażegnać, zwłaszcza,

że go położenie na nowój kolonii nadzwyczajnie zgnębiło.

— Rany boskie, coś ty, nicponia, najlepszego zrobił — wrzasnęła Dąbkowa.— Wyprowadziłeś mnie i dzieci na skraj świata po to, żebyśmy tu zmarnieli? Ale czekaj, łajdaku, niedoczekanie twoje!... Długom nic nie mówiła, choć mi się serce krajało; chciałam zobaczyć ten twój grunt śliczny! Widzę go już teraz przecie! Powiedz-że, możeś mędrszy od baby — hę ?.., Sam teraz stoisz jak niuńka, aż mię w rękach coś korci, żeby cię tak zamalować, gałganie, raz i drugi!... Bryzologii mu się zachciało, ananasów! Ty, niedobrego, kłuły cię w zęby kartofle i zur chłopski w Rokitnicy na roli, zachciało ci się pańskich przysmaków i słodziutkićj kawy, herbaty!... Nachlapałeś się tego na okręcie, jak świnia pomyi!... Sprzykrzyła ci się porządna kobieta ślubna, toś ją na drodze zostawił, jak wiecheć, i uciekłeś z inyja- kiem, z tłukiem ostatnim do Brymy, żeby używać... Cóż ty sobie myślisz, że ja ci to wszystko tak letko puszczę?...

— Kobieto, miejże upamiętanie! Ludzie się oto schodzą, pośmiewisko sobie z nas robią — odezwał się Mikołaj, łagodząc babę.

— O, ty durniu jeden, obieżyświecie! Jemu o ludzi chodzi, nie o rodzone dzieci i o ślubną żonę!... Przy ludziach będę wrzeszczała, niech wszyscy słyszą, niech wiedzą, ktoś ty taki!... Czym ja to lada-

jaka, żeby mi się nie było wolno upomnieć za sobą, za dziećmi?... Czym ja ci nie wniosła wiana, jako gospodarska córka: krów, pierzynek, gotowego grosza — he? A potem jeszcze czy z pana ojca chałupy nie szło do ciebie pieczone, smażone i gotowanej Gadajże, urwipolciu, jeżeli ci zełgała S

— Toć ja ci się w niczym nie przeciwuję — rzeki Mikołaj pokornym głosem.

7— Nie przeciwisz się?... Gadaniem się nie prze-' ciwiesz, bo wiesz, na cobyś natrafił!... Jeszcze czego? Ale, szubieniczniku jakiś, swoje robisz, boś taki już z urodzenia łajdak, z cicha pęk 1 Czyś to z mojem pozwoleństwem poleciał na tę emigrację?... Albo mnie się może pytałeś, jakeś z tą małpą Grzędzianką uciekał do Bremy?... Oj, ty huncwocie jeden, obrzyn dliwczę zatracony!... Widzicie go, w oczy mi będzie fałszem bluzgał!

Dąbek niewiedział już, co ma począć ze swarliwą babą i drapnął — począł uciekać w głąb lasu. Ale Kaśka za nim pobiegła, dopędziła go w krzakach, pochwyciła silnie za czuprynę i jęła krzyczyć:

— Oddaj mi pieniądze, co je masz przy sobie, com je wspólnie z tobą wypracowała!... Oddaj, rozumiesz!

— Kaśka, bój się Boga! dość już tego publikom wania!

— Gałganie, oddaj pieniądze, mówię ci, bo to nie twoje, to naszych dzieci! Oddaj, bo cię tu żywego nie wypuszczę! — Mówiąc to, wstrząsnęła chłopem silnie.

— POCO ci pieniądze?... Toć ja ich nie zjadam— odrzekł z niepokojem Mikołaj.

— POCO? Pytasz jeszcze — poco?... Po to, żeś, łajdaku, wszystko źle zrobił, żeś nas na nieszczęście w świat wyprowadził. Ja teraz rządy wezmę w rękę i będę ratowała od zguby siebie i dzieci. Oddaj pieniądze!

Z temi słowy pochwyciła ręką skórzaną torebkę, która się chłopu wysunęła z zanadru, a w której on nosił pieniądze. Torebka atoli wisiała u szyi na mocnym sznurku i Kaśka jej urwać nie mogła.

Rozpoczęło się teraz w krzakach gwałtowne szamotanie, gdyż chciwy i skąpy chłop gotów był oddać raczćj duszę niż pieniądze. Sznurek, ciągnięty silnemi rękoma Mikołajowćj, przetarł Dąbkowi skórę na karku i krew się ukazała. Teraz chłop wpadł we wściekłość, zebrał wszystkie siły i oburącz pochwycił babę za bary, pociągnął ją ku sobie, potem pchnął i oboje padli na ziemię. Straszliwy krzyk sprowadził w krzaki licznych emigrantów, którzy poczęli niebawem rozbierać walczące małżeństwo: jedni ciągnęli do siebie Mikołaja, drudzy dźwigali Kaśkę.

Zaperzona i zasapana baba, w podartej koszuli, z podrapaną twarzą, tryumfowała ostatecznie, gdyż zębami odgryzła sznurek na piersiach męża i zabrała torebkę z pieniędzmi.

A. Sygatiński. Na złamanie karku. 14

Z tym łupem biegła pośpiesznie do dzieci, a po drodze wykrzykiwała:

— Nie stoję teraz o ciebie, łajdaka! Mam o czym wrócić do ojców, a ty sobie rób, co ci się podoba!... Zostań w Bryzologii, zmów sobie jakiego myjaka, wszystko mi jedno!...

— Heród baba, bo Heród, jeno mądra! — zawołał Cierniak, przyglądający się tej scenie. — Obło" wila się setnie, bo Mikołaj spore pieniądze zawsze miał przy sobie.

A Mikołajowa przypadła do baraków, pochwyliła najmłodsze płaczące dziecko na ręce, tuliła je, całowała, po tym poszła z niem w tę stronę, gdzie srodze strapiony Matus Dzwonko siedział, jak martwy głaz wśród swej rodziny.

— Matusie, nie chcielibyście wy wrócić do Rokitnicy? — zapytała go Dąbkowa.

Pytanie było tak niespodziewane, miało w sobie tyle nadzwyczajnego uroku, że Matus osłupiał, jak gdyby sam Pan Bóg do niego przemówił.

Dopiero się Kaśka rozgadała, że chce wracać do domu, że męża porzuca, a jej samej jednej kobiecie nijako puszczać się z dziećmi w tyłną drogę, więc gotowa jest pożyczyć pieniędzy, potrzebnych na kosztą powrotną podróży dla całej rodziny Dzwonków.

Matus rozrzewniony rzucił się do rąk Mikołajowej, zaczął je całować, a wykrzykiwał:

— O, dobrodziejko nasza, niechże ci Pan Bóg tę łaskę w sto razy odda na dzieciach!

I tak postanowili sobie, że nie tracąc czasu, zaraz nazajutrz puszcza się w drogę piechotą do Blu- menau, aby tam wsiąść na statek i udać się naprzód do Rio-Janeiro, a ztamtąd do Bremy.

ROZDZIAŁ XXIV.

Nieudana wyprawa.

Słońce ponad lasami pięknie weszło i wczesnym już rankiem zapowiadało wielki skwar dzienny.

W kolonii polskiej nad Itapaya od samego świta ruch się rozpoczął: kobiety rozniecały ogniska, znosiły do szałasów wodę, gałęzie. Tu i owdzie słychać było głośno odmawiany pacierz, lub się rozlegała pieśń nabożna:

„Kiedy ranne wstają zorze, „Tobie ziemia, Tobie morze^{1*}.

Matus Dzwonko i jego żona przygotowywali się do podróży, pakując w płachty cały swój majątek; toż samo robiła i Dąbkowa z niemałym pośpiechem.

Około godziny szóstej rano dobrze już czuć się

dawał brazylijski upał letni, gdy w drogę wyruszył orszak, złożony z dwóch bab, chłopca i sześciorga dzieci.

Matus zabrał był na plecy ogromne zajdy z rzeczami Mikołajowej, a oprócz tego zawiesił sobie od przodu na szyi płachtę, wypchaną własnymi rupieciami; pod pachą niósł mniejsze jakieś zawiniątko, w prawej ręce koszyk z garnkami, łyżkami i zapasami żywności; za pasem miał długi nóż i nowy, lśniący topór.

Obie kobiety, jako też starsze dzieci, dźwigały inne jeszcze pakunki. Za nimi, w odległości może jakich pięciuset kroków, postępował niespostrzeżony Dąbek; szedł on smutny, z głową zwieszoną ku ziemi, z rękoma włożonemi w kieszenie kapoty.

Skwar słoneczny dokuczał coraz więcej, przeto podróżni musieli często odpoczywać, a wtedy i Dąbek przysiadł pod drzewem.

W czasie jednego takiego wypoczynku Mikołaj postyszał za sobą odgłos czyichś kroków, odwrócił głowę i spostrzegł Cierniaka.

— Skądżeście wy się tu znowu wzięli? — zapytał Dąbek.

— Widzę przecie, że w tem boru niema co robić, tak trza gdzieindziej szukać kawałka chleba, — odparł Cierniak i niebawem usiadł obok Dąbka.

— Juści prawda; zmanili nas psia wiary! I co tu teraz robić, w co ręce włożyć?

—Ja bo do Ryjo pociągnę, może się tam gdzie zawieszę; a wy, Mikołaju?...

—Czy ja wiem? Baba piekut zabrała mi a to pieniądze co do grosiczka i jestem teraz, jak bez rąk, bez rozumu.

—Nie możecie jej to odebrać? Żeby tak na mnie trafiła, miałyby się z pyszna — ho, ho!

Dąbek milczał, a Cierniak po chwili tak znowu mówił:

—Czyście wy to malowani, że was baba od wszystkiego usuwa? Kiej chodzi o taki powrót do Rokitnicy, toście wy przecie powinni tem wszystkim dysponować. Potrzebnie ona Matusa z babą i dzie-ckami na wasz koszt bierze, a wam się nawet nie opowiedziała?

— A no, widzicie! Cóż z taką zatraconą jędzą zrobić?...

—Nie wiecie?... Postawcie się, jak na chłopa przystoi! Gwałt na gwałt; ona wam pieniądze siłą wyrwała, czy wy macie być od niej gorsi?

—Oj, żebym ja tę owę sam na sam gdzie dopadł, odebrałbym swój grosz święcie i jeszczebym jej na pamiątkę co przyłożył!

—Toć oni dziś do Blumenau przed nocą nie dojdą; muszą się na drodze zatrzymać i do dnia przeczekać, ile że ich po nocy przez rzekę nie przeprowią. Baba, zdrożona, zaśnie jak kamień, a w tym czas...

— Ja też po to idę za nimi, żeby upatrzeć porę, jeno widzicie z Kaśką ciężka sprawa: siły ma psia kość w rękach lepiej, niż drugi chłop, a taka zła i zawzięta, że niech rany boskie bronią!

— Kiej się ją dobrze przytłamsi, będzie cicho, a jak wy już pieniądze do swoich rąk dostaniecie, to się baba przed wami upokorzy.

— Ehe, nie taka ona! Pokory ja się od nićj nie spodziewam, jeno nie chcę w Bryzologii bez niczego zostać, a ta psia dusza — widzę — myśli mię tutaj zostawić. Na to nie pozwolę, jak Bóg Najwyższy na niebie!

Kiedy Dąbek prowadził taką rozmowę z Ciernia-kiem, baba jego tymczasem szła obok Matusowój, gwarząc, a ciągle się oglądała, czy aby które z dzieci gdzie nie zginęło; obie kobiety były czerwone, jak raki, a pot spływał im obficie po twarzach. Matus sapał, ledwie się włókł na końcu orszaku.

Atmosfera zdawała się być pełną żaru, a widziane w nićj przedmioty miały odcień niebieskawy, jak gdyby pociągnięte farbką.

Od czasu do czasu podróżnych naszych mijał na koniu, lub na mule, człowiek w kapeluszu z dużym rondem, z dubeltówką na ramieniu, z nożem w skórzanej pochwie za pasem. Cała gromadka mówiła wtedy: — „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Ale jezdziec taki przyglądał im się tylko i nic nie odpowiadał, ani nawet nie uchylił kapelusza.

— Rozpowiadali u nas, że w Bryzologii furt katolicy, a tu naród, jak pogań, boskiego słowa nie rozumie ! — rzekła Dąbkowa. Matus bo każdego przejeźdnego zapytywał:

— Dobrze my tóż idziemy do Blumenau?

— Blumenau, Blumenau! — powtarzał jezdny i ręką ukazywał kierunek drogi, wijąc się przez lasy, a góry.

— Mój Boże, gdzie tóż to tam nasza Rokitnica — szepnął Dzwonko sam do siebie. — Licho zaniósło człeka na taką Ukrainę!...

Słońce zniżało się na niebie, a jakkolwiek spiek jego nie przepalał już głowy, jednak po nadzwyczajnym skwarze powietrze było bardzo duszne.

Nareszcie na błękitie wystąpiły gwiazdy i nad lasami ukazały się roje latających światełków.

Podróżni nasi postanowili spocząć, zwłaszcza, iż dzieci bardzo wyrzekały na znużenie.

Teraz Matus złożył na ziemi swoje brzemie, a przybrawszy sobie do pomocy najstarszego chłopaka Dąbkowój, począł łamać i ciąć nożem gałęzie drzew, krzewy; chodziło o to, ażeby rozpalić ognisko. Potem poszedł po wodę i wnet obie baby zastawiły przy ogniu garnki, w których miano warzyć na wieczór czarną fasolę. Wszyscy mieli wyborny apetyt, a przeto sprzątnięto warzę co do odrobiny. I znowu Matus poszedł po wieczór do strumienia, aby w nim pomyć garnki i miski. Kiedy wracał, posły

szął w lesie szelest jakiś i zdawało ma się, że w mroku spostrzegł człowieka, który w oddalenia przeszedł przez ścieżkę.

Dąbkowa i Matusowa odmawiały na głos pacierze z każdym kolejno dzieckiem, Matus zaś tymczasem przygotowywał posłania, rozkładając na ziemi przeróżne szmaty. Kiedy już i tę czynność ukończył, dorzucił gałęzi do ognia, wsparł ręce na kolanach, a na rękach głowę i tak siedział przed ogniskiem. Cichym głosem odmówił długie pacierze, poczem odśpiewywał :

„Wszystkie nasze dzienne sprawy „Przyjm litośnie, Boże prawy”

Mikołajowa przez jakiś czas, leżąc na posłaniu, prowadziła jeszcze rozmowę z Matusowa: opowiadała jej historię swego wyjścia za mąż, potem wyliczała wszystko, ca od rodziców dostała na wiano, aż nareszcie przy opowiadania o narodzinach pierwszego dziecka głos jej ścichł i usnęła.

A Matus sam jeden czuwał przed ogniskiem, był jakiś niespokojny, odwracał często głowę od ognia i w ciemny las spoglądał: widział tam tylko roje mijających się świetlików, słyszał monotonną muzykę licznych świerszczów. Znowu zaczął śpiewać półgłosem: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”. W ciągu téj pieśni zdrzémnał się; ale się ocknął nie

bawem i śpiewał dalej. Zamglonem okiem spojrział w las, bąknął:

„Słuchaj co mówi Pan: Kto mię miłuje, „A w mym zakonie szczerze postępuje, „Ja go tóż także.... Ja go też tak....że....”

Ostatnie słowa wymówił Matns głosem ochry! pływ, przewrócił się na murawę i wnet z ręką podłożoną pod głowę począł głośno chrapać. Zasnął on tym twardym snem, z którego się ocknąć bardzj trudno.

Spał tak przez jakiś czas, a choć mu sen przy-; niósł przerażające obrazy, choć słyszał straszliwe jęki i chciał się zbudzić, nie mógł tego dokazać: czuł jakby ołów w nogach. Dopiero gdy się w powietrzu rozległo po trzykroć wywołane jego imię, otwarł oczy i przy mdłym blasku dogorewającego ogniska spostrzegł dwóch ludzi, uchodzących w krzaki. Zerwali się już teraz na równe nogi, wyciągnął z za pasa to-j pór i rażno podskoczył za uchodzącymi ludźmi, podczas gdy za sobą słyszał głos Mikołajowój: — „Złodziej, złodziej!... Łapaj, kto w Boga wierzy!” •

Ten krzyk dodał sił Matusowi; sadził on poprzea krzaki w kierunku słyszanego tententu i niebawem' dopadł jednego z uciekających: bez namysłu, ciął raz, drugi, toporem, jak w drzewo.

— Jezus! Marya! — krzyknął człowiek rażony i z głuchym jękiem padł na ziemię.

W oddaleniu słyhać było szelest krzaków i odgłos kroków drugiego człowieka, który całym pędem w bór uchodził.

Matusa zdjął teraz strach: był w ciemnym lesie, sam na sam z jakimś człowiekiem, któremu prawdopodobnie zadał cios śmiertelny. Odwrócił się i z o- gromnym pośpiechem począł bieżć ku ognisku; lament bab, krzyk dzieci były mu w ciemności dobrym przewodnikiem. Zaledwie dotarł do miejsca, gdzie spał był przed chwilą, spostrzegł tu Mikołajową, otoczoną wystraszonemi dziećmi, rwącą sobie włosy na głowie, podczas gdy znowu baba jego zanosiła się od płaczu.

— Co się tu stało takiego? — zapytał.

Oślupiała, prawie nieprzytomna, Mikołajowa w odpowiedzi na to powtórzyła kilkakrotnie

:

— Pieniądze moje, pieniądze!

I spoglądała na ręce Matusa, jak gdyby myślała, że jćj powróci zgubę. On tćż rzucił okiem na swą rękę i spostrzegł na nićj plamę krwi; drgnął i czem- prędźć na bok się usunął.

— Nikt inny nie ukradł, tylko ten łajdak mój, ten zbój — wołała Dąbkowa.

Matus pomyślał, że człowiek, którego ciął po dwa- kroć toporem, może to jest właśnie Mikołaj Dąbek.

W ciężkim smutku, wśród szlochów obu bab i dzieci, doczekano świtania. Słońce weszło, lecz dla *ćj gromadki emigrantów było ono jakby gwiazdą,

oświecającą ich zawód i niedolę. Zniknęła już na-;] -dzieją powrotu do Rokitnicy.

Przy świetle dziennem puścił się Dzwonko w las, aby zobaczyć nocne swoje dzieło. Z jednej strony] przejmował go strach, że zabił człowieka, z drugiej! żywił nadzieję, iż może jeszcze odzyskać pieniądze Dąbkowój. Szedł przez gąszcze ostrożnie, zerkał' oczyma na wszystkie strony, a głośnie uderzenia wla4 snego serca brał za jakieś głosy, pochodzące z boru|

Nareszcie spostrzegł w oddaleniu jakiś przedmiot, podszedł ku niemu na palcach i wnet się przekonał! naocznie, że ma przed sobą martwe ciało człowieka| który ciężarem swoim zwałił się na krzak palmy wa-J chlarzowój i krwią go zbroczył. Matus zadrżał, po-, bladł, odwrócił mimowoli głowę. Ale kiedy wspo-j mniał, że zabity jest złodziejem i może mieć przy* sobie skradzione pieniądze, potrzebne na powrót Rokitnicy, wtedy się przeżegnał, szepnął jakieś sło-l wa modlitwy, czy zaklęcia i znowu podszedł kilkak kroków naprzód.

Nie miał już teraz Dzwonko żadnej wątpliwości.' Mikołaj Dąbek leżał przed nim martwy, z rozwaloną głową, a dokoła niego pełno było krwi, zsiadłój, jak galareta. Pomimo wczesnego poranku, wielkie sza-? firowe muchy przechadzały się po twarzy niebo-j szczyka.

Dreszcz mrozem przebiegł po ciele Matusa, a jakaś niewidzialna siła kazała mu ztamtąd uciekać.?

Odszedł kilkanaście kroków, usiadł i przez chwilę o czymś myślał. Znowu powstał, zbliżył się do trupa odważnie, począł przetrząsać jego kieszenie; ale znalazł tylko kilka miedzianych i niklowych sztuk monety brązy liańskiej.

Uważał sobie za obowiązek pogrzebać tego człowieka, więc toporem, którym go zabił, wykopał dół, zepchnął weń zwłoki i przywalił je ziemią. Dokonawszy tego, klęknął, zmówił pacierz, a potem z udanym spokojem wrócił do pozostawionych bab i dzieci.

— Gdzieżeście tóż byli przez tyle Czasu? — zapytała go Mikołajowa z wyrzutem.

— Szukałem oto w lesie śladów złodziei — odparł Dzwonko — ale nic nie znalazłem.

— Cóż my teraz pocniemy nieszczęśliwi ludzie? — odzywa się znowu Dąbkowa ze łzami w oczach.

— Ha, trzeba chyba wrócić na kolonię i tam już. czekać zmiłowania boskiego! Zawdy tam lżej, gdzie jest gromadka swojaków — rzekł Matus.

I tak podróżni nasi, obarczeni tobołami wrócili znowu do kolonii nad Rio Itapaya.

ROZDZIAŁ XXV.

Dawniejszy emigrant.

Z tego, co się powiedziało, łatwo już zrozumi[®] że współka Dąbka ze Sobkiem Cierniakiem, zawarta? w celu odebrania babie pieniędzy, wyszła na korzyść! Cierniaka. Złodziej ten, skoro tylko dostał do rąk zdobycz, myślał jedynie o tern, aby ją dobrze zabezpieczyć. Miał on widocznie z góry nłożony cały plan; postępowania, a przytém los wybornie mu sprzyjał, gdyż jedyny świadek czynu, Dąbek, zginął z ręki Matusa.

W takiej Brazylii nie trudno się ukryć złoczyńcy., Sobek natychmiast zmienił kierunek i nie szedł już . zwykłą drogą, lecz dotarł do samego brzegu rzeki Itapaya, gdzie przycupnął w gąszczu krzaków i do dnia przeczekał.

Zaledwie pierwsze brzaski rozjaśniały niebo, już 4 Cierniak opuścił nocną kryjówkę i popod wzgórzy[^]

stym brzegiem, jak wilk, nasłuchając, oglądając się, odbywał dalszą podróż, nie kierując się wcale ku Blumenau.

Na drodze swój spostrzegł przy brzegu jakieś małe czółenko rybackie, wysunięte na ławę piasku, a obok niego leżało wiosło. Krótco się namyślał, zepchnął tę łódkę na wodę, wskoczył w nią i puścił się z biegiem rzeki. Niesione bystrym prądem, rażno niktęło lekkie czółenko, tak, że w parę godzin potęm Cierniak znalazł się pomiędzy wspaniałemi brzegami szerokięj rzeki Itajahy assii, któręj dopływem z lewęcęj strony jest Itapava.

Piękna to podróż. Na obu brzegach porastają olbrzymie trawy, sitowia, trzciny; wszędy pełno drzew i krzewów, zupełnie obcych dla oka europejczyka. Tam w górę strzela sosna brazylińska, któręj korona przypomina misę lub odwrócony parasol, dalej znowu imba-upa o wielkich, ciemnych a rzadkich liściach; prześliczna wierzba płacząca, zwana szoradera, drzewo bagu-aszu, pokryte u góry karmazynowym i pomarańczowo-żółtym kwiatem.

Jeżeli się gdzie zdarzy ludzka siedziba, to lśnią się koło nięcę, jak kobierce, kwiaty fioletowe, czerwone, białe, co pięknie odbija na zielonęcęm tle drzew pomarańczowych, brzoskwiniowych, bananów i kawy. Nigdzie tu zaś nie brakuje wysmukłęcęj palmy, uwieńczonęj piękną koroną liści.

Obojętny na to wszystko Cierniak płynął wzdłuż prawego brzegu. Na wodzie zrywały się przed nim do lotu stada białych czapli, dzikich kaczek, lub dawał nurka czarny pienar. Wśród krzewów rozlegały się śpiewy kanarków, licznych sabij, ptaków ticu-ti- cu, fruwały czarne długo ogoniaste ptaki anu, przełaj tywały z brzegu na brzeg tukany, skrzeczały w gór; rze zielone papugi i papużki, a wszędzie wraz z motylami bujały prześliczne kolibry.

Itajały assu w biegu swoim tworzy na prawo i na lewo liczne zagięcia. Przy jednym z owych kolatijj zbiegają się trzy znaczniejsze dopływy: Rio Gaspar Grandę razem z Rio da Guaruba i niżej Rio Gaspacj peaueno. W tem miejscu brzeg jest wzgórzystys zdaleka już na nim widać biały kościół i kilka ja kichś zabudowań.

Dopłynąwszy do Gaspar, Sobek wyciągnął na. brzeg czółenko i poszedł na górę, gdzie postanowili

w miejscowej gospodzie posilić się, wypocząć.

Podobnie jak inni chłopci emigranci z Polski Cierniak mówił tylko po polsku; ale kiedy chodziło o zaspokojenie głodu za gotowy pieniądz, umiał on się jakoś porozumieć z każdą narodowością. I teraz oto podszedł do oberżysty niemca, będącego zarazem' pocztmistrzem w Gaspar, i zażądał szklaneczki wódą ki; potćm zjadł porcyę zimnego mięsa z cebulą i jeszcze raz napił się wódki.

Gdy się tak Sobek posilał w gospodzie, opodal, za innym stołem siedział jakiś człowiek, który pykał fajeczkę i małemi łykami popijał ze szklanki wódkę. Był to barczysty chłop, z ogorzałemi policzkami, gęsto obrosły włosiem na twarzy i na rękach. Wypłowieły kapelusze z wielkióm rondem nasunął na czoło, ubrany był w popielatą wełnianą koszulę ze stalowemi guzikami, w drelichowe spodnie i lekkie sandały z surowego rzemienia. Na poręczy drewnianej ławy wisiała obok niego moregowata ponsza, z wojłoku, torba myśliwska siatkowój roboty ze szpagatu i piękna dubeltówka.

Nieznajomy nie zwracał na nikogo uwagi, od czasu do czasu nakładał świeżego tytonia do fajki lub, dokończywszy czarki, nalewał sobie z butelki nową miarę wódki.

Znużony niedospaną nocą i przebytą podróżą, Cierniak, gdy sobie już podjadł, podparł głowę ręką i przez jakiś czas drzemał; wtedy milczący człowiek przyglądał mu się uważnie. Podrzemawszy tak z godzinę, Sobek wstał z za stołu, przeciągnął się, ziewnął, nareszcie zapłacił, co wypadło, i opuścił gospodę.

Schodził teraz z góry ku brzegowi, gdzie pozostawił był swe czółno, i gdy się obejrzał, spostrzegł, iż za nim podąża ten sam człowiek, który przed chwilą w gospodzie pykał fajeczkę i popijał wódkę.

A. Dygasiński. Na złamanie karku. 15

Dostawszy się do łódki, Cierniak zasiadł w niej i niebawem znowu żeglował po rzece. Posłyszał za sobą plusk wiosła i spostrzegł zdaleka łódź z żagiel-kiem, a w niej wyraźnie dawał się widzieć wypłowiały kapelusz o wielkiem rondzie. Łódź żaglowa wkrótce dopędziła czółenka Cierniaka.

Jakże się teraz zdziwił Sobek, gdy nieznajomy człowiek z gospody podpłynął do jego czółenka, a uśmiechając się, poufale przemówił po polsku:

— Ze wszystkiego widzę, żeśmy swojacy, ludzie jednego kraj ul

— A to pan, widzę, z Polski ? — zapytał Cierniak.

— Rozumie się! W Gaspar, w gospodzie odrazu poznałem, żeście polak, chociażście przez cały czas słówka nie pisnęli. Nasz brat inaczej pije wódkę, inaczej je, chodzi.

— Co pan mówi?

— Szczerze powiadam! Pięć lat bez mała nie widziałem, żeby się człowiek wykręcał na piętach przy picciu wódki, bo to tylko w Polsce ludzie robią. Kiedyście, najadłszy się w gospodzie, dostali czkawki, zaraz sobie powiedziałem: rodak, chłop polski!... Dokądże to płyniecie w tem korytku?

— Chciałbym do Ryjo, do miasta jakiego dostać się na służbę, znaleźć zarobek...

—• Wsiadajcie-no tymczasem do mojej łodzi, która jest większa, to się lepiej rozgadamy!

Z temi słowy zaraz wyciągnął rękę, pochwycił za brzeg czółenka, zbliżając je do swój łodzi, w której leżał jakiś pakunek w macie z sitowia, a obok tego pakunku — duży srokaty pies.

Gdy Cierniak opuszczał swoje czółno i usiłował sznurkiem przywiązać je do tyłu łodzi, pies warczał, rzucając nań straszliwe spojrzenia.

— Matto, cicho! To swój, nie wolno ruszać!— zawołał nieznajomy, grożąc psu palcem na nosie.

Płynęli teraz razem, rozgadując się coraz raźniej.

— Nazywam się Andrzej Szmidowicz! — rzekł właściciel łodzi. — Mój ojciec zwał się Szmidt, ale osiadł między polakami, wziął sobie polkę za żonę i zmienił nazwisko.

Z kolei przedstawił się też Cierniak swojemu towarzyszowi, wymieniając własne imię i nazwisko.

— No, mój Sebastyanie, mówmy sobie teraz po imieniu i na uczczenie znajomości wypijmy po odrobinie kaszasu!

Mówiąc to, Szmidowicz wziął stojącą w kącie łodzi butelkę, pociągnął parę łyków i podał ją Sobkowi.

Teraz Cierniak w krótkich słowach opowiedział historię emigracji chłopskiej z Rokitnicy i ubolewał nad zawodem, doznany w Brazylii. Gdy skończył swe opowiadanie, towarzysz jego uważał za właściwe powiedzieć także coś o sobie; pykając więc z fajeczki, tak mówił:

— Mój Sebastianie, z tego, coście mi tu opowiadali, uważam, że wy idziecie z Polski na emigrację zupełnie jakby przez żart, czy głupotę; ale ja emigrować musiałem. Może tam do was doszły słuchy, co się to w Prusach działo z naszymi, kiedy Bismarck kazał wypędzać wszystkich Polaków, nieobjętych przez pruskie księgi ludności. Łatwo to było przeprowadzić z takimi, o których wiadano z kąd pochodzą. Ale kiedy przyszła kolej na mnie, pogłupieli zupełnie niemieccy urzędnicy, zwłaszcza, kiedy im opowiedział, że mój ojciec był najprzód Niemcem Szmidem, a później zrobił się z tego Polak Szmidowicz. Najprzód przez cały rok mnie opisywali, zabazgrali siłą papieru, a potem mnie pan landrat wezwał do swej kancelaryi i powiedział, że mogę pozostać w Prusach, jeżeli nazwisko Szmidowicz zmienię na Szmidt, a w księgach zapiszę się jako Niemiec. Przystałem, śmiejąc się w duszy z landrata. Cóż z tego, kiedy mnie widać dobrze szpiegowali, bo w parę tygodni potem landrat dostał do rąk dowody, że się podpisywałem Szmidowicz, a nie Szmidt; oprócz tego doniesiono mu, że ja się wcale nie uważam za Niemca i ciągle mówię po polsku. Dostałem więc wyrok, aby się czempędzój z Prus wynosić. Ale w tym był sęk, dokąd się wynosić? Matka umarła wtedy, kiedy jeszcze mówić nie umiał, a ojciec mój, cieśla z fachu, nigdy mi nie powiedział, z kąd ze mną do Prus przyszedł. Jedni dowodzili, że z Galicyi, dru

dzy, że z Królestwa; tymczasem zaś władze nigdzie się nie chciały przyznać do poddanego Szmidowicza. Jednego razu dowiedziałem się w Toruniu, że od czasu do czasu różni ludzie emigrują do Brazylii; więc kiedy mi Niemcy bardzo dokuczali swoimi protokółami i wyrokami, zebrałem trochę pieniędzy ze sprzedaży tego co po ojcu zostało, i pojechałem do Brazylii.

Szmidowicz zawiesił na chwilę opowiadanie, znowu sięgnął po butelkę z wódką, napił się w ręce Sobką, nałożył tytoniu do fajki i opowiadał w dalszym ciągu.

— Ja tu w Brazylii próbowałem już różnego chleba: w Rio Janeiro przewoziłem ludzi na łodzi w porcie; zarobiłem sobie w ciągu roku około trzysta mil- rejsów i pojechałem na kolonię do świętej Katarzyny, gdzie straciłem wszystko co do grosza. Potem służyłem w Blumenau u jednego bogatego Niemca za parobka do koni; jednego razu poswarzyliśmy się ciężko i Niemiec nazwał mnie polską świnia; za to grzmotnąłem go w kark uczciwie. Przez dwa tygodnie pakowałem worki i beczki na okręt parowy, aż mię raz komendant spytał, czybym nie przyjął służby na jego okręcie. Trzy miesiące z okładem, prawie codziennie, pływałem po tej oto rzece z Blumenau do Itajahy i z powrotem. Raz płynął z nami osobliwy pasażer, nawpół indyanin, nawpół brazyli- nin; kiedym się wdał z nim w rozmowę, opowiadał

mi, że po lasach żyją ludzie, zwani cabuclos, którzy się włóczą z miejsca na miejsce, a dokąd przyjdą, tam postawią szałas, nasadzą czarną fasolę, kukurydzy i gdy to zbiorą, idą dalej. Nie brakuje im mięsa, bo w lasach pełno zwierzyny, a każdy cabuclo jest myśliwym. Gdy przybędą nad rzekę, to znowu łowią ryby. „Wy tu ciężko pracujecie—mówił ten człowiek — my, cabuclos, nie lubimy pracować, nie lubimy nikogo słuchać; w naszych lasach jesteśmy wolni jak ptaki”. Trafiło mi jakoś do przekonania to wszystko, com słyszał, podziękowałem więc za służbę na okręcie i z owym cabuclo powędrowałem w lasy. Blisko już dwa lata żyję w szczerych borach i z tym mi teraz dobrze; przylgnąłem zupełnie do takiego życia. O nic się nie troszczę, bylebym miał butelkę kaszasa i tytuń, a na to mi zawsze wystarcza, bo dostaję duże pieniądze za skóry zwierząt i ptaków, które z San-Francisco, Desterro, Santos idą dalej, podobno do Francji, Anglii, Niemiec. I teraz oto w tej masie z rogoży mam towaru więcej, niż za trzysta milrejsów, a jeszcze zapoluję w Serra das Tijacas, potem — u źródeł rzeki Tubarao w Serra Geral przedostanę się do stanu Rio Grandę do Sul i wszystko spieniężę dopiero w Porto Allegro. Może w te strony już nawet nie wrócę, lecz się udam do Urugwaju, a potem w pampasy Argentyny. Towarzysze moi, cabuclos, opowiadali mi o tych krajach dużo ciekawych rzeczy.

Jeżeli mi się poszczęści, zrobię pieniądze, to kto wie, czy nie wrócę między swoich. Czasem
^człowiekowi czegoś brakuje, a mało dyabli nie biorąAle nie myślę wracać z gołymi rękoma.
Pieniądz grunt! Bogatemu i sam landrat nic nie zrobi.

«

ROZDZIAŁ XXVI. Przygotowania do drogi.

Szmidowicz opowiadał jeszcze o tem, jak pobierał naukę w szkole ludowej, jak następnie uczył się ślusarstwa, zegarmistrzostwa, aż nareszcie poszedł na naukę do rusznikarza i w Toruniu wyzwolił się jako czeladnik.

— Ja bo nic nie umiem, ciemnym jak tabaka w rogu — zawołał Cierniak z pewnym żalem w głosie. — W młodości służywałem za fornala przy dworze, potem odsłużyłem swoje lata w wojsku, wróciłem do wsi i tak się przez czas jakiś wałęsałem, aż dopióro przyszło do tej emigracyi bryzoliańskiej... Bóg strzegł, żem się nie ożenił.

Na rozmowie czas schodził im szybko i przed samym wieczorem przy płynęli do miasta Itajahy, także zwanego Sacramento Itajahy, gdzie postanowili zanoć w jakiejś gospodzie.

Raniutko, skoro świt, Szmidowicz był już na nogach.

— Przyjacielu Sobku! — zawołał. — Dzień jak wół, wstawać trzeba!

Cierniak przetarł oczy, popatrzył na towarzysza, ziewnął i rzekł:

— Co ja tu zrobię ze sobą? Gdzie i jak do czego się przyczepić? Możebyście wy, Jędrzeju, dali mi jaką radę?...

— Ameryka szeroka: nie tu, to tam i basta!

— Dobrze wam mówić, a mnie się we łbie kołuje.

— Pogadamy, pogadamy! Ja teraz idę na port, sprzedam swoją łódkę; za małe pieniądze kupię jakiego starego szłapaka, byleby uniósł ładunek ze skórami, i puszczam się w podróż dalszą między rzekami Itajahy Mirim i Rio Cambriu. Chcesz iść, to cię zabiorę ze sobą.

— A dojdziemy my tamtędy do jakiego miasta? Bo mnie się już cni w tych borach.

— Miasto ci pachnie? Patrzcie, jaki delikatek! A cóż za smaki wmieście? Tam .dobrze tylko ludziom, co mają dużo rejsów, W lasach i biedny jest panem, jakim jeszcze panem! Zobaczysz to, tylko się puść ze mną; dojdziemy do kolonii Pedro, zwrócimy się ku błotom rzeki Rio das Tijucas, będziemy polowali po obu jej brzegach... Tapiry nie tapiry— wszystko tam będzie! Namyśl się, przyjacielu, pa-

Ir'

miętaj, że to lepsze, aniżeli tułaczka po koloniach, ^ szukanie marnego zarobku po miastach!

Cierniak drapał się jeszcze w głowę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, gdy Andrzej opuścił gospodę. .

Widząc się teraz w izbie bez świadka, Sobek wy-fl dobył z zanadru szmatę, w której się znajdował]® pieniądze odebrane Dąbkowój, i zaczął obliczać swójfl majątek. Miał w złocie pięćdziesiąt sztuk dwudzią-« stomarkowych, a oprócz tego z dziesięć sztuk sre-9 brnych po pięć marek.

Brzęk liczonych pieniędzy zwrócił uwagę psa, żącego na straży pakunku ze skórami. Matto przyJM glądał się uważnie Cierniakowi, który odłożył na jł bok sztuki srebrne i parę złotych, ażeby sobie to fi zmienić w Itajahy na monetę brazylijską; resztę z^jm winął w szmatę i schował.

Zadowolony chłop powstał nareszcie z ławy, ma-fl jąc zamiar wyjść na miasto; ale kiedy szedł ku 8 drzwiom, naraz pies podniósł się z legowiska, naje-9 żył sierść na grzbiecie, wyszczerzył białe kły, i spo-9 glądając strasznym wzrokiem na Sobka zaszedł mu » od drzwi drogę.

— A pójdiesz ty na miejsce, psia duszo!— krzy-® knął Cierniak tupnąwszy nogą. I

W odpowiedzi na to Matto szczeknął przeraźliwie ■ i zaczął warczeć. Sobek nie miał widać ochoty mie^H rzyć się z potężnym psem, bo spokojnie powrócił dó9 kąta, usiadł na ławie i oczekiwał powrotu towarzy^H

sza. Wyczekiwanie to trwało dosyć długo, więc Cierniak raz jeszcze usiłował wyjść za drzwi, atoli Matto natarł nań z nadzwyczajną wściekłością i znowu go zmusił do odwrotu.

— Przy takim ścierwie nie pożywiłby się złodziej—mruczał Sobek, zniecierpliwiony długim wyczekiwaniem i uporem psa.

Biła już dziesiąta godzina na zegarach, kiedy wreszcie przybył Szmidowicz. Jak tylko wszedł do izby, spojrzął najprzód na Cierniaka skwaszonego, potem na psa i rzekł:

— O, do dyabła! widzę, żeście się tu o mały włos nie poczubili. Na śmierć zapomniałem, że Motto może ci napędzić porządnego strachu... Z nim niema żartów! Muszę was bliżej poznać, ażeby na drugi raz nie przyszło do jakich awantur.

Powiedziawszy to, Andrzej wyciągnął rękę i zawołał:

— Matto, durniu jakiś, niepotrzebnie skrzywdziłeś przyjaciela! Powąchaj go zaraz! To nie złodziej, to przyjaciel, rozumiesz? pamiętaj go kochać!... Matto, przyjacielowi nie wolno krzywdy zrobić!

Leżąc obok pakunku, z głową położoną na wy ■ ciągniętych przed siebie przednich łapach, pies zdawał się uważnie wysłuchiwać nauk swojego pana: powstał, jakby zawstydzony, i z ogonem spuszczone na dół zbliżył się do Cierniaka, ob wachał jego nogi, ręce, a potem wrócił na dawne stanowisko.

— Moi ludzie, jaka to psiakośe mądra! — wy> krzyknął Sobek — toć on ludzką mowę rozumia lepiej od człowieka. — Szmidowicz zaczął terazij wyliczać różne przymioty psa i byłby opowiadania długo jeszcze przeciągał, gdyby nie to, iż odgło® zegara przypomniał mu godzinę jedenastą.

— No, jakże ? czy masz ochotę iść ze mną w dro| gę ? — zapytał Andrzej, porywając się z ławy.

— Skoro powiecie, że tam żyć dobrze, to pójdę. l

— Przecieżbym cię na złe nie namawiał; ale wi| dzisz, mój przyjacielu, w podróży takićj przydałaby ci się jakabądź strzelbina, a nie wiem, czy ją w Itai jahy będziemy mogli kupić. Służyłeś w wojsku, to- się musisz umiść obchodzić z bronią palną.

— Jużci wystrzelić potrafię, jeno nie konieczna w cel...

Dwaj towarzysze wyszli teraz z gospodjS i Szmidowicz zaprowadził Sobka najprzód stajni, chcąc mu pokazać konia, którego rano kupił w mieście.

Chuda, bułana szkapa stała przywiązana dra żłobu, z łbem spuszczoneym, z przymrużonou oczyma, a wystrzępionym ogonem flegmatycznie opędzała się przed muchami, których ją gromadfl przysiadły.

— Oj, habet okrutny! — zawoła! Cierniak, uderzając konia nogą pod kolano. — Toć to bydle' bez nóg.

— A co to szkodzi? Biedak był w ciężkiej pracy i źle go żywiono. U mnie będzie daleko lepiej, nie bardzo się zdźwiga, codziennie wypocznie, podje sobie trawy i za parę miesięcy jeszcze na nim zarobię.

Obejrzawszy konia, poszli potem w miasto, ażeby kupić strzelbę. Wstępowali do różnych sklepów, szynków, a wszędzie Szmidowicz zapytywał, czy kto w Itajahy nie ma broni palnej do zbycia. Powiedziano im nareszcie, że miejscowy aptekarz jeszcze w zeszłym roku wywieszał na drzwiach swego sklepu ogłoszenie o starój strzelbie, którą miał na sprzedaż. Poszli więc według danych wskazówek.

Upał był nadzwyczajny i na ulicy widać było tylko czarne sępy, przechadzające się z opuszczonemi skrzydłami.

— Dzień dobry!— rzekł Szmidowicz, wchodząc do apteki. Aptekarz bosy, w koszuli brudnej tylko i lekkich pantalionach, które mu poniżej brzucha opadały, siedział, drżąc, na wiązce jakichś ziół lekarskich. Na widok wchodzących powstał leniwie i zapytał, jakichby leków potrzebowali.

— To, czego poszukujemy, jest rzeczywiście do lekarstwa podobne, ponieważ tak samo, jak wasze leki, pozbawia życia — rzekł z lekkim uśmiechem na ustach Szmidowicz.

Pan aptekarz wytrzeszczył na swych gości oczy i zdawał się wzrokiem zapytywać:

p

— Czegóż to chcecie?

Już Andrzej otworzył usta, chcąc wyraźnie sformułować swoje żądanie, kiedy aptekarz w te słowa przemówił:

— Powinienbyś senhor wiedzieć, iż rząd rzeczypospolitej w najnowszych czasach zwrócił się bardzo nieprzychylnie przeciwko aptekarzom, grożąc surowymi karami za sprzedawanie trucizn. Zawsze mówiłem, że Rzeczpospolita dyabła warta, dąży do pokonania handlu, tamuje swobodę obywateli. Chcieliście Rzeczypospolitej, macie ją! Dawniej za pięćset rejsów mogłem każdemu dostarczyć jak najczystszej trucizny, pysznej kurary; rozumiecie to, panie? — Nowie? Za pięćset rejsów pięć żyć, czyli jedno życie za sto rejsów... A teraz, wskutek zagrożenia aptekami surowymi karami, taką samą dawkę muszę sprzedawać za dziesięć milrejsów! Ha, trudno, ja się narażam. Należy to ocenić, uznać: jeżeli kto za dziesięć milrejsów kupi u mnie trucizny i zniszczy jedno tylko życie, to rząd Rzeczypospolitej wsadzi mnie do więzienia... Ja przecież muszę drożej cenić własne życie, aniżeli cudze. Pytanie, ile mam cenić własne życie?! Dziesięć milrejsów, nadzwyczajnie tanio!... Chcecie kurary za dziesięć milrejsów?...

— Hola, senhor aptekarzu! — zawołał Szmida. — Nie przypisuj nam pan złośliwych zamiarów tępienia bliźnich za pomocą trucizny. Nie myślimy truć nikogo, ani narażać pana na ciężką odpowiedź.

działaość. Powiedziano nam, że tu jest stara strzelba do sprzedania, więc chcemy ją zobaczyć, a potem może i kupić.

— Moja stara strzelba jest lepsza od drugiej nowój! — odparł aptekarz.—Gdybyś ją pan znał, nie mówiłbyś o niej z lekceważeniem „stara”, lecz wyrażałbyś się z uszanowaniem „starożytna”.

— Być może; znam się trochę na strzelbach i na strzelaniu, więc niechno ją pan pokaże.

Aptekarz zniknął gdzieś w głębi mieszkania, a gdy po jakimś czasie wrócił, niósł w ręku pojedynkę o grubej lufie, oprawionój w kawałek białego drzewa, zaledwie nieco ostruganego.

— Z tą strzelbą — mówił aptekarz, podając pojedynkę Szmidowiczowi do obejrzenia — jeden z moich powinowatych walczył w boju przeciwko tyranowi Paragwayu.

— Nie jest to żadne świadectwo dla strzelby — odpowie Szmidowicz. — W owej wojnie, o którój senhor mówisz, ludzie, chcę powiedzieć brazylianie, spozrzebowali bardzo mało prochu i ołowiu, a głównie posługiwali się nogami i to zwróconemi piętami ku nieprzyjacielowi. Znałem pewnego wojaka, który w tój wojnie zasłużył sobie na wielką sławę, ponieważ z pod Laguny, nie oglądając się za siebie, przypadł do Rio de Janeiro; kobiety ubrały go w wieniec laurowy, a monarchia obdarzyła krzyżem zasługi. Ale co tara, powiedz pan lepićj, ile cenisz grat taki,

który ciężarem swoim utrudniał brazylianom zwy- ciężtwo, to jest odwrót?

— Każda cena, jaką podam, będzie mniejsza od rzeczywistości!.. Wojna z tyranem Paragwayu jest dla Brazylii świętą. Senhor jesteś zapewne emigrant, a emigranci odznaczają się lekceważeniem ojczyzny i jej pamiątek.

Zaczęli się zawzięcie targować, aż w końcu aptekarz zgodził się na sprzedanie rusznicy za półpięta milrejsa.

— Przyjacielu Sobku — rzekł Szmidowicz go' polsku — zapłać temu trucicielowi i szachrajowi 4,500 rejsów, to jest prawie półpięta talara za strzelbę, którą dla ciebie wytargowałem.

Cierniak wydobyl z kieszeni złote i srebrne sztuki monety niemieckiej, ale nie wiedział, co to za kurs; mićć może.

— Schowaj te pieniądze! — zawołał Szmidowicz. — Aptekarz ten jest dobre ziółko i orznąłby cię porządnie na kursie; tymczasem ja cię zastąpię,, zapłacę, a później się policzymy, gdy będzie można?; zmienić rzetelnie złoto i srebro niemieckie.

Jeszcze kilka godzin zeszło na innych przygotowaniach do podróży; kupili w Itajahy amunicji, tytoniu, kawy, zapalek, soli, mąki z manioku, czarnej fasoli, chleba i wódki, a oprócz tego garnek i tygiel.

Było już dobrze po południu, słońce paliło nie tak dotkliwie, kiedy Andrzej i Sobek wyruszyli w drogę:-

Na czele postępował Matto, któremu do obroży przy. twierdził Szmidowicz na długim sznurku cugle od uzdy konia, tak, że pies prowadził bułanka, objuczonego pakunkami, na tyle szli, gwarząc i paląc tytoń, Szmidowicz z Cierniakiem.

Po godzinnej moze podróży szeroką drogą, An- drzój zawołał:

— Matto, na lewo marsz! I pies pociągnął za sobą konia na wązką ścieżynę, która się wiała poprzez gęste zarośla.

A. Dygasiński. Na złamanie karku.

ROZDZIAŁ XXVH.

Łowy w podróży.

Droga, którą teraz przebywali podróżni nasi, wio-? dla w górę niewielkiej rzeki Rio da Fazenda, wpadającej do Oceanu niedaleko od swych źródeł.

Pogwizdywanie, wrzaski, śpiewy ptaków przeroara maitych zlewały się tu w jeden nadzwyczajny gwar, który jednak uciszał się cokolwiek od czasu do czasu; ale za to nigdy nie ustawała monotonna muzyka piewików, rozbrzmiewająca po całej Brazylii, a sprawiająca wrażenie, jakby pieśni mnogich skowronków, rozśpiewanych gdzieś bardzo wysoko pod obłokami.

Idą oni tak, aż tu naraz ponad ich głowami daje się słyszeć urywane skrzeczenie takie, jakie u nas wydaje sroka, gdy usiądzie na płocie, tylko nieco chrapliwsze. Szmidowicz czćmpředćj zdjął z ramienia strzelbę, zmierzył się spokojnie i raz po raz

z obu luf wypalił. Pomiedzy krzewy spadły z powietrza dwa ptaki, oba barwy ultramarynowej i zielonćj.

—Chwała Bogu, będzie dziś na wieczere smaczny rosół!

— A co to są za ptaki ? — pyta Cierniak.

—Papugi, które się nazywają maitakku. Mówię ci, rosół z nich pyszności, kiej rosół z kury!

Jeszcze z pół godziny było do zmierzchu, gdy wyszli na dosyć otwarte miejsce; tu i owdzie porastała bardzo gęsta trawa, widać było samotne drzewo, krzew rozłożysty, pagórek z palmitą.

—Założymy sobie tutaj obóz, wypoczniemy i przenocujemy — rzekł Szmidowicz, przystając, a okiem mierząc okolice. — Dopiero to bułanek będzie uszczęśliwiony, bo co tutaj za królewska dla niego pasza!

Ledwie się zatrzymał, już koń jął chciwie chrupać trawę. Andrzej natychmiast zdjął z niego pakunki i puścił zwierzę samopas. Matto też, utrudzony skwarem i podróżą, z wywieszonym językiem rzucił się na ziemię, aby spocząć.

Trzeba było teraz nazbierać gałęzi, aby mieć z czego rozniecić ognisko, i czynność ta w podziale pracy przypadła na Sobka, ponieważ Andrzej zamierzał zdjąć skóry z dwóch zastrzelonych papug. Nie rozpoczęli atoli jeszcze swych zajęć, gdy posłyszeli dziwne jakieś krakanie w odległości może trzydziestu kroków.

— No, przyjacielu Sobestywanie, zobaczmy, jak też ty strzelasz! — zawołał Andrzej. — Blisko nas są tu gdzieś sępy, zwane traso; syte żeru, zapadły pe- j wnie na nocleg, więc się dadzą łatwo podejść, a ty będziesz mógł wypróbować swoją aptekarską syren-j gę za półpięta milrejsa.

Z temi słowy Szmidowicz odrzucił na bok nóż. I którym prął skórę zabitej papugi, zawiesił oba ptaki na gałęzi drzewa i wnet obaj podróżni ze strzelbami! w ręku posuwali się ostrożnie w kierunku posłyszanej, nego krakania.

W kilka minut potem, Andrzej trącił Cierniaka łokciem, ukazując mu na niewielkim pagórku spójną nie siedzącego ptaka barwy ciemno-brunatnej z wierzchu, a żółtawo-białej od spodu. Ten ptak właśnie przechylił w tył głowę i, położywszy ją na grzbiecie, jak to czynią bociany podczas klekotania, krakał „traa”, potem opuścił znowu głowę ku dołowi i darł się „roo”.

— Pal! — szepnął Szmidowicz.

Cierniak strzelił i chybił; ale Andrzej w tejże chwili poprawił ze swój strzelby tak, iż sępy nie zdorjłał jeszcze wzlecić, a już się tarzał na ziemi w miejscach konania.

Huk podwójnego wystrzału spłoszył sępy w różnych punktach; porywały się, wzlatując do góry.

— A toć on bestyjnik bez mała będzie tyli, co gęś! — zawołał Sobek, podnosząc z ziemi zabitego ptaka.

— Oj, ty partaczu, strzelasz, widzę, jak brązy - lianin! — rzecze Szmidowicz. — Kto w wojsku służył, ten może spudłować do jaskółki, ale nie do tego ptaka, co jak wół stoi na celu i strzału czeka.

Zmierzchało się już, więc rozniecili ognisko, przy którego blasku Andrzej obdarł ze skóry papugi i świeżo zabitego traro, a zwracając się do Cierniaka, rzekł:

— Mój bratku, kiedy źle strzelasz, bądź-że za to choć kucharzem!

Sobek przyniósł wody i wnet w garnku warzył się przy ogniu rosół z papug, czysto brazylijski przysmak.

Kiedy już spożyli wieczerzę, w której Matto także brał udział, Szmidowicz wydobyl butelkę kaszasu i raczył nim siebie, jako też towarzysza. Zakurzyli fajeczki, legli na trawie i półgłosem prowadzili rozmowę.

Wieczór był bardzo pogodny, liczne ćmy latały dookoła ogniska, w którym grób swój znajdowały.

Wtem Szmidowicz poczuł, że mu się coś z góry posypało na twarz, na głowę; zgarnął to ręką, obejrzał przy ogniu, zerwał się na nogi, pochwycił strzelbę i mówi:

— Aha, mam cię nareszcie, bratku, dawno już czatuję na twoją skórę!

— Gdzież tu jest co takiego? — pyta zdziwiony Sobek.

Andrzej wyciągnął do góry rękę, jak gdyby gwiazdy ukazywał, i odpowiada:

— Ibijau, ptak, zwany także jaskółką nocną, lata teraz oto tam w górze i łowi ćmy, z których resztki skrzydeł spadły mi właśnie na głowę... Niech ja go tylko wezmę na oko, a będzie trup!... Cicho, sza.

Mówiąc to, Szmidowicz palcem dał towarzyszowi znak milczenia, sam zaś przycupnął pod krzaczkiem z flintą, przygotowaną do strzału.

W noc księżycową piękne jest niebo brazyliańskie; wydaje się człowiekowi, że gdyby wtargnął w te szlaki, toby go jasność światła zalała. Czasem w powietrzu zarysuje się jakiś punkt ciemny, który szybko z przed oka znika: ćma olbrzymia, lub ptak nocny.

Rozległ się huk wystrzału i na ziemię, tuż obok ogniska, spadł ptak, prawie tak wielki jak gołąb, ubarwiony biało, żółto, szaro, z brunatnymi prążkami i takimiz trójkątnymi plamkami.

Zaraz go podniósł Andrzej, mówiąc:

— Skóra jego warta więcej, aniżeli skóry wszystkich tych ptaków, którem dziś zastrzelił. O, ibijau bardzo trudno zobaczyć, a jeszcze trudniej zastrzelić!

I z łupu swego celny strzelec ściągnął zaraz skórę, a mięso psu rzucił; ale Matto powąchał tylko ptaka.

Wypili jeszcze nieco kaszasu, przez jakiś czas kurzyli fajki, gwarzyli jakby od niechcienia, wreszcie sen ich zmorzył i zasnęli.

Jeszcze nie weszło słońce, gdy się zbudzili, i Sobek w towarzystwie Matto poszedł szukać bułanka, który o wiorstę drogi od ogniska zajadał się dotychczas trawą. Pies natychmiast odszukał konia i napędził go do miejsca noclegu.

Z oddalenia dochodziły do ich uszu jakieś smutne, melancholijne wołania: „hutu, butu, hutu”.

Cierniak zapytał, co za stworzenie wydaje ten głos osobliwy.

— Jest to motmot, ptak średniej wielkości, dosyć pospolity w Brazylii, oliwkowo-zielony na skrzydłach

ludach, a różowy na piersiach i brzuchu.

Jaskrawo-czerwona tarcza słońca przeświecała z za borów, kiedy nasi podróżni ruszyli w dalszą podróż.

Minawszy kolonię Trompowskiego, a nie dochodząc kolonii Principe d. Pedro, jakoś około południa znaleźli się u podnóża wzgórzy, gdzie są źródła Rio Combrin, Rio das aguas claras i innych rzek jeszcze.

W tej drodze Sobek kilka razy strzelał i chybiał do różnych ptaków, aż nareszcie udało mu się zabić ptaka ben-te-vi (dobrze cię widzę), zwanego tyranem Brazylii, coś w rodzaju naszego srokosza nadziewa- f? Os^ft cza, lecz odmiennie ubarwionego.

Spotykali wiele kolibrów, czyli bejaflor'ów, które z nadzwyczajną szybkością latały po nad kwiatami. W tym locie można je było wziąć za owady raczej, niż za ptaki. Ptaszki owe zdawały się niekiedy mocno interesować jakimś przedmiotem na roślinie

i przypatrywały się, wisząc na swych szybko drgają-' cych skrzydełkach; wtedy to połyskiwały prześlicz-- nemi barwami, niby klejnociki, wysadzone szmaragdami, rabinami, szafirami, opalami, ametystami^ granatami.

— Kolibra nie jest w stanie złowić żaden ptak drapieżny — rzecze Szmidowicz — a tylko wyborowym strzelec może go trapem położyć. Zaraz ci pokażę,' przyjaciela, jak się to strzela w naszym pułku.

I Andrzej nabił strzelbę bardzo lekkim ładunkiem prochu, a potem wsypał do lufy odrobinę jakiegoś, miału. Właśnie około źródła czystego, nad pięknym storczykiem zawisł koliber. W tójże chwili zgładził go ze świata Szmidowicz. Był to tak zwany żałobnik, czarno-aksamitny, mający pióra na skrzydełkach szpizowo-zielone, a lotki świetnie fioletowe, coś prześlicznego.

Zdążali pod górę, idąc teraz ciemnym gęstym borem, po ścieżkach, wydeptanych przez dzikie zwierzęta. Tutaj posłyszeli jakby warczenie kołowrotka, głos jakiś gruby, który zdawał się pochodzić od zwierzęcia znacznej wielkości.

Obojętny przedtém na głosy takie Sobek, mimo woli przystanął i nasłuchiwał.

— Jest to mono, co po polsku znaczy mnich, ksiądz z klasztoru—rzecze Andrzej.— Ptaszek mały, bardzo miły, czarnój i białój barwy; kiedy nadmie swój gardziołek, wydaje głos taki gruby, możnaby

ig§

myśleć, że to jest zwierzę wielkości mojego Matto, a to maleństwo. Nie zrobię mu dziś krzywdy, gdyż mam w pakunku dosyć takich mniszych skórek.

Weszli w urwisty, wilgotny wąwóz, zavalony bryłami skał; tutaj ludzie i zwierzęta ugasili pragnienie, a ponieważ woda była wyborna, więc Sobek napełnił nią próżne butelki i garnek.

Jeszcze dobre pół godziny pięli się potem pod górę; aż wreszcie stanęli na wierzchołku. Co za wspaniały krajobraz S

Od południa dolina rzeki das Tijucas, pełna gąszczy zielonych krzewin, gdzieniegdzie połyskujących różnobarwnym kwieciami, a wśród tego gąszczy miejscami przyświeca urocza, błękitna wstęga strumienia.

Na północy znowu wiała się węzłem rzeka Itajahy Mirim z swymi mnogimi koloniami po brzegach.

Z zachodu dawał się widzieć gościniec, wiodący od miasta S. Joao Baptista das Tijucas, ku kolonii Principe d. Pedro, a po za gościńcem rysowały się na niebie szare grzbiety Serra das Tijucas, strojne welonami błękitna wo-białej mgły.

A gdzieś daleko na wschodzie wielka płaszczyna Atlantyku.

— Tutaj trzeba nam gruntownie wypocząć, posilić się, przeczekać czas największego skwaru — powiedział Szmidowicz, zdejmując czempredzój pakunki z nadzwyczajnie spoconego bułanka.

Cierniak bez zwłoki czasu naciął, nazbierał drzewa, rozpałił ogień i przystawił do niego garnek z czarną fasolą.

Górskie powietrze było tutaj świeże, chłodne, przeto podróżni prędko wytchnęli ze znużenia.

Kiedy już zasiedli do spożycia skromnej uczty, składającej się z miski zupy czarnój fasoli, zaprawionej manioką, chleba, czarnój kawy i kaszasa, naraz posłyszeli w lesie szczególny gatunek koncertu. Oto odezwało się najprzód jakby bardzo dźwięczne uderzenie młota w kowadło, a na to hasło odpowiedziało* kilkanaście takichże samych uderzeń, które już potem nieustannie sobie wtórowały w króciuchnych przerwach i ciągle tylko słychać było: „din-din, din- din”

— Toć rychtyk tak, jakby kowale walili miotami w kuźni — odezwał się Sobek.

— Bo też to są kowale! — odrzekł Andrzej. — Rzeczywiście tak się nazywają ptaki wielkości gołę-i bia, bielutkie jak śnieg, a na podgardlu zielonawe^ trzeba wiedzieć, że samce mają na dziobie narostek taki, jak u indyków. Szelmy jedne, nie pozwalają mi zjeść obiadu, bo przecie trudno się oprzóc pokusie i nie sprzątać z tego świata takiego kowala ..

Rzekłszy to, Szmidowicz powstał i ze strzelbą, w ręku zapuścił się do lasu.

Na odgłos strzału ucichła muzyka kowali, a An-

drzej powrócił wkrótce do miski fasoli, przynosząc- ze sobą prześliczny okaz kowala płci męzltiej.

Po skończonym obiedzie, Szmidowicz otulił się w ponszę i wnet zasnął; naśladował go w tem Cierniak, złożywszy swą głowę na pakunku ze skórami.

Spali tak przez parę godzin i dopiero około piątćj poczęli z góry schodzić.

Andrzćj, który swoje bystre oczy badawczo zwracał na wszystkie strony, przystanął nagle i przyczajony w milczeniu począł się skradać. Niedługo dal czekać na siebie, wystrzelił i wnet potćm powrócił do towarzysza z łupem. Tym razem zastrzelił przedziwnie pięknego ptaka, żłoto-zielonego z wierzchu i na piersiach.

— Sztuka to rzadka — rzekł—choćaż do zabicia łatwa, nazywa się jacamar, albo także pszczołojad, że zaś jest bardzo piękny i do kolibra podobny, więc go nazywają również wielkim kolibrem. O, skończony próżniak z niego! Całemi godzinami wysiaduje na jedncj gałazce, czekając, aż jaki owad podleci.

Mniej szczęśliwie strzelił Andrzćj do kukułki bra- zyliañskiej, ptaka cokolwiek większego od przepiórki, a o długim ogonie i czerwono-brunatnem pierzu. Po strzale mignęła się tylko między drzewami i zniknęła.

Dopiero, kiedy już zeszli na dół, gdzie są źródła

rzeki Rio do Moura, napotkali szereg wędrownych mrówek, co zwróciło baczną uwagę Szmidowicza.

— Założyłbym się — mówił — że tu gdzieś będzie i ogniowe oczko, ptak czarny, białoznaczony na skrzydłach, a mający oko czerwone, jak ogień...,⁴

Jeszcze miał coś dalej o tym ptaku opowiadać, gdy z tyłu za nimi dał się słyszeć tentent koni. Odwrócili głowy i spostrzegli dwóch jeźdźców, którzy z dobytymi szablami pędzili ku nim cwałem.

— Żandarmy! — zawołał Andrzej. — Widać, że w tej puszczy są oni na tropach jakiegoś złoczyńcy...

Cierniak zbladł nagle i zrobił ruch taki, jakby się chciał w las rzucić; opamiętał się jednak, przybrał; spokojny wyraz twarzy, chociaż mu serce waliło, w piersiach, jak młotem.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Bunt chłopski. — Trup w lesie.

Oboje Matusowie i Dąbkowa, smutni po doznanej w drodze przykrój przygodzie, powrócili z dziećmi samym już wieczorem do kolonii polskiej nad Itapava.

Mikołajowa nie umiała cierpliwie i ze spokojem znosić swego losu; jak tylko się znalazła na kolonii, wpadła zaraz w szal żalu, który się niekiedy zamieniał w wybuchy wściekłości: płakała, wyrzekała, przeklinała męża, agentów, Brazylię, urzędników. Ludzie postawali, przysłuchiwali się wyrzekaniom, przekleństwom, i jedni współczuli z kobietą, drudzy sobie myśleli, że im jest gorzćj, a nic nie mówią.

Już pod barakami rozpalano ogniska i zaczęto warzyć wieczerzę, kiedy tam zjawił się właśnie dozorca, jego pomocnik i urzędowy tłómacz; chodziło o porozumienie się z chłopami w sprawie objęcia

przez nich kolonij, które co tylko poodmierzał geo-1 metra rządowy.

Emigranci, niezadowoleni ze wszystkiego, co i znaleźli w Brazylii, poczęli się niebawem uskarżać i stawiać przerozmaate żądania, które dozorca usiłował jak bądź zbywać.

Wystąpiła z kolei rzeczy i Dąbkowa, domagając się ostro zapomogi dla siebie, oraz dla swych dzieci.. Dozorca ani myślał o uwzględnieniu takiego żądania; wtedy rozżalona kobieta wpadła w gniew i poczęła miotać obelgi na rząd brazylijski, nazywając urzędników „złodziejami, cyganami, żydami, judaszami, szachrajami”. Tłómacz przełożył to wszystko! na język urzędowy; dozorca zaś wysłuchał uważnie, roześmiał się, machnął ręką.

— To ty, hyclu jeden, jeszcze się będziesz natrzasał z mojego nieszczęścia! — wrzasnęła Mikołajowa, porywając polano drzewa, z którym się rzuciła na dozorcę.

Atoli pomocnik dozorczy uprzedził cios, zagrażający pryncypałowi, popchnął babę z boku tak, iż upadła, wrzeszcząc na całe gardło.

Było to hasłem dla innych emigrantów, dosyć już podjurzonych, lecz zachowujących się jeszcze dotychczas biernie.

Trzeba wiedzieć, że dozorcę i jego sztab słusznie czy niesłusznie oskarżali chłopcy o kradzież fundu-

szów, które rząd wyznaczał na zapomogę dla kolonistów z Polski.

Kiedy więc Dąbkowa doznała czynnej zniewagi, zaraz jaki-taki chwycił za kij, kamień, i spora gromada, złożona z chłopów i bab, rzuciła się na przedstawicieli władzy.

Ci ostatni zaczęli się zwolna cofać ku rządowym barakom na górze. Atoli chłopci nacierali coraz śmielej; warknęły w powietrzu kamienie i urzędowego tłumacza zraniono w głowę. Widząc to, dozorca dobył rewolweru i strzelił do gromady. Jakiegoś emigranta kula zraniła w rękę.

Rozległ się krzyk: „naszych zabijają!”

Teraz już wszystko, co było w barakach, wyległo na pole bitwy i, jak lawa, ze straszliwym krzykiem rzucili się na nieprzyjaciela.

Dozorca i jego towarzysze całym pędem puścili się ku barakom na górze, mniemając, iż tam, przy pomocy broni palnej i strasznych psów, zdołają powstrzymać napad.

Gdzie tam ! Psy, widząc, że ich panowie zmykają w nadzwyczajnym strachu, wzięły ogony pod siebie i drapnęły do lasu.

Nie było już rady: dozorca, jego pomocnik, tłumacz, nie zatrzymali się nawet w rządowych barakach. Jako uciekinierzy, połączyli się z nimi jeszcze kucharz i posługacz.

Chłopi więc bez najmniejszej przeszkody wtar-

gnęli do rządowych baraków i zrabowali tam wszelkie zapasy żywności, zabrali kilka butelek kaszasu, poczem tryumfalnie powrócili na dół, ażeby sobie wyprawić dawno niebywałą ucztę.

Tymczasem pan dozorca gdzieś na niemieckiej kolonii dopadł konia i na całą noc popędził cwałem do Blumenau, ażeby zawiadomić szefa kolonizacji o wybuchłym buncie.

Szef, przerażony opowiadaniem, w którym do- zorca nie szczędził barw jak najstraszniejszych, zawezwał natychmiast władze policyjne i wojskowe, żądając bezzwłocznego dostarczenia sobie pomocy zbrojnej.

Atoli Blumenau rozporządzało tak małą siłą zbrojną, iż postanowiono pożyczyć jej sobie w Itajahy.

Telegraf był teraz, bardzo czynny. Ostatecznie władze Itajahy odpowiedziały, że mają siłę zbrojną dla własnego użytku i obcym municypiom wypożyczać jej nie mogą, zwłaszcza, że tam także na nowych koloniach pełno jest żywiołów niebezpiecznych, zbieraniny z Włoch, Hiszpanii i innych krajów Europy.

Jednocześnie szef z Blumenau telegraficznie zawiadomił delegata kolonizacji w stolicy stanu Sw. Katarzyny o tćm, co zaszło, i domagał się, aby rnu jak najprędzej przysłano morzem część miejscowej załogi wojskowej, z jakim mężnym oficerem na czele, a to w celu uśmierzenia chłopskiego buntu.

Rano, około godziny dziewiątej, wyruszyły z Blumenu dwa zastępy zbrojne do kolonii nad Itapava. przodem pojechał wachmistrz z czterema konnymi żandarmami, a za nimi pociągnęło dziewięciu piechurów, murzynów, na których czele jechał wierzchem oficer, brazylianie, Luiz Ferreira de Saltes, znany ze swego junactwa.

i. Wachmistrz żandarmów, Pedro d'Alcantera Caldo Junior, używał powszechnie opinii, jako człowiek trzeźwego i bystrego rozumu: kiedy szło o ujęcie złoczyńcy, o wyśledzenie zbrodniczego czynu, Caldo nie miał równego sobie w całej Brazylii. Rubaszny, wesoły, gadatliwy, dobroduszny, jadł dużo, pił dobrze, nigdy się o nic na nikogo nie gniewał, a jednak obowiązki swoje spełniał z całą ścisłością. Nieraz, śpiewając i zapijając kaszas ze złoczyńcą, spokojnie gofpotem brał w postronki i dostawiał tam, gdzie Gpależało.

p, Mówiono o nim: — Oho, Pedro Caldo umyślnie 'jpatrzy w niebo, ażeby spostrzedz, co się pod ziemią dzieje.

¹ I teraz oto, jadąc na czele swojej drużyny, ciągle jflnówił, pokpiwał, śmiał się serdecznie, i — Panie wachmistrzu, co za jedni są pollacos?— zapytał jadący obok podsiwiały już żandarm.

— Pollacos?... Pollacos, widzisz, mój Joao, to nie są ani włosi, ani hiszpanie, ani francuzi, ani niemcy, ani anglicy, no, i rozumie się, ani brazy-
jf A. Dygnjlskt. Na złamanie karku. 17

lianie. O ile wiem, pochodzą oni z kraju, który się nazywa Polonia.

— Rozumiem! — odrzekł żandarm, zupełnie zadowolony z danego mu objaśnienia.

— Ty rozumiesz to, czego ja nie wiem; dobry jesteś, Joao!... Ale za to ja rozumiem, dlaczego ty o polaków pytasz?... Przyznaj się, masz tchórza, boisz się zbuntowanych colonos pollacos. Ale zaręczam ci, że owi buntownicy spokojnie zajadają czarną fasolę, a boli ich tylko brak kieliszka kaszasu na popicie. Z mojego żandarmskiego punktn widzenia wynika, że ci, którzy się buntują, nie są przyczyną buntu... Czy ty znasz dozorcę Sauer- manna?

— Wszystkiego raz jeździłem po służbie na kolonie i jadłem u niego pieczoną jacutingę, wędzoną antę, a wypilem kaszasu bez miary i musiałem zanocować w barakach rządowych... Sauermann dobry człowiek!

— Do każdej biesiady najlepsi są złodzieje: zjeść, wypić lubią i mają za co; inni ludzie lubią, ale cóż, kiedy rejsów nie mają.

— Jednakże żandarmowi nie wypada pić ze złodziejem — wtrącił inny żandarm.

— Znać w tobie, Miguelu, młodego kociaka, co to chciałby jeść myszy, a od myszy stroni, jak portugalski markiz od negra! — zawołał wachmistrz. — A cóż to szkodzi wypić ze złodziejem? I z rozbójni

kiem można, byle miał czym płacić. Jeżeli taki wszystko przepije, to potem zrób z nim swoje
1 Pamiętam, piłem raz porządnie ze sławnym zbójcą; mądry był chłopiec! On udawał
pijanego Jprzedemną, a ja udawałem przed nim... Tośmy sobie wtenczas poprzysięgli
przyjaźń do grobu; jeden przed drugim płakał z czułości, a wszystko było • łgarstwo, gra.
Jemu się nareszcie sprzykrzyło udawać pijanego, zuch był i zaczął pić porządnie, aż się
kapitałnie urżnął. Dopiero ja mu ręce tak skrępowałem postronkiem, że biedak zapłakał z
ból, kiedy go prowadził przy koniu. „Nie płacz, przyjacielu — prosiłem — bo mi serce
ranisz!” A on mi jnakłał: „Mogłem cię, gałganie, zabić, a nie zabiłem” — mówił. — „Źle
zrobiłeś, na własną biedę — radzę ci — żałuj!”

— Ależ, panie wachmistrzu — odezwał się Joao — mówiąc o dozorczy Sauermannie,
daliście do zrozumienia tak coś mnićj-więććj, jak gdyby to był
r Złodziej.

— Joao! zęby ci wypadły z dziąseł, łeb ołysiał B osiwiął, a ty, będąc żandarmem,
najprzód monar- Epicznym, potem republikańskim, ciągle nie przestajesz być
niemowlęciem.

¹ — Zawsze lubicie, panie wachmistrzu, facecyjki. Coż to ma za związek z odpowiedzią na
moje zapytanie o Sauermana.

— Wiedz-że, sędziwy głupcze, iż porządny żan-

darni ma obowiązek nie uważać nikogo za skończonego uczciwca, ale też i nie powinien nigdy wyraźnie wyrażać swego zdania o takim, którego wszyscy nazywają łotrem.

Powiedziawszy to, wachmistrz nagle uniósł się na strzemionach, jak gdyby poprzez krzewy i drzewa chciał zajrzeć w tajemne wnętrza boru.

— Miguelu — rzekł do jednego z żandarmów — czy widzisz tam, jak urubus i galinazos zapadają w krzewy?

— Tak jest, panie wachmistrzu, widzę! Zapewne zwierzę jakie wyzionęło ducha i z trupa jego sępy zamierzają sobie wyprawić ucztę.

— Ho, ho, ciebie widzę obchodzi historia naturalna!... Porządnemu żandarmowi nie przystoi robić takich przypuszczeń. On powinien tak rozumować: Zapadają oto w krzaki sępy jeden po drugim, więc tam może być trup ludzki, a jeżeli trup taki leży w krzakach, to jego zabójca chodzi może po świecie. Daj-no koniowi ostrogę, poskocz żwawo i zobacz, co te sępy znaczą!...

Miguel spełnił rozkaz swojego zwierzchnika, a po niejakićj chwili wrócił i takie przyniósł sprawozdanie:

— W krzakach leżą zwłoki człowieka, zaledwie przyrzucone ziemią; dobrały się do nich sępy i już je w połowie pożarły.

— Na tej drodze regularnie co rok mamy mor

derstwo — mruknął wachmistrz i zwrócił konia w za- rośle, a za nim popędził jego zastęp.

Widok zbliżających się jezdnych spłoszył ogromną gromadę sępów czarnych, które z kawałkami wyrwanego ciała w dziobie odlatywały na bok b kilkanaście kroków i dokończyły uczy; przykra woń zgnilizny zdaleka już się czuć dawała.

Pedro d'Alcantara Caldo natychmiast zsiadł z konia i oglądał trupa.

I '— Zabity uderzeniem topora w głowę i w szyję— mówił. — Po ubrania, a głównie z obuwia widać, że polak... Kapelusz jego musi być gdzieś w krzakach. Rzecz szczególna, uciekał z drogi w krzaki!... Miguel, Antonio, Josć, Joao, zaraz mi poszukać kapelusza! r Żandarmi rozbiegli się dokoła i wnet Joao po- wrócił ze znalezionym kapeluszem, a Miguel przyniósł zardzewiały topór.

Wachmistrz oglądał oba te przedmioty z wielką ciekawością.

p- — Rzecz szczególna, uciekał w las z toporem i nietylko się nie bronił, ale topór zgubił! Ten topór jest dostarczony przez rząd kolonistie... Polak i kolonista zabity, a więc pochodzi z kolonii nad Itapava... Trzeba się spieszyć, bo zabójca uciec może.

Jak mogli, tak zabezpieczyli zwłoki, przysypali je ziemią, nakładli stos gałęzi, a wachmistrz zaraz na miejscu wydał rozkaz, aby Miguel popędził do Blumenau i zawiadomił, kogo należy, o zbrodni.

Kiedy uszczuplony zastęp znalazł się znowu na drodze, wachmistrz wydobył z troków przy siodle butelkę kaszasu, mówiąc:

— Musimy zapić tę woń smrodliwą!

Pili kolejką, aż dopóki nie wypili wszystkiego do dna.

Do samych kolonij gadulstwo i dobry humor już teraz nie opuszczały wachmistrza żandarmów.

ROZDZIAŁ XXIX.

"Wachmistrz w drodze i na koloniach.

Jadą ci żandarmi ku koloniom polskim i wstę- P 0 pują do jakiejś oberży przy drodze, ażeby tam konie napoić, dać im chwilę wytchnienia. Weszli oni do izby, patrzą, a tam siedzi urzędowy tłumacz z rozbitą głową, pomocnik dozorca, kucharz i posługacz g& rządowych baraków. Zapijali kaszas we czwórkę, i strasznie się srożyli i odgrażali polakom. Dopiero radość ogromna na widok posiłków zbrojnych, mających poskromić zuchwalstwo emigrantów. Krzyczeli jeden przez drugiego i uskarżali się przed żandarmami. Wachmistrz Caldo wysłuchał wszystkiego, a potem rzekł:

fe' — Możecie, senhores, z nami bezpiecznie na kolonie wracać. Z oddziałem swoich mężnych żandarmów mógłbym zdobyć Portugalie, nieprawdaż Joao, stary smyku? Ale armia do bitwy potrzebuje za

chęty, a czemuż wojaka zachęcić, jak nie spirytusem?... W tych zaś naszych szczęśliwych czasach republikańskich, któż za spirytus ma płacić, jak nie urzędnicy kolonizacyi?

—Mówiliście przed chwilą, panie wachmistrzu, że złodzieje pić lubią i mają za co — odezwał się Joao.

—Cicho, Joao, baranie, który czekasz spokojnie, aż ci młoda żona przyprawi rogi do twej głupiej głowy i nie będziesz wiedział nawet, kogo bódz temi rogami!... Bom ja przecie za stary, a Miguel młody, ale do niczego. Miguel pojechał do Blumenau, widziałem, że ci to nie na rękę... Widzisz, musiałem posłać takiego, coby miał zachętę do pośpiechu... Ty, Antonio, Jose, bylibyście się spili u przewoźnika na promie, u tego bibuły, co już ze setkę ludzi wskutek swego nałogu utopił. Owóż, panie pomocniku dozorca, do tego zmierzam, że zachęta dla ludzi zawsze jest potrzebna, jeżeli mają jakiś sławny czyn wykonać. Cóż ty na to?

—Ja myślę trącić się kieliszkiem rumu ze szlachetnymi obrońcami naszych zacnych swobód republikańskich.

—Na honor, bardzo porządnie myślisz! Śmiało mogę powiedzieć, że dziś poznałem pierwszego myśliciela między urzędnikami kolonizacyi.

Wypili po czarce rumu i wtedy Caído zbliżył się do urzędowego tłumacza.

— Spuchła ci, widzę, głowa, panie tłumaczu?... Do nielicznych dziur w ciele przybyła ci jedna, sztuczna... Zawsze utrzymywałem i dotąd utrzymuję, że głowy urzędników kolonizacyi są mniej twarde, ^niżeli kamienie. J; — Jeżeli się nie mylę, dostałem w głowę kawałkiem granitu.

i — Zapewne, zapewne! Granit jest to najtwardszy kamień w naszej Brazylii, cegła nie zdołałaby nigdy ^rozbić twojej czaszki, odskoczyłaby jak od skorupy tżółwia. Ah, gdybyś ty wiedział, panie tłumaczu, jaką żądzą odwetu za twą czaszkę pałają moi waleczni pandarmi! Nie myśl jednak, że po jednym kieliszku rumu zobaczysz szlachetny zapach męztwa w ich bezach I Cnoty żołnierza leżą na samym spodzie serca i aby je wzruszyć, potrzeba dużo, dużo... Ale, jak ci wriadomo, w naszej spartańskiej rzeczypospolitej żołnierz nie ma za co pobudzać swej waleczności i musi zawierać przymierze z kupcami, urzędnikami... I: — Przed chwilą mówiliście, panie wachmistrzu, że ze złodziejami — rzekł Joao. fc.— No, widzisz, panie tłumaczu, nie zalej takiemu |Joao gardła spirytusem, to on gotów wobec najzaniejszych obywateli rzeczypospolitej głośno wymawiać nieprzyzwoity wyraz „złodziej!...” Joao, stary ióśle, nie żandarmem być tobie, ale raczej służyć w piechocie za trąbę, wyraźnie mówię, za trąbę!.,, iptrłomacz urzędowy lekko się zarumienił, niezna

cznie trącił w łokieć pomocnika dozorczy, udającego, iż nie słyszy całej téj rozmowy; niebawem zaś na stole pojawiła się cała butelka rumu i czarki do rozlania.

— No, wiara, śpieszyć się, pić prędko, bo czas nagli! — wołał wachmistrz. — Za nami podąży piechota z Blumenau i byłby wstyd, gdyby nas konnych tutaj zastali... Wy, panowie urzędnicy, najlepiej zrobicie dla dobra ogółu, jeśli się oddacie pod moją komendę.

— Ależ niczego więcej nie pragniemy, dysponujcie nami, rozkazujcie, panie wachmistrzu! — zawołał tłómaez.

— Kiedy tak — odrzeczł wachmistrz — to zwracam uwagę twą, panie pomocniku dozorczy, że w nieobecności waszćj na koloniach zgłodnieli poUacos musieli sprawić straszne spustoszenie w barakach rządowych. O, znam ja ich dobrze, chłopcy z apetytem smoków i pragnieniem gąbek! Tacy mogli nawet bunt podnieść w tym celu, ażeby was z domu wypłoszyć, a potem wszystko zjeść, wypić... Głodni ludzie zawsze się buntują. Cóż chcecie? Mój przyjaciel, Joao, istny gołąb w pożyciu małżeńskim, zbuntował się przed trzema dniami, kiedy mu jego młoda żonka obiadu dać nie chciała. Ztąd wynika nauka dla was, panowie urzędnicy kolonizacyi: starajcie się, aby oddział walecznych żandarmów, mający stłumić powstanie głodnych chłopów, znalazł w barakach rządowych dużo dobrych rzeczy do jedzenia i picia. Nie zawadzi

gkwartości tej oberży przenieść na kolonie. Bo zresztą, ęóz was to kosztuje? Rząd
rzeczypospolitéj zapłaci. I Urzędnicy wynajęli wóz i parę koni u oberżysty, zakupili trunków,
wiktuałów i wyruszyli na kolonie w towarzystwie żandarmów, r . Była już druga godzina po
południu, kiedy przed barakami rządowemi na koloniach stanął zastęp fezterech konnych i
czterech na podwodzie. t Wachmistrz zeskoczył z konia i rzekł patetycznie: l' — Ja, Pedro
d'Alcantara Caldo Junior, wachmistrz żandarmów rzeczypospolitéj, przywracam was,
panowie urzędnicy kolonizacyi, na wasze stanowiska, :czyli tworzę restauracyę; mówiąc zaś
o stanowisku :i restauracyi, mam głównie na myśli szanowną osobę obywatela kucharza,
który ma obowiązek odpo- wiedzieć godnie swojemu zaszczytnemu posłannictwu P\$amiętać,
że spracowany a waleczny żandarm wart ^jest kawałka mięsa i kieliszka wódki... R' Potém
Caldo zwrócił się do tłumacza z temi słowy: ' — No, panie tłumaczu, pójdźmy bunt
uśmierzyć. : — Jak to, mamy iść we dwóch tylko ? — zapytał z przerażeniem tłumacz,
dotykając się mimowoli ręką obrażonój głowy. | — Tak jest, we dwóch... ? Wachmistrz wziął
pod płaszcz znalezione w lesie ijtopor, kapelusz, i piechotą w towarzystwie tłumacza

Parmów i naradzali się między sobą, co mają począć.

— Trza stać przy swoim, nie ustępować! — wołało dwóch, czy trzech emigrantów. — Jak przyj, •dzie co do czego, to i ziandary mogą oberwać...

— Ej, nie zarywajta z ziandarami! Tacy mogą ludzi postrzelać, porąbać na trzaski... Co innego dozorca, a co innego ziandar — odpowie jakiś rozważny.

— Sprawiedliwie, sprawiedliwie mówi! — zawołał inny. — Jeno co powiedzieć, jak się będą dopytywać, kto z nas tego tłómacza w łeb tak zdzielił kamieniem ?

— Wszystkim przecie wiadomo, że Pluta, tylko swojego wydawać nie idzie! Powiemy, jako nie wiadomo kto, i koniec. Nijakiej rzetelności w Bryzologii nie można się trzymać...

— Pewnikiem nam i tego nie przepuszczą, żeśwa im napsocili w ów-tych barakach rządowych.

— Eee, a cóż ta tego było ? Całj obrady pięć czy sześć flaszek kasiasu i flaszka wódki słodkićj, co jej żaden chłop ani tknął, tyła baby to między siebie wzięły i po krzynie wychlały.

— A i z jedzeniem tóż nie było zbytku! Żeby tyle narodu nasycić, trzebaby z dziesięć razy więcej jadła.

— Mnie się widzi, że oni nam za to nie będą śmieli żadnćj krzywdy zrobić.

— Niewiedomo jeszcze!... Ziandary tu bez kozery nie przyjechały...

L — Któż zaś wie, czy wszystko rządowe, cośwa Lzjedli i wypili?

i. — Jak baraki rządowe, to jużci wszystko rzado- 1 we być musi. I — Kasias chyba nie był rządowy... r ■— Choćby był, to co? Po cóż nas z Polski wywlekli ?

1 — Trza się zapierać, jako nie wiewa, kto na- psocil!

b — No, pamiętajta się dobrze trzymać!... W żywe oczy się zaprzć, że o niczćm nie wiewa! wj Gdy do tak rozmawiających podszedł wachmistrz, ■fetedy niektórzy, poczuwający się bardziej do winy, niebawem gdzieś znikli.

IjLCaldo zbliżał się z wielkim spokojem i pewnością siebie; przed barakami spotkał dzieci, począł je zaraz Iplaskać po głowach, potem wyjął z kieszeni parę kawałków cukru i rozdawał malcom. Małe jakieś brudne niemowlę, czołgające na czworakach, wziął nft ręce, pieścił i przyniósł je do baraków emigranc- rfcicb. Patrzyły na to z oddalenia baby i mówiły I jedn a do drugićj :

— Ten wojak musi być dobry człowiek, kiej dzieci tak lubi.

BjI zaraz mu się zaczęły kłaniać, a chłopci, widząc | \$| uchylali również czapek.

f — Panie tłumaczu powitaj odemnie tych ludzi' takimi słowy, jakimi się oni sami między sobą witają — powiedział wachmistrz.

■— Obywatele, wachmistrz Caldo mówi do was: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” — rzekł tłumacz, nieco już teraz uspokojony przyzwyczajeniem się emigrantów.

— Na wieki wieków amen! — Odpowiedzieli wszyscy chórem, a między sobą zaczęli poszeptywać:

— Ciewy, musi być cały człowiek, chrześcijańska dusza, kiej takim słowem do nas zamówił!

— Nie słyszeliście, co tłumacz powiedział? Toć wachmistrz, figura! Ze stroju i z miny zaraz poznać, że nie żaden ładajaki.

— Mieni ma się na głowie lepiej, niż u drugiego jenerała.

— Bez to pewnikiem, żeby był znaczny, jako nad ziandarami przewodzi.

Caldo bez zwłoki czasu przy pomocy tłumacza rozpoczął teraz badanie, czy kto z gromady nie wić, do kogo mogą należeć znalezione w lesie — topór i kapelusz.

Emigranci kolejno oglądali te przedmioty, lecz żaden z nich nie zdołał wymienić nazwiska właściciela; niezmiernie się jednak wszyscy zaciekawili.

— A powiedcież mi, obywatele, czy tu kto z waszych nie ubył w tych dniach? — zapytał wachmistrz przez tłumacza.

— Toć od niedawna niema Cierniaka, ale go ta nikt nie żałuje! — zawołał ktoś z tłumu.

— Dobrze! dobrze! Proszę powiedzieć wyraźnie jmię i nazwisko tego człowieka!

— Sobek Cierniak!

— Brakuje takó¿ i Mikołaja Dąbka, tego, co się to z babą swoją swarzył i bijał! — odezwał się ktoś inny znowu. Wachmistrz z wielką starannością zapisał sobie imiona i nazwiska obu chłopów, jako tóż opiuię o nich gromady.

Gdyby się kto uważnie był rozpatrywał w tym tłumie emigrantów, spostrzegłby, że za wymienieniem imienia i nazwiska Mikołaja Dąbka, Matus Dzwonko, stojący na boku, zbladł nagle, a po chwili nieznacznie się z tłumy wysunął i opuścił baraki.

Z dalszego przebiegu badania wypadło, że pociągnięto do zeznań i Dąbkową. Tym razem baba okazała się bardzo powolną, ponieważ w rękach żandarma poznała kapelusz męża i powzięła jakąś tajemną nadzieję odzyskania pieniędzy; opowiedziała przeto całą, znaną nam już historię, z wszelkimi szczegółami. Kiedy Caldo zażądał nareszcie rozmowy z Matuscm Dzwonko, napró¿no tego chłopą szukano w barakach.

— A toć on tu stał dopiero co tylko! — powtarzano ze wszystkich stron.

Daremnie wachmistrz dopraszał się, a¿eby sprowadzono Matusa Dzwonko, daremnie przysięgał, iż ło potrzebuje w sprawie bardzo wa¿nej, a dotyczą- cój dobra polskich emigrantów; chłop przepadł gdzieś bez śladu.

Nareszcie sprowadzono jakiego chłopaka, który zeznał, że widział przed chwilą, jak się Matus „wyrwał z baraków i darł do lasu”. Teraz Caldo pożegnał chłopów, salutując ich po żołniersku, pobiegł czemprowadze do rządowych baraków na górze i wydał polecenie trzem swoim żandarmom, ażeby natychmiast dosiedli koni. Wkrótce potem widziano wachmistrza, jak na czele swego oddziału gnał we wskazanym sobie kierunku w pogoń za Matusem. Pod lasem czterej żandarmi rozdzielili się i każdy inną ścieżką w bór popędził.

Nie długo trwało poszukiwanie, bo w kilka już minut Joao począł na cały głos nawoływać kolegów a gdy przybyli, pokazał im człowieka, powieszoną na gałęzi. Był to właśnie Matus Dzwonko.

— Ab, bodajże mnie dyabli wzięli! — zawołał Caldo. — Miałem w ręku klucz zbrodni i... Nie, nie, przysiągłbym prawie, że nie ten jest zabójcą! Ale, który żyje jeszcze: Dąbek, czy Cierniak?... W tćni sęć! Wszystko mi mówi, że — Cierniak! O, bratka, choćbyś się pod ziemię schował, to cię znajdziemy! Mamy czas jeszcze Czyś jest na morza, czy na lądzie, nie ujdiesz przed Pedro d'Alcantara Caldó Junior!

ROZDZIAŁ XXX.

W barakach rządowych.

i Kiedy żandarmi wrócili do baraków rządowych, już dla nich kucharz przygotował obiad.

';■' — Siadajcie, przyjaciele! — rzekł Caldo do swej prężyny. — Musimy się uczciwie śpieszyć: jeść całą siłą szczęk, pić pełnemi łykami, abyśmy głód i pragnienie zaspokoili przedtćm, nim się zjawi ze swymi perzynami ten pyszałek de Saltes... A cóż mnie to może Obchodzić, jeżeli oficer od piechoty głodny się spać położy ? Dzisiejsza rzeczpospolita dąży do samorządu, więc i do samopomocy. Niech każdy sam myśli o sobie!

Kleszcze żandarmi ust po obiedzie nie otarli, gdy się rozległ tentent konia i przed baraki wpadł pędem iiózorca. Szybko zeskoczył z podjezdka, wbiegł, z uprzejmością kłaniał się, podawał rękę żandarmom orzekł:

!gvDygaj!ó«ki. Na złamanie karku.

— Kochany pan wachmistrz de Caldo! O, to mi gość pożądanym!

— Nie jestem de Caldo, lecz poprostu Caldo !... Choć mię zaś nazywasz pożądanym gościem, to jednak za flaki musiałem targać reprezentację urzędu kolonizacyjnego, ażeby się z grubsza pożywić i napić.

—Cóż robić, panie wachmistrzu ? Ja skromnie żyć muszę, ubożuchno, jak pustelnik! A z kąd mam brać przy swojej szczupłej pensyjce?... Ale, ale, jakże tam poszło z buntownikami? Prawda, że niełatwo. Spodziewałem się tego! Mnie nikt energii nie odmówi, a jednak wobec takich drabów, zbójów...

— Upokorzeni pollacos leżą, jak barany, u stóp waszjej dozorczej mości! — przerwał wachmistrz. — Ja i moi dzielni żandarmi zrobiliśmy swoje, to jest spoczęliśmy na laurach zjedzonego obiadu.

— Senhor Caldo zawsze żartuje! Niezawodnie^ panie wachmistrza, spotkaliście się z nadzwyczajnym uporem, krnąbrnością i nieuległością.

— Wszystko to było, ale tylko w bardzo małej dozie... Ostatecznie udało mi się przekonać pańskiego pomocnika, tłumacza, kucharza i posługacza, że żandarmi muszą jeść, pić, tak samo, jak każdy inny śmiertelnik.

— No, chwała Bogu, żeście po ciężkich trudach zjedli tu przynajmniej obiad. O, bo inaczej oberwałbym uszy kucharzowi! Tak, tak, wszyscy tu muszą

znać mores, muszą wiedzieć, że Sauermann nic nie puści płazem!

— Wierzaj mi, panie dozorczo, że zjedzenie obiadu w tej dziurze jest na czysto zasługą... I w ogóle, każde zjedzenie jest zasługą tego, który zjadł.

— Powiedziałeś, panie wachmistrzu, „w tój dziurze”. Niezawodnie! Tu są bardzo ciężkie warunki! Prawdziwa dziura! człowiek żyje wśród dzikich zwierząt. Czyż takie życie nie jest poświęceniem ?...

— Ja się na wszystko zgadzam zaraz po obiedzie. Sjpieranie się z wami, panie dozorczo, podziałałoby na mnie, jak fale morza: dostałbym niezawodnie morskiej choroby. Nie, źle powiedziałem! Kiedym jest dobrze syty, wyobrażam sobie, że jestem najedzonym sępem urubu lub tóż gallinazo, a ten, kto mię napastuje i niepokoi stawianiem pytań, wydaje mi się być głodnym sępem, chimango, który napada na tamte najedzone ptaki i dopóty je dręczy, dopóki ich żołądek nie zwróci połkniętj strawy; szelma jeden, on na to tylko czeka, ażeby się sam mógł obezrć!

— Z tćm wszystkićm, zacny panie wachmistrzu, z urzędu powinienbym posłyszeć różne szczegóły zachowania się polaków za waszcćm tutaj przybyciem. Założyłbym się, że łotry truchleli ze strachu.

— Najważniejszym szczególem, obchodzącym pana, jest to, że jeden colom pollaco wisi w lesie. Musicie mu jutro wyprawić pogrzeb...

— Co mówicie, panie Caldo? Colono pollaco wi-

si ? — zawołał dozorca przerażony, jakkolwiek mu się oczy zaświeciły jak u kota. — Aż tak daleko sprawiedliwość zaszła!... Jednakże, między nami mówiąc, czy to nie za surowo?... Rząd Rzeczypospolitej proteguje i oszczędza emigrantów, więc się obawiam...

— Niczego się pan nie obawiaj! — mruknął z powagą Caldo. — Wszystko się stało naturalnie.

— Wybornie pojmuję, rozumiem! Powiesić jednego bultaja dla przykładu, jest to zapewnić władzy spokój, dać jej możliwość uszczęśliwienia wielu tysięcy.

— Ale i to także prawda, panie dozorczo, że dziś w Brazylii, wobec napływu emigrantów i z tego właśnie powodu, jeden powieszony może być więcej wart, aniżeli tysiące żyjących, uważających się za cnotliwych dobroczyńców ludzkości.

— Ha, co się stało, to się stało! — zawołał dozorca. — Ja za to nie odpowiadam. Dyabli wiedzą, czy takie powieszenie nie wywoła nowych buntów. Trzeba będzie może zatrzymać tu na koloniach przez dłuższy czas siłę zbrojną, ogłosić stan oblężenia, zaprowadzić surowy rygor... Kapitan Ferreira de Sal- tes zaraz nadciągnie ze swoją piechotą, a jutro na wieczór powinien tu przybyć z Desterro cały batalion pod bronią. Zobaczymy, zobaczymy...

— Z mojego punktu widzenia, jako wachmistrza żandarmów, muszę panu otwarcie powiedzieć, że dla

utrzymania pana, pańskiego dozorca, kucharza i posługacza w barakach rządowych, należałoby tu na koloniach powiesić wszystkich emigrantów... A byłoby jeszcze daleko lepiej, gdyby się każdy z nich sam powiesił. O ile wiem, dużo już na tej drodze zrobiono.

■ — Ej, nie! Powiesić wszystkich, to za surowo! i Teraz wachmistrz powstał od stołu, przeciągnął wszy nadzwyczajnie uroczysty wyraz

j pana o arkusz czystego papieru, pióro i atrament, gdyż mam przedstawić do władzy ważny raport o strasznych kradzieżach i nadużyciach, jakie się na koloniach polskich dzieją. Raz temu trzeba ^położyć tamę i winnych wysłedzić! Czyż ja, porządny żandarm, mogę obojętnie patrzeć na to, jak łotry okradają biedaków i do rozpacz ich doprowadzają?... O, nie, dosyć tego!... Zdaje się, że nić łotrowstwa mam w ręku, że jestem na śladach głównego rabusia!

Mówiąc te słowa, Caldo wzburzony przechadzał się po izbie, brzęczał ostrogami, a jego fizyognomia miała nieubłagany wyraz surowości. r Dozorca zzieleniał cały, chciał ukryć swe pomieszenie, zakręcił się raz, drugi, po izbie, szukał niby to papieru, pióra, atramentu, a pod nosem niewyraźnie coś bełkotał. Nareszcie wypadł do sieni i począł gniewnie fukać na posługacza:

— Francisco, co to znaczy, dlaczego nie podałeś panu wachmistrzowi butelki wina do obiadu? Dlaczego po obiedzie nie stoi ta na stole przed panem wachmistrzem wszystko, co mamy najlepszego do picia?... Ty niedołęgo, gapiu!

— Ależ, colonos pollacos wpadli do baraków i zjedli, wypili wszystko, co było! — odrzekł posługacz śmiało, mrugając na dozorcę.

— Głupiś, Francisco! Zabrali to, co było w spiżarni; ale naszej skrytki w ziemi nie mogli przecież odkryć.

— Aha, to znowu co innego! — odparł posługacz. — Czegóż się pan gniewa i od razu rai nie powie? Myślałem, że pan tych żandarmów chce zbyć psim swędem, tak samo, jak zbywamy pomocnika pana szefa. Zresztą, myśmy tu już z pomocnikiem i tłumaczem ułożyli, aby do rządu przedstawić rachunek szkód, zrobionych w barakach przez polaków, na tysiąc milrejsów... Kucharz mówił, że pan na tem nie poprzestanie.

— Milcz, Francisco, idź do piwniczki i przynieś . wina, likieru, tylko prędko!

Wachmistrz, który słyszał przez drzwi całą tę rozmowę, spojrzął znacząco na swych towarzyszy, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Dzisiaj będziemy mieli gratkę! Powinniście mi podziękować, że trafił na słabą żyłę tego trutnia.

i- Wkrótce na stole pojawiły się dwie butelki port- weinu i butelka likieru, co wszystko wachmistrz ba- fcznem okiem ogarnął i w te słowa przemówił:

— Szanowny panie dozorco, przyjmujesz nas w swym domu tak godnie, jak gdyby członkowie prześwietnego trybunału w Rio de Janeiro wyprawiali bal dla dostojnój sprawiedliwości 1 Słowo honoru daję, portweinu nie piłem aż w dniu ogłoszenia rzeczyriospolitćj, a przepadam za tóim winem. Ale, czy pozwalasz mi pan rozporządzać temi butelkami tak, jak mi się podoba?

— Bardzo proszę, panie Caldo! Należysz przecie do rzędu ludzi, których ja cenię, kocham, uwielbiam*

— Dobrze, więc butelkę wina i likier każ mi owinąć mchem, ponieważ zabiorę to ze sobą na pamiątkę od przyjaciela; drugą butelkę wina wypijemy tu na miejscu za twoje zdrowie i powodzenie... Znam ja was, panie dozorco, wiem, żeście dobry bursz, stary pijak i, jeżeli jaki nowy toast wznieść jeszcze przyjdzie, to, otwierając nam swoje złote serce, nie będziecie nas trzymali przed zamkniętymi drzwiami ^swojej piwniczki. Tylko butelek na stole nie trzymać, chyba próżne, bo lada chwila zjawi się Saltes, a ten goli bez miłosierdzia. Po jego przybyciu ja odjadę, możecie go karmić bananami i pić wodą.

— Jaktó, odjedziecie, panie wachmistrzu? Co za Szkoda mieć przyjaciela w swoich progach przez czas tak krótki!

— Sądziłeś, widzę, że na koloniach ze dwa dni jeszcze zabawię? — rzekł wachmistrz, wychylając do dna kieliszek wina.

— Nie inaczej, nie inaczej!

— Wyobrażam sobie, ilebym ja tu zjadł i wypił przez ten czas u ciebie. Mój panie dozorczo, jestem człowiek otwarty, co w myśli, to i na języku! Otóż, zamiast mię tu żywić i poić przez dwa dni, zaopatrź mię porządnie na jeden dzień życia w podróży. W trokach na moim szłapaku sporo się zmieści różnych rzeczy, a gdyby tam miejsca zbrakło, to od czegoś włóczę za sobą tego poczciwego niedołęgę Joao?

Dozorca wybiegł z izby i polecił posługaczowi zaopatrzyć wachmistrza w zapasy żywności, jakoteż w trunki.

Wtedy Joao głos zabrał:

— Ten człowiek musi być koronnym złodziejem!

-r- Joao, jesteś potworem głupoty! — rzekł

Caldo. — Piętnuj i prześladuj złodzieja nie wtedy, kiedy on daje, ale kiedy bierze... Pamiętaj, że w tej chwili my bierzemy!

Wysadził się dozorca i wachmistrza zaopatrzył bardzo suto, a przytém otrzymali podarunki inni także żandarmi. Caldo uważał sobie teraz za obowiązek wyjaśnić poprzednią swą przemowę o nadużyciach na koloniach polskich nad Itapaya.

— O tak! — mówił — strach, co się tu dzieje!... Parę dni temu, jak zamordowano człowieka w lesie

W drodze, wiodącej do Blumenau; oprócz tego kładziono babie pieniądze, a dzisiaj znowu powiesił chłop w lesie. Zdaje mi się, że nie mordercy Kołodzieja mam w ręku.

Teraz dozorca zrozumiał, że wachmistrz wyprowadził go w pole, postrachem wydurzył różne łapówki; więc zaraz skwaśniał, stracił humor, podczas gdy Saldo pokpiwał nieustannie i coraz lepićj. | Było już dobrze po siódmej wieczorem, gdy w odpaleniu dał się słyszeć huczny śpiew; to Ferreira de paltos nadciągał z murzynami, którzy wchodząc na ferytoryum kolonii, nucili jakiś straszny marsz bólowy.

Wachmistrz natychmiast wdział hełm na głowę, sypsał do boku pałasz, dosiadł konia i na czele swoich żandarmów wyjechał na drogę, gdzie oczekiwał przybycia oficera, któremu zaraz na wstępie winien był dać objaśnienia o stanie umysłów zbuntowanych emigrantów.

ROZDZIAŁ XXXI.

Go potóm robił Caldo?

Kiedy de Saltes już nadciągnął z piechotą, żandarmi, prostując się na koniach, sprezentowali broń przed oficerem piechoty, który ich pozdrowił, jakby od niechcienia dotykając palcami skroni, a potem podjechał butnie do wachmistrza i tak pytał:

— No, cóż tam słyhać? Czy bunt chłopski bardzo się tu sroży?... Jakie też mniej więcej mogą być siły buntowników?

— Źle słyhać!—odparł Caldo.—Cclonos, nazwani przez waszą łaskę buntownikami, doszli do takiego stopnia wzburzenia, że się wzajemnie między sobą mordują i sami się dobrowolnie wieszają. Co się zaś tyczy ich ilości, jest ona jednakże tak znaczna, że gdyby to byli jacy hiszpanie, albo nawet włosi, to ja w tój chwili nie miałbym zaszczytu dowodzić hufcem swoich dzielnych żandarmów, lecz

Ebujałbym na jakimś wysokim drzewie, panując nad Bitymi pięknymi borami stanu świętej Katarzyny.

— Widzę z tego, mój wachmistrzu, że sprawdzi- Hrjeś na koloniach fakt formalnego buntu i że roztró- Hpność wojskowa nakazuje oczekiwać na przybyci& ^ •posiłków z Desterro, ażeby potem skutecznie ude- : rżyć na emigrantów. A powiedz mi, czy nie sprząły wdzileś przyczyny buntu?

r. — Owszem, sprawdziłem! Przyczyną tego jest. H&iezadowolenie, którego przyczyną jest znowu obfi- Kość wszystkich rzeczy, jakimi błogosławiona zie- Kiunia naszej sławniej ojczyzny, tak szczerze darzy W emigrantów, a głównie — Polaków.

[5 — Nie pojmuję, co przez to rozumiesz, mów ja- Hsno! W jaki to sposób obfitość może wywołać nie- .zadowolenie ?

*. — Jest to bardzo proste! Istotny stan rzeczy Kmoże każdego przekonać, że Colonos - pollacos mają gł tu obfitość głodu, pragnienia, nagości, bardzo pożąda- nej w naszym cudownym klimacie, wszy, węży, M skwaru słonecznego, że już nie mówię o pchłach zie- ' ; mnych, jaszczurkach, tłómaczach, geometrach i innych urzędnikach. Sądzę jednak, iż nas, ludzi woj- Rjkowych, powinno to pocieszać, gdy mamy do czynienia z buntownikami, ponieważ taka obfitość jest b naszym naturalnym sprzymierzeńcem: ona sama. poprzez się zgnębi, wytepi powstańców; nie potrzebu- Ł jemy psuć prochu, obnażać szabel, a i tak po

skończonej wojnie awans nie minie naj waleczniej - szych...

— Wachmistrzu Caldo! — krzyknął zaczerwieniony od gniewu de Saltes. — Jesteś znany ze swego lekceważenia ludzi wyższej rangi i w ogóle z nieza- chowywania przepisów militarnej dyscypliny! Ten dziwny, dwuznaczny sposób przemawiania do zwierzchnika jest karygodny.

Caldo z uszanowaniem skłonił głowę i odrzekł:

— Jako żandarm, staram się tylko o rzetelne wyświeślenie tego, co inni ludzie mogą waszój łasce przedstawiać w fałszywym świetle. Wasza łaska raczy to sprawdzić, a wówczas przyzna, że wachmistrz żandarmów spełnił swą powinność i złożył raport zgodny z rzeczywistością.

Powiedziawszy te słowa, Caldo czekał, dopóki oficer nie ruszył dalej z piechotą, poczerń wysłał komendę, a żandarmi wsunęli w pochwy obnażone pałasze i z wachmistrzem na czele kłusem ruszyli w powrotną drogę, po której przed chwilą właśnie przybył de Saltes z Blumenau.

— Szelmy! dyabelnie czuć od nich wszystkich spirytus! — mruknął de Saltes. — Założyłbym się, że wypili wszelkie zapasy w barakach rządowych i ja na téj puszczy będę musiał lizać łapy.

Nocą rażno pomykały żwawe, lekkie i wytrwale żandarmskie konie; w trzy godziny dobrze się już

spieniły i zapoczęły, gdy przyniosły jeźdźców swoich do miejsca, gdzie, aby odbywać dalszą podróż, trzeba się na promie przeprowić przez rzekę Itajahy assii.

Wachmistrz zdaleka już wołał na przewoźnika:

— Hćj, Angelo, wstawaj, opoju, śpiochu! Prom dawaj tutaj.

Na kilkakrotne wezwanie, zajaśniało światelko w oknie chatki, stojącej nieopodal od brzegu rzeki; potem skrzypnęły drzwi i wyszło dwóch ludzi, którzy z długimi drągami i z latarką, jak widma, zbliżali isię ku rzece.

— Ooo, senhor wachmistrz! A zawsze się po nocy płóczycie — rzekł jeden z przewoźników grubym, ochrypłym głosem.

■ — Angelo, hiszpańsko-peruwiańsko-brazylikańska małpo, nie utyskuj, boś przecie i w nocy rad widzićć porządnego człowieka, który w ciebie wleje tyle Szlachetnego trunku, że późnićj śpisz snem dubeltowym !

[!• — Że dobre tylko trunki pić lubię, jest to znakiem mego szlachetnego pochodzenia, znakomitćj krwi, która się jednak we mnie oburza, ilekroć na [wezwanie muszę do pracy wstawać.

■ — A czemuż sobie nie sprawisz katary nki z małpą? Miałbyś lżejszy zarobek.
| — Tfu, do kroćset! To dobre dla niemca, włocha,.

Portugalczyka, ale nie dla hiszpańskiego szlachcica, któremu krew pozwala tylko nic nie robić, a w ostatnim razie — ciężko pracować... Dzisiaj żałuję, że nie zostałem mnichem. — Mówiąc to, otworzył kłódkę, która zamykała łańcuch promu.

Wnet prom z żandarmami przepłynął rzekę i przybił do przeciwnego brzegu, gdzie wachmistrz wydał taki rozkaz:

—Wy dwaj, Antonio i Josć, pojedziecie prosto do Blumenau, aby tam złożyć raport o polaku emigrancie, który się powiesił podczas obecności na koloniach. W drodze pozwalam wam się upić, jeśli macie czem, gdyż czyny, jakie trzeba wykonać, nie wymagają wcale przytomności umysłu. Joao zostanie tu ze mną.

Dwaj żandarmi, stosownie do danego rozkazu, niebawem puścili się w drogę. Teraz Caldo wyciągnął z troków przy siodle butelkę, mchem owiniętą, pociągnął z niej dobry łyk i oddał ją w ręce przewoźnika z temi słowy :

—Angelo, spróbuj-no tego trunku, a zaraz ci zaświta we łbie, staniesz się mądrym, jak Salomon, czego w stanie trzeźwości niepodobna od ciebie wymagać !

— Ho, ho, domyślam się, o co chodzi! Z pewnością w tych dniach przeprowiał się na moim promie jaki zbój albo złodziej.

- — Pij, zrób się przytomnym, a później pogadamy !

| Angelo oburącz pochwycił flaszkę, przypiął się do !niój, jak pijawka, a po jakimś czasie oddał ją swemu pomocnikowi, ale ten, zaledwie szkło do ust przyłożył i głowę w tył przechylił, zaraz butelkę ze złością rzucił w rzekę, mrużąc:

£ — Już też los ciężko mnie prześladowuje! Nietylko, że mam służbę przy promie, prawdziwie psią służbę, ale jeszcze w dodatku — towarzysza złego!... Słuchaj, EAngelo, jesteś podłym kolego, albowiem chciwfe twoje'gardło, bez względu na pragnienie cudze, wysącza nawet zapach z butelki.

- — Mój przyjacielu! — rzecze Angelo — kiedy 'Pan Bóg stwarzał różne napoje, wtedy się dobrze zastanawiał, co kto pić może. Otóż, dla zwierząt przeznaczył wodę, dla niewolników — śmierdziuchę, czyli kaszas i podle wińska, a dla szlachty, ludzi dobrze Ugodzonych — najlepsze wino.

Ja, wypiwszy wino, ofiarowane przez wachmistrza, spełniłem tylko wolę Najwyższego, mając wzgląd zarówno na ciebie, jak i na wino.

— Zawsze miałem to przekonanie, mój Angelo, że ty po wypiciu jesteś, co najmniej, tak wymowny, jak sławny proboszcz z Gaspar, który zresztą od ciebie niższy jest jedną tylko wstrzeźliwością—oderwał się Caldo. — I dlatego dałem ci dobrego wina...

Boję się atoli, czy aby w ciągu ostatnich dwóch dni i nocy nie byłeś trzeźwym idyotą.

— Eee, panie wachmistrzu, czy nie uważasz, że w naszej Brazylii z każdym dniem jest gorzej i go. rzej? Dzisiaj nie są to już te czasy, co przed laty, kiedym tutaj przybył z Peru; było się z kim zabawić i miało się na to. Teraz wszędzie pełno murzynów, z którymi trudno mi żyć szczerze... Ja, szlachcic hiszp...

— Nie peroruj, nie peroruj! Powiedz mi, czy mogę na tobie polegać, że dokładnie opowiesz, co się dokoła ciebie działo w ciągu ostatnich dwóch dni i dwóch nocy?

— On od trzech dni tak się bawi z butelką, jak głodne niemowlę z piersią matki — odezwał się pomocnik przewoźnika.

— Tém lepićj! — odrzekł Caldo. — Powiedzże mi, Angelo, lub powiedzcie obaj przewoźnicy, czy wczoraj lub przedwczoraj nie przeprowiał się tu na promie jaki Colono pollaco? Wicie chyba, co to jest pollaco? Człowiek, który chodzi w długich butach i dlatego nosi koszulę z białego płótna, ażeby lepiej znać było, że jest brudny.

— Oh, pollacos, pollacos, znam ich! Od czasu jak rząd rzeczypospolitój sprowadza tych ludzi na niemieckich okrętach, różni urzędnicy robią u nas bardzo dobre interesa... Wogóle, kolonizacya zdaje się być zyskowną...

~ — Przeklęty gadało, nie o kolonizację mi chodzi...

}'. — Wiem, wiem, chodzi o polaka w długich ■batach i białej, chciałem powiedzieć — w brudnej koszuli... Nie, panie wachmistrzu, zauważyłem to dobrze, że ci pollacos, gdy się raz przeprowią promem przez rzekę, wcale już potem o nich nie słyhać, widocznie przepadają gdzieś w lasach. *: — Hm, jeśli się mój ptaszek nie przeprowił przez rzekę do gościńca, to popłynął wodą... Znany to fortel każdego lotra! Tém pewniejszy jestem jego zbrodni. Ale zkaąd on wziął czółno?... Ha, mógł kupić, tokraść! W każdym razie trzeba się puścić do Gaspar, forietrząc po drodze, koniecznie muszę na ślad trafić. — Tak sobie rozumował wachmistrz. P Popaśli konie i dali im wytchnąć, a sami żandarmi przespali się nieco. | Już był dobry dzień, kiedy Caldo i Joao pędzili truchtem po drodze, biegnącój wzdłuż rzeki aż ku jej ujściu.

Wachmistrz wstępował czasem do jakicjś kolonii, lub badał, wypytywał spotkanego przechodnia; wido- Czném było, że zarówno miejscowość, jak i mieszkańców, znał na wylot.

Ale dopiero oberżysta w Gaspar opowiedział żandarmom rozmaite szczegóły, dotyczące pobytu tamże polaka, który w gospodzie porozumiewał się tylko na migi, nie umiejąc ani po portugalsku, ani po niemiecku. Oprócz tego, różni ludzie zeznali, że widzieli, Na złamanie Karku.

jak colono pollaco wsiadał w małe czółenko i popłynął w kierunku miasta Itajahy.

Już mi teraz ślad jego nie zginie — zawołał Caldo. — Jeżeli go nie znajdziemy w Itajahy, to jedno z dwojga: albo się łodem udał ku Portu Bello, albo — co jest prawdopodobniejsze — wsiadł w Itajahy na parowiec, aby zemknąć. Skoro się atoli dowiem, co za parowiec w tych dniach odpłynął z portu, będę jednocześnie wiedział, jakie porty on nawiedzi i już za pomocą telegrafu przytrzymamy gdziekolwiek — wiekbaź pana polaka.

Przed samym wieczorem żandarmi przybyli do Itajahy i tu z łatwością odnaleźli gospodę, w której Cierniak i Szmidowicz noc przepędzili. Opowiedziano im tyle szczegółów o dwóch podróżnych, że wachmistrz mógł teraz ściślej wnioskować. Dowiedziawszy się, iż kupili konia, strzelbę, pobiegł na miasto, aby wszystko dokładnie sprawdzić na miejscu, a nic go tak nie zachwyciło, jak to, co posłyszał z ust aptekarza, który oświadczył:

— Jeden z nich widocznie nie miał strzelby, więc kupili u mnie starą pojedynkę; ale nie ten jej potrzebował, który ją targował, gdyż drugi nie umiejący po portugalsku, chciał za strzelbę płacić i wy dobył z kieszeni pieniądze niemieckie, piękne złote i srebrne sztuki.

— O, to, to, to — wykrzyknął Caldo. — Złote i srebrne pieniądze niemieckie! Takie właśnie skra-

dziono babie na koloniach polskich nad Itapaya! A ileż sztuk wydał on tutaj?

— Nic nie wydał, bo mu towarzysz nie pozwolił zmieniać niemieckich pieniędzy i sam cenę strzelby zapłacił naszą brazylijską monetą.

ROZDZIAŁ XXXII.

Jak się skończyła pogoń?

Niepodobieństwem jest być tu ścisłym i drobiazgowo opisywać, jak dwaj żandarmi, wyruszywszy z Itajahy i raz wpadłszy na tropy Cierniaka, pędzili niby psy gończe, których uwagi nic nie uchodzi, kiedy przed sobą mają zwierzynę. Szczególnie też wachmistrz Caldo interesował się każdym, bodaj nawet najmniejszym szczegółem: już to obchodziły go wyciśnięte na ziemi ślady stóp ładzi, psa lub konia, już znowu spostrzegał miejsce, gdzie Szmidowicz i Cierniak przystawali na chwilę, widział on, gdzie koń zrywał trawę, a gdzie ludzie schodzili na bok z drogi, oglądał wreszcie ciepłe jeszcze ognisko, przy którym idący przodem noc przepędzili.

W ciągu tej pogoni żandarmi nie nocowali nigdzie, koniom dawali krótkie tylko wypoczynki, ponieważ

pośpiechem pragnęli wyrównać tę przewagę w czasie, jaką nad nimi mieli dwaj emigranci.

Kiedy nareszcie Caldo i jego towarzysz wydostali się na ową górę, gdzie to Szmidowicz zastrzelił był owego pięknego ptaka, którego głos przypomina uderzenia kowalskiego młota o kowadło, wtedy wachmistrz rozejrzał się ztąd po okolicy i zupełnie wyraźnie widział przed sobą w oddaleniu dwóch podróżnych, mijających źródła rzeki Rio do Moura.

— Joao — rzecze Caldo — nie ulega wątpliwości, że już teraz widzimy ptaszka; ale chodzi o to, jak go napędzić w sidła nasze przedtém, nim go sprawiedliwość osadzi w klateczce. Możemy tych jegomościów najechać znieścacka, a możemy im dać czas, aby nam się zdaleka przypatrzeli. Jak myślisz, co lepsze?...

- — Panie wachmistrzu, nasze szable i hełmy zdają się świecić od słońca; więc, jeśli jeden z tych -dwóch ludzi jest winowajcą, to będzie miał dosyć czasu, ażeby drapnąć w zarośla. A nuż na widok żandarmów obadwaj w gąszczu się wszyją? Jak ich tu potem szukać? Mają przecież strzelby i każdy aednego z nas może wziąć na oko.

—Ja o tórh wiem lepićj od ciebie, mój Joao, że żandarm nigdy nie powinien udawać zbyt walecznego, ponieważ tchórz zawsze śmierdzi od niego, ile razy chodzi o przytrzymanie złoczyńcy, który ciepłą ręką niejedno już może życie wypłoszył z ludzkiego ciała.

Ale zważ tylko, o ile dla żandarma prostszym jest zadanie, jeśli ujrzy przed sobą już przerażonego zbrodniarza. Ci polscy emigranci wcale nie są burzliwi i zuchwali; jest to naród, który mi nadzwyczajnie przypomina owczą łagodność. Dlatego sądzę, że nam należy rozpuścić konie cwałem i z do- bytemi pałaszami pędzić ku tym ludziom. Gdy przybędziemy już do nich, wsuniemy szable w pochwy, a wtedy oni ochłoną ze strachu i zaczną mieć dla nas dobre usposobienie, co właśnie jest stanem najwyższego ogłupienia... W takim nastroju cap za kołnierza i wio do zacnych przybytków sprawiedliwości! Ale, ale, mój Joao, miej też na pogotowiu siodełko, a kiedy na ciebie prawem okiem mrugnę, ty zaraz szust z konia i łapy krępuj!

—Niepotrzebnie mi pan wachmistrz przypomina, bo ja, jako żandarm, w tym jednym celu, że paradnie umiem brać w postronki. Gdy ktokolwiek inny skrepuje złoczyńcę, nicma żadnej ręką, że sznurki nie potrzaskają, jeśli są na rękach siłacza.

—Oh, tak, tak! Jeśli ci tylko złoczyńca z grzecznością odda w opiekę swoje ręce, ty je już w takim razie za pomocą stuły umiesz połączyć nierozzerwalnym ślubem; wiążesz po katolicku!

Tak rozmawiając, żandarmi zjechali z dosyć spadzistą górą, a gdy stanęli już na równinie, poczęstowali swe konie ostrogami i z dobytymi szablami pędzili naprzód. Kiedy najwyżej pięćdziesiąt kroków

dzieliło ich jeszcze od dwóch podróżnych, wsunęli pałasze w pochwy, sfolgowali koniom i drobniutkim truchtem pojechali-

Szmidowicz przystanął i nakazał milczenie psu, który, prowadząc za sobą szkapę, oglądał się, rzucał i straszliwie warczał na widok nieznanych jeźdźców.

— Cóż to ja widzę? Andreio tutaj, przyjaciel!— zawołał wachmistrz, zwracając swego konia ku Szmidowiczowi, podczas gdy na Cierniaka z boku tylko nieznacznie zerknął.

— Pan wachmistrz Caldo! — wykrzyknął Szmidowicz ze zdziwieniem. — Dalibóg, niespodzianka!

Prędzój mógłbym się spodziewać, że tutaj spotkam pumę, lub inne jakie rzadsze zwierzę, aniżeli was, panie wachmistrzu.

— Dlaczego, mój Andreio? Przecie żandarm nie chodzi zwyczajnymi drogami, nigdy nie brnie we własne tropy, lecz raczej, jak jaguar, ciągle musi być na cudzych. Przypomnij-no sobie, że nasze poznanie się nastąpiło także na niezwyklej drodze i rzeczywiście w nadzwyczajnych okolicznościach! \ — Tak jest, pamiętam, było to na przestrzeni pomiędzy rzeką Rio Itapocii, a górami Serra do Jaragua.

— Opuściwszy cię wówczas, sądziłem, że się zobaczymy dopiero na wielkim kongresie wszystkich narodów, kiedy w Rzeczypospolitej tamtego świata trąba archanioła ogłosi wspólne ruszenie zmartwychwstania.

— Nie chciałeś, panie wachmistrzu, czekać do tego czasu, ażeby wtedy dopiero przyaresztować hiszpańskiego zbira, który, zadawszy mi nożem trzy rany, uszedł w góry do Jaragua. Tak jest, pogoniłeś za hiszpanem, a zostawiłeś mnie umierającego bez pomocy żadnej w szczerym bom. Prawdziwie, cudem tylko ocalałem.

— Zrobiłem swoje — odrzekł Caldo — ponieważ porzuciłem jedną już zdychającą owcę, ażeby prę- dziej złowić krwiożerczego jaguara, który mógł inne żywe jeszcze dusić. Wiedz, mój Andreio, że ten sam hiszpan na tydzień przedtóm zgładził ze świata wybornego obywatela, golibrodę z Joinville, ponieważ go, równie jak i ciebie, uważał za swego rywala, a amanta swój żony, czy tam kochanki.

—Ob, ta hiszpanka była cudownie piękna!

—To prawda; ale dyabli wiedzą, po co on się z nią włóczył po świecie, dawał jej możność, ażeby kusila ludzi, których potóm przedziurawiał nożem, jak sita. Mam teraz jednak nadzieję, że hiszpan nieprędko na szerszy świat wyrzy, ażeby żandarmom zatruwać i tak już przykry żywot... Jego hiszpanka podstarzeje się tymczasem, zbrzydnie i nie będzie już ani dla innych pokusą, ani dla niego przyczyną zazdrości szalonój.

— A cóż się z nim stało?

— Za wyrokiem sądowym wysłano go na wyspę Fernando do Noronha, gdzie jest już tylu i takich

i zbrodniarzy, że choćby tam którego i oprawił swym Knożeni, wypadnie mu być za to raczj wdzięcznym, I" niż go prześladować.

— A gdzież się obraca ta jego żona, czy koehan- i ka, za którą tak szalał, chociaż go zdradzała?...

— No, może pomimo trzech szpar od noża, jeszcze | ci się jćj zachciewa? Mógłbym ci oddać przysługę Ki wysłać cię za nimi, bo wiedz, że i ona dobrowolnie I się udała na wyspę Fernando do Noronha.

— Doprawdy to bardzo dziwne! Przecież go I nieustannie zdradzała...

— Jego zdradziła dla kilku, ale kilku zdradziła \ znowu dla niego jednego. Mój Andreio, nie jesteś,

jak sądzę, Frycem, aby myśleć, że kobieta, podobna do tej hiszpanki, może przepadać za mężczyzną w cnoty katechizmowe. Jest to cała tajemnica owej t.miłości niewieściej, która się stała powodem tragicznej śmierci golibrody z JoinyiIle, twoich bolesnych ran, i która sprawiła, że ja prawie przez tydzień nie zsiadałem z konia. Ale co tam, to się jnz skończyło! Teraz oto opowiedz mi, co porabiasz i dokąd dziś podążasz; bardzo być może, iż wspólnie odbędziemy jakiś kęs drogi.

— Ja poluję — odrzekł Szmidowicz — obdzieram ze skór zwierzęta brazyliańskie, prowadzę tćm handel; obecnie zaś zmierzam ka rzece das Tijucas, posunę się ku jej źródłom i w tych okolicach zabawię przez czas dłuższy... Ale oto przedstawiam pana

wachmistrzowi mego towarzysza i rodaka, nazywa się Sobek Cierniak.

Caldo wyciągnął z konia rękę do Sobka, a kiedy chłop podał mu swoją, żandarm ją skwapliwie pochwycił, ścisnął i, nie wypuszczając, tak mówił:

— Pan Cierniak, Colono pollaco? A to prawdziwa dla mnie niespodzianka!...

I rzekłszy to, wachmistrz uprzejmie zwrócił się do Szmidowicza, prosząc, aby podczas rozmowy posłużył za tłumacza, poczem znowu prawił:

— Toć ja właśnie ciebie, panie Cierniaku, szukam a właściwie mówiąc, za pośrednictwem mojej osoby poszukuje cię sąd rzeczypospolitej! Prawdopodobnie jesteś człowiekiem nietylko niewinnym, lecz sprawiedliwym, jak sędzia; jednakże bez względu na to, sędziowie stanów zjednoczonych Brazylii pragną z ust twoich usłyszeć niektóre zeznania, dotyczące Mateusza Dzwonko, Mikołaja Dąbka i żony tego ostatniego. Ze swojej strony mogę ci, panie Cierniaku, zaręczyć, że zeznania takie nigdy jeszcze nie zaszkodziły niewinnemu człowiekowi...

Sobek, trzymany za rękę, stał przy koniu wachmistrza ze zwieszoną głową i słuchał tego, co mówił Caldo, a na polszczyznę tłumaczył Szmidowicz.

— Nie pochodzi to zapewne z twojej winy —■ ciągnął dalej wachmistrz — iż przypadkiem, szanowny obywatelu, posiadasz w swojej kieszeni pieniądze niemieckie i że przypadkiem jest tych pieniędzy

pięćdziesiąt sztuk w złocie, a dziesięć dużych sztuk srebrnych. Przypadkiem mówię: „przypadkiem” — <taką samą ilość pieniędzy uroniła Mikołajowa Dąbrowa, i oto sprawiedliwość, z powodu szczególnego przypadku, jest w kłopotcie, ponieważ gorąco pragnie uzasadnić prawne posiadanie przez ciebie owych pieniędzy, a bez ciebie uczynić tego nie może. Proszę cię, panie Cierniaku, o pozwolenie przeliczenia sumy pieniędzy, którą masz w kieszeni...

Sobek wahał się, nie wiedział, co ma począć; wtedy wachmistrz zwrócił się do swego towarzysza i mrugnął nań jednym okiem.

Joao natychmiast zeskoczył z konia, przetrząsnął kieszenie Cierniaka i znalezione pieniądze oddał Rachmistrzowi, który z kolei podał je Szmidowieżowi znowu, mówiąc:

— Andreio, przelicz, czy jest tyle, ilem wyliczył, zarazem przyznaj, jak dziwny jest nieraz zbieg okoliczności!

* — Dyabli nadali, żeś sobie złodzieja przybrał- za; towarzysza! — mruknął Andrzej.

— Wstydz się, Andreio! Jesteś zarozumiały, gdy wydajesz wyrok wtedy, kiedy sprawiedliwość jeszcze milczy! Pan Cierniak ma zupełne prawo wnieść na ciebie skargę do sądu za obelgę słowną.

k I teraz znowu wachmistrz mrugnął na swego to- parzysza jednym okiem. I Joao miał już pod kurtą przygotowane sznury

i w oka mgnienia, za ledwie Szmidowicz skończył przeliczanie pieniędzy, on już tak oplątał Sobka, że chłop był zupełnie obezwładniony.

— No, mój Andreio — rzecze Caldo — kiedy rzeczy wzięły tak niespodziewany obrót, to muszę bezzwłocznie zawracać. Żandarmowi zawsze pilno, bo jedna robota się kończy, a czynni ludzie już dla niego drugą przygotowują.

Powiedziawszy to, wachmistrz uściśnął rękę Szmidowicza, potem wydał rozkaz, ażeby Joao z Cierniakiem podążał przodem, on zaś sam ruszył ^stępa za nimi.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Miłość na poczekaniu.

W kolonii, n źródeł rzeki Itingi, jeden dzień był podobny do drugiego. Grzędzianka ciągle tu była czynna, jako naczelna gospodyni, z której łaski mieli wszyscy codziennie gotowaną strawę. Bartłomiej Kobylak, naprzemiany, to się modlił, to znowu drzómał. Wicek Strzała nie wzmógł się jeszcze i nie podźwi- gnął na nogi, po ranie, którą mu zadał jadowity wąż, jararaca. Felek Głodzikowszcak zastępował Wicka we wszystkich robotach na kolonii; ale, niestety, właściwy czas dla zasiewów już minął i należało czekać odpowiedniej pory. Murzyn Manoelo, nie opuścił ani jednego dnia, aby nie odwiedził kolonistów polskich.

Jednego dnia, bardzo wczesnym rankiem, Maryna |Wyświeżona, czyściutka, z parasolką w ręku, wybrała się do miasteczka, aby tam kupić różnych za-

pasów żywności. Porobiła sprawunki i z koszykiem pełnym wracała do domu, posilając się bananem. Nie dochodząc do gór, naraz spostrzegła, iż na drogę, po której szła, z bocznej jakiejś ścieżki wysunął się szczególny orszak: przodem biegł wielki pies, prowadzący dobrze objuczony konia, a za tą parą zwierząt postępował człowiek wysoki, w kapeluszu z dużym rondem i z dwiema strzelbami na ramionach. Zaniepokoiło to nieco Grzędziankę, gdyż sobie wyobrażała, że może mieć przed sobą jakiego rabusia.

Podróżny spostrzegł dziewczynę i zwolnił kroku, widocznie dlatego, ażeby się z nią zrównać. Kiedy, pełna obawy, nadeszła, on przemówił do niej po portugalsku, zapytując grzecznie: zkąd i dokąd dąży. Ponieważ Maryna nie rozumiała języka, przeto odpowiedziała po polsku:

— Nie rozumiem — i szła dalej w swoją drogę.

— Tak-że mi trzeba odrazu powiedzieć! — zawołał Szmidowicz, on to był bowiem. — Ja też żadnym innym językiem nie umiem rozmawiać tak dobrze, jak po polsku, chociaż mogę sobie poradzić i z Niemcem, i z Brazylijaninem, a od biedy rozmówię się i z Hiszpanem, i z Włochem.

— To pan widać jest Polakiem? — zapytała Maryna, z większą już ufnością spoglądając na nieznanego.

— Nigdy sobie tego nie uważałem za wielkie szczęście; ale teraz, kiedy się oto nadarza sposo-

tmość pomówić z tak piękną rodaczką, nie oddałbym dziś swojej polskości za żadną inną narodowość.

Na taki komplement Grzędzianka odpowiedziała miłym uśmiechem i tem zalotnym spojrzeniem, z którego zawsze można poznać, że kobieta nie tylko ośmiela mężczyznę do dalszej rozmowy, ale także do wyznań pewnych uczuć, jakie jej widok obudził.

Odrązu można było poznać, że Andrzej wiele obcował z płcią piękną i że posiada sztukę zjednywania sobie jej sympatii. Wielbiąc los, który mu pozwolił spotkać na drodze tak przyjemną towarzyszkę, odebrał od Maryny koszyk ze sprawunkami, zakupionymi w mieście i niebawem obarczył nim swoją szkapę.

— Nie mogę na to pozwolić — mówił — ażeby tak piękna osoba w mojej obecności gięła się i trudziła pod ciężarem jakichś tam pakunków.

— O o, to mi nic nie szkodzi — odrzekła Grzędzianka. — Przywykłam do daleko cięższej jeszcze roboty.

— To źle, jeżeli pani ludzie pracować pozwalają! Piękne kobiety przychodzą na świat nie po to, aby się zapracowywały.

— A po cóż?

— Ażeby je kochać, dawać im takie samo szczęście, jakie one dają tym, których pokochały.

— Ho, ho! Co też pan mówi!... To nie na kolonii, gdzie trzeba ludziom jeść warzyć i myśleć

o wszystkim, czego w domu potrzeba. Ja przecie nie jestem panią...

— Dalibóg, nigdybym nie pomyślał tego, że mam do czynienia z gospodarną mężatką. Wcale pani na taką nie wyglądasz,

— Bo też mężatką jeszcze teraz nie jestem; ale dopióro mam nią zostać — rzekła Grzędzianka z pewną dumą.

— Ja zaraz odgadłem, że nie mężatka, a z tego wszystkiego, co widzę, domyślam się, ilu to mężczyzn musi się starać, aby sobie zasłużyć na względy i nareszcie dostać klejnot taki.

— Pan sobie ze mnie żartuje! — odpowiedziała Maryna, a jednocześnie oddała Szmidowiczowi i za ten komplement nowym spojrzeniem zalotności pełnym, i nowym bardzo przyjemnym uśmiechem.

— Nie, nigdybym sobie nie darował jakichś żartów z kobiety, którą się tylko kochać powinno!

Grzędzianka nic nie odrzekła, a idąc w milczeniu, myślała, że przyszedł jej mąż, Wicek Strzała, chociaż jej okazuje swoje kochanie, ani razu jednak nie potrafił jej nigdy tak przemówić do serca, jak dzisiaj oto ten grzeczny podróżny.

— A ządze pan pochodzi? — spytała po chwili, ośmielając się coraz więcej.

Szmidowicz w krótkich słowach opowiedział dziewczynie przebieg swego życia, nie zamilczał nawet o znajomości z Sobkiem Cierniakiem i o przygodzie

z żandarmami. Zdziwił się zaś niemało, kiedy Maryna wyznała, że Cierniak pochodzi z tej samej wsi, co ona, i że go powszechnie uważano za złodzieja. Ta atoli okoliczność zdawała się czynić Andrzeja po- ufalszym względem Grzędzianki, gdyż ujął jej rękę, złożył na nią pocałunek i rzekł:

¹ — Śliczna panienko, któraś mi się jakby cudem zjawiała, zrób mi jedną wielką łaskę! :
— Cóż to takiego?

- — Pragnę oto przedłużyć czas pobytu obok swój 'pięknej rodaczki, więc proszę usilnie, ażebyśmy mogli wypocząć tutaj pod górą w cienistym lesie.

Prosił tak uprzejmie, wpatrywał się w jej oczy z takim uwielbieniem, że dziewczyna w głębi serca rz góry już przystała na propozycję; uważała jednak za stósowne okazać niejakie wahanie, więc rzekła: H— Oj, bardzo mi się spieszy, bo tam ludzie czekają na mnie, abym im zwarzyła obiad! lii |— Kiedy moja piękna rodaczka ma litość nad głodnymi, niechże ją ma i nademną l i Szmidowicz znowu pocałował Grzędziankę w rękę i spojrzał na nią błagalnym wzrokiem. Oboje w tój chwili przystanęli; ona także na niego spojrzała, j&biegły się ich spojrzenia, rzekłbyś — oko w oku ptonęło.

Teraz Maryna w odpowiedzi na prośbę spokojnie ■usiadła, a tuż przy niej spoczął na trawie Szmidowicz, zachwycony dziewczyną.

K"-A Dygasiński. Na złamanie karku. 20

Pies szedł jeszcze ciągle, prowadząc konia za sobą, naraz obejrzał się i, gdy spostrzegł, że pan jego usiadł, przystanął, a wzrokiem zdziwionym zdawał się zapytywać: Cóż to znaczy taki niezwykle wypoczynek?

Czy może należy pociągnąć bułanka i iść z nim dalej, jeżeli tu wszelki świadek jest zbyteczny?

— Matto, pójdź tu! — zawołał Andrzej, a gdy się pies zbliżył wraz z koniem, pan go zwolnił, odwiązując od cugli uzdy.

Bułany począł natychmiast chciwie rwać trawę, a Matto legł u stóp pana i Maryny.

— Powiedz-że mi, piękna panienko, jakie jest twoje imię, nazwisko i jakim sposobem znalazłaś się w tych mianowicie borach, gdzie, o ile wiem, kolonie stanowią rzadkość.

Dopiero Maryna zaczęła z kolei rzeczy wymownie opowiadać losy swoje własne i emigrantów z Rokitnicy. Utyskiwała nad tem, że jest na świecie sama jedna i że każdemu łatwiej, aniżeli jej, na takiej emigracji.

Podczas całego owego opowiadania Szmidowicz trzymał jej rękę w swojej i częstokroć zbliżał ją do swych ust, składając coraz to gorętsze pocałunki.

Siedzieli tak pewnie ze dwie godziny.

W lesie dokoła nich odzywały się: arapongi, guachos; śpiewały bentevi, sanha-su, siriri i sabie; w górze skrzeczały przelatujące papugi, lub tukan pokan

okrzyknął krótko „rak”; bujały świetne połyskujące, bejaflosy. Ale zawołany łowca nie pomyślał nawet żeby opuścić swoje stanowisko i gonić po lesie, choćby za najosobliwszą zdobyczą; wdzięki dziewczyny, pocałunki, uściski, tak go odurzyły, że nie wiedział, co się dokoła działo.

Pierwsza Grzędzianka porwała się nareszcie, popatrzyła na słońce i rzekła:

— Oj, gwałtu, toć oni mnie tam przeklną, że do tego czasu są bez obiadu! Siedzę sobie, jakby nigdy nic, a wszystko w domu na Boskiej opiece...

I: — Za te wszystkie ich przekleństwa ja cię kocham! — odrzekł Szmidowicz.

Widocznie nie był syt jeszcze pieszczot, bo objął Marynę wpół, nachylił się ku niej i na ustach złożył •dłgi pocałunek. Tym razem ona także lekkim pocałunkiem go obdarzyła i chciała copędzej odejść.

— Czy się spóźnisz pół godziny, czy całą godzinę, wszystko to jedno — mówił Andrzej, tuląc ■dziewczynę do swój szerokiój piersi.

Było jćj zapewne dobrze, skoro pozostała jeszcze •czas jakiś.

— A dokąd pan teraz pójdzie? — spytała, patrząc mu w oczy cała zapłoniona, a w swych oczach miała dziwny połysk, który im tylko jedna miłość zdolna jest nadać.

f. — Pójdę z tobą do kolonii, odprowadzę cię, pój-

20*

dę wszędzie, gdzie będziesz chciała! — wyszeptał Szmidowicz.

— Ee, nie, nie!... Na kolonie nie możemy iść razem! Jeżeli pan chcesz odwiedzić nas na kolonii, to trzeba, żebyś przybył sam nad wieczorem i tak...

— I tak, jakbyśmy się oboje wcale nie znali. Rozumiem to!... Doskonale! Dzisiaj wieczorem przybędę więc tak, jakby przypadkiem. Nie przeszkadza to, że, mając dosyć czasu do wieczora, zapoluję tymczasem i przyniosę wam świeżęj zwierzyny na wieczerzę.

Grzędzianka zabrała teraz swoje sprawunki i puściła się ku kolonii. Andrzej ciągle na nią spoglądał, a ona odwracała niekiedy głowę i widziała, że jej z oddalenia ręką przesyłał pożegnalne pocałunki.

Zaledwie Maryna straciła z oczu Szmidowicza i szła teraz pospiesznym krokiem, gdy na skrócie drogi, z pomiędzy gnącej się w łuki trzciny takuare, wyszedł Manoelo. Murzyn odebrał od dziewczyny koszyk ze sprawunkami i gestami dawał jej do zrozumienia, że na kolonii wszyscy się niepokoją, z powodu opóźnionego powrotu jej z miasteczka. Musiał on spostrzedz coś niezwykłego w fizyognomii Grzędzianki, ponieważ kilkakrotnie przyglądał się jej nadzwyczajnie uważnie.

Skoro przybyła do kolonii, dowiedziała się zaraz od Felka, że murzyn zaledwie zdołał powstrzymać

Wicka od powstania z łóżka; Strzała bowiem znał dobrze odległość kolonii od miasta i nie umiał sobie wyjaśnić opóźnienia Maryny inaczej, jak tylko przez przypuszczenie nadzwyczajnego wypadku.

W odpowiedzi na to wszystko, Grzędzianka wy- bucnęła gniewem:

— A cóż wy sobie myślicie, że ja tu w niewoli u was jestem? Za dziewięćcioro pracuję i o wszystkich myślę, a wy mnie żadnej folgi dać nie chcecie? Cóż & tego, że u siebie w mieście dłużej posiedziała? Mogłam przecie zajść do kościoła, popatrzeć na ludzi!... Czy mi to nie wolno?...

Nafukała się do woli, nakrzyczała, a nikt jej je- dneu słówkiem nie odpowiedział. Strzała słyszał wszystko w izbie, co Maryna mówiła, ale się też nie odezwał, tylko mu było okrutnie markotno i pomrukiwał:

— Za to, co się tu trapił, żeby jej się jaka bieda nie przytrafiła na drodze, ona teraz wrzeszczy i wymyśla. Baba zawdy będzie babą!...

ROZDZIAŁ XXXIV.

Fanaberye Maryny. — Gość na kolonii.

Grzędzianka ugotowała obiad i obdzieliła bardzo dziś głodnych mieszkańców kolonii polskicj; ale ciągle była gniewna, roztargniona i wszystkim dawała uczuwać swe niezadowolenie. Pies Wicka, Zabój, nie dostał tego dnia zwykłej porcyi obiadowój, więc się nieustannie nastroczał gospodyni, chcąc jej przypomnieć to zaniedbanie. Maryna najprzód go za to kopnęła nogą, a gdy jćj pies znowu wszedł w drogę, porwała polano i dobrze go nićm poczęstowała. Zabój, głodny i pokrzywdzony, odszedł na bok, przysiadł, lizał bolącą okolice swego ciała i czasem od niechcienia spoglądał ku Grzędziance, sądząc, że jej niełaska przeminie, a on dostanie wtedy swoje.

Coś i porządek około naczyń gospodarskich lada- jako zbyła Maryna; ale za to, chociaż się już była

bardzo pięknie wystroiła dziś rano do miasta, teraz jeszcze sobą się zajęła i w ubraniu poczyniła niektóre dodatki. Ponieważ Grzędziankę znali wszyscy jako elegantkę, więc na jej strój nie zwracano uwagi- Jeden tylko Manoelo, którego zawsze uderzały jaskrawe barwy i świecidełka, zaledwie okiem rzucił na Marynę, zaraz zauważył, iż sobie włosy spięła świecąca szpilką, przy której na złocistym łańcuszku :wisiała szklana bombka, naśladowująca dużą perłę; niemniej spostrzegł, że w sukni około szyi przybyła kreska z różowego tiulu, przeszywanego złotymi nićmi, a na piersi spadał jakiś medalionik, zawieszony na ciemno-szafirowej wstążeczce.

Murzyn obszedł wkoło Grzędziankę, która siedziała przed cbatą na pniu drzewa i coś szyła, a potem ruchami rąk swoich pokazywał jej te niezwykle upiększenia, cmokając ustami na znak, że w tym stroju dziewczynie było bardzo do twarzy.

Spostrzeżenia owe nie przypadły widać Marynie do smaku, gdyż z góry wsiadła na Manoela i porządnie mu naklęła; on wprawdzie nie rozumiał tych polskich obelg, jednak z zaperzonej twarzy, z wyrazu gniewnie połyskujących oczu, od razu odgadł, że Obraził dziewczynę i niezmiernie się zdziwił, ponieważ bynajmniej tego nie pragnął. Podobno jak pies, murzyn odszedł na bok i, włożywszy ręce w kieszenie, przyglądał się drzemiącemu pod ścianą Kobylakowi.

Było jeszcze zupełnie widno, a Grzędzianka już roznieciła ognisko i zabierała się do gotowania wieczery. Felek zrobił jej uwagę, że jeszcze jest sporo czasu do zachodu słońca, za co go ofnknęła:

— Widzicie wy, tego tylko brakuje, żebym takich głupich smarkatych miała słuchać!... Nosa swego pilnuj, a do mnie się nie wtrącaj !

Głodzikowszczyk potajemnie uwielbiał Marynę i Strzała słyszał raz nawet, jak Felek w nocy przez sen o niej mówił, więc taka obelga z ust uwielbianej istoty dużo przykrości sprawiła chłopakowi.

Dostało się tym razem Bartłomiejowi, który, od- drzemawszy swój czas, zaczął odmrukiwać pacierze; ale mu nagle przyszła jakaś myśl do głowy, podniósł się przeto przy pomocy łaski, przystąpił do Maryny i tak mówił:

— Maryś, moja ty, jak przyjdzie czas majowego nabożeństwa, to tu musimy ołtarzyk wyrychtować!... Ja tu mam śliczny obrazek z Matką Bożką Częstochowską, trzeba tylko, żebyś zrobiła firaneczki bie- Insieńkie i obrusik z falbankami. Widziałem u ciebie kiedyś takie paradne łaszki, tobyś z nich mogła zrobić chorągiew i na tej chorągwi wyszyć „Najsłodsze imię Jezus...”

Stary tak prosił, a ona mu nie odrzekła ani słówka, jeno się zajmowała przystawianiem garnków do ognia.

Kobyłak przystąpił bliżej, wyciągnął drżącą rękę i pogłaskał Grzędziankę pod brodę, mówiąc:

— Mojaś ty, jakieś dobra, uszyj-że, uszyj ! Bo mi się okrutnie cni bez nabożeństwa...

Grzędzianka uchyliła na bok głowę, jakby chciała uniknąć pieszczot starowiny, ręka jej drgnęła i przewróciła jeden garnek wody, zalewając ognisko.

— A bodaj to dyabli nadali — krzyknęła Maryna. — Idźcież sobie, stary, do licha ciężkiego!... Nie zawracajcie mi tu głowy, nie głaskajcie mię, bom nie pies.

— Dyabli, dyabli! —zawołał starzec z trwogą w oczach, gdyż ten jeden tylko wyraz wpadł ruu wyraźnie do uszu. — A cóż ty, kobieto, najlepszego robisz? Nieprzyjaciela Pańskiego z imienia przyzywasz?... Wszelki duch Pana Boga chwali! O Jezu, iwy Aniołowie Stróżowie, czuwajcież też miłościwie nad duszami naszymi grzesznymi, ażeby nie popadły w moc czarta! Święta Boża Rodzicielko, módl się za nami teraz i w godzinę śmierci naszej — amen!

- Z temi słowy przerażony starzec odskoczył od ogniska, jak mógł najprędzj, i wkrótce potem głosem cichym, drżącym, śpiewał: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”.

Grzędzianka gotowała wieczerzę, a od czasu do czasu oczy jej z jakimś niepokojem mimowolnie zwracały się w kierunku drogi, wiodącej do miaste-

czka, jak gdyby z tamtej strony wyczekiwała czyjegoś przybycia.

I pies Strzały jakoś się niepokoił: często zwracaj; oczy w jedną stronę, nastawiał uszy, nasłuchiwali niekiedy warknął przeciągle; nareszcie, gdy raz i drugi głośniejsze szczeknął, Maryna pogroziła mu zdaleka polanem, co go raczej zadziwiło, niż uspokoiło. Powstał ze swego miejsca i odszedł dalej, jakby się chciał odsunąć od gniewnej gospodyni. Ale teraz się już nie kładł, nie przysiadł, tylko wznosił do góry ogon i pazurami począł ziemię drapać, niby przygotowując się do jakiejś walki. Naraz posko- czył, wydał głos, przypominający nawpół szczekanie, nawpół wycie, jeszcze bystro przed siebie patrzył, nasłuchiwał, a potem się pędem rzucił ku lasowi, zajadle szczekając. Zaledwie wściekły wypadł na ścieżkę, gdy ujrzął idącego z przeciwnej strony ogromnego srokiego psa, który prowadził za sobą konia. Zabój niedługo podziwiał ten osobliwy zaprząg, lecz odrazu rzucił się z natarczywością do nieznanego sobie przybysza i zuchwale chwycił go zębami za gardło. Rzecz prosta, iż Szmidowicz to właśnie zdążył do kolonii polskiej, stosownie do swojej poprzedniej umowy z Maryną; ale szedł on z tyłu w odległości jakich dwudziestu kroków od psa i konia, ponieważ upolował był jelonka i ciągnął go własnemi rękoma, nie mogąc obarczać swej szkapy.

Napadnięty niespodziewanie Matto, niezawodnie

byłby niebawem pokonał i surowo skarcił Zabój a, cóż kiedy wściekła napaść nadzwyczajnie przestraszyła konia: bułanek, strwożony, rzucił się gwałtownie w krzaki, ciągnąc za sobą przywiązanego do cugli patyczkowego swego przewodnika, który, naturalnie, nie mógł należycie stawić czoła.

Zrobił się ogromny zamęt i harmider. Matto, ciągnięty z jednej strony przez szkapę, z drugiej zaciekle szarpany przez psa Strzały, upadł na ziemię.

Teraz ciała obu psów utworzyły jedną ruchomą masę, ponad którą chrapał i rzucał się, jak opętany, uwikłany cuglami w krzakach bułanek.

- Manoelo i Felek z kolonii nadbiegli, zobaczyć, co znaczy ten alarm, który daleko rozbrzmiewał po lesie; §| przeciwnej znowu strony nadbiegł Szmidowicz, który przede wszystkim przeciął nożem sznur, przywiązujący kark psa do cugli uzdy i sprawiający, że koń nie miał żadnej swobody ruchów, a Matto był bliski uduszenia. Dokonawszy tego dzieła, Andrzej począł rozbrajać oba psy, strasznie rozjuszone. Ale ^niełatwo mu to przyszło uczynić, gdyż Matto wyzwolony raz od sznura, chciał się teraz pomścić za doznane krzywdy i niebawem wziął górę nad przeciwnikiem: łapami przygniótł go do ziemi, a strasznymi zębami przypiął się do jego skóry, którą szarpał bez litości.

fe - Szmidowicz pochwycił za kark jednego psa prawą ' ręką, drugiego lewą i z niemałym wysiłkiem rozłą-

-ezył te rozwścieczone zwierzęta; kolejno podnosił nawet w górę to Zaboja, to Matto. Atoli zaledwo z rąk popuścił psa Strzały, zalecając murzynowi, aby go przytrzymał i nie dopuszczał dalszój walki, kiedy Zabój, cały krwią zbroczony, rzucił się zajadle, a nie spotkawszy swego przeciwnika, dopadł do nogi jego pana i zadał mu dotkliwą ranę.

Teraz już Głodzikowszcak i Manoelo oskoczyli Zaboja, pochwycili na sznurek i zdała trzymali, podczas gdy Szmidowicz nakazał swemu psu spokoj-. ność, a hulanka wziął za cugle i wolnym krokiem zdążył ku kolonii.

Panowało tutaj wielkie zdziwienie, kiedy nieznajomy wędrowiec, który dotychczas z murzynem mówił tylko po portugalsku, naraz począł rozmawiać po polsku.

Jak tylko Andrzej pojawił się na kolonii, zaraz ustąpił, jakby ręką odjął, zły humor Maryny; nie gniewała się ona już teraz na nikogo, owszem, okazywała każdemu uprzejmość, a gościa podejmowała jak tylko mogła najlepiej.

Szmidowicz odwiedził Wicka Strzałę, jako głównego gospodarza kolonii, obejrzał jego ranę i dał, mu jakąś skuteczną maść, którą, jak powiadał, •oddawna używali w takich wypadkach indyane, dzicy mieszkańcy dziewiczych lasów Brazylii.

Ale nieznajomy przybysz zjednął sobie na kolonii, •oprócz Grzędzianki, jednego tylko Głodzikowszczaka.

^m

si7

| Manoelo przyglądał mu się z jakąś podejrzliwością, Kjypając ciągle białkami swych oczu. Kobyłak znowu Kftdrazii sobie zmiarkował, że wypomnienie przez Ma- | rynę imienia dyabelskiego i przybycie na kolonię tak ^Bógadkowego gościa, nastąpiły prawie jednocześnie, | a zatem pozostają one prawdopodobnie w przyczy- | nowym związku.

Ta myśl, że szatan w ludzkim przebraniu mógł Kjię wdrzeć na kolonię, zaniepokoiła mocno pobo- L znego staruszka.

Kiedy więc po wieczery Szmidowicz wydobył bu- p telkę kaszasu, sam pił i częstował Marynę, Koby- R laka, Manoela i Felka, wówczas stary ze zgrozą się ^ odwrócił, a Głodzikowszczakowi dał znak ruchem .głowy, aby na bok odszedł.

' — Jeszcze młodziak jesteś — mówił do Felka — to nie możesz wiedzieć, że nieprzyjaciel boski i ludz- 1 ki czatuje na niewinne dusze, a niczym łatwiej nie mskusi, jak gorzała... Cóż- to to za jedno przyszło do Knas? Zkąd się wzięło?... I z nami, i z murzynem »no trafi się rozmówić; czyby on to umiał bez nieczy- jstej siły?... Słuchajno Felek, pewnikiem tyś jeszcze nie nabroił, nie nagrzeszył na świecie, to taki może tu na ciebie mićć chrapkę, strzeż-że się! Osobliwie, że w tych tu borach ani nabożeństwa, ani Sakramentu człek nie użyje.

t — Oj gwałtu! — zawołał Głodzikowszczak i aż się za głowę chwycił obiema rękoma, tak go uderzyły-

trafne uwagi Bartłomieja. — Juści on do człowieka ani krzyny nie podobny! Ślepie mu się jakoś tak osobliwie iskrzą, a na skórze cały obrósł, nikiem w wilcze kudły.

— Wielka szkoda, że tu niema święconój wody! — powiada Bartłomiej. — Zarazbyśmy go ztąd wyświęcili... Takiego dosyć pokropić, sparzy się i zaraz sobie pójdzie tam, zkąd przyszedł... Ale ty, Felek, pamiętaj prosić przed snem o opiekę nad sobą Anioła Stróża.

Starzec odszedł, modląc się gorąco, a Głodzikow- szczak stał zdaleka, przyglądał się, jak Andrzej, Maryna i Manoelo wesoło pili kaszas. Kusilo go, nie mógł się oprzeć pokusie, bo sobie pomyślał:—Jakby Maryna poszła do piekła, to jabym też z nią poszedł.

— Manoelo po trzeciej czarce kaszasu był już zupełnie pijany, powalił się na trawie i począł chrapać.

Felek podszedł do biesiadujących, a gdy mu Andrzej podał czarke z wódką, wydawało się chłopakowi, iż pije piekielną smołę.

ROZDZIAŁ XXXV.

Dwie nocy i dzień.

I Nikt na kolonii nie wiedział ani się nie domyślał, że Szmidowicz i Maryna ułożyli sobie nocną schadzkę, i kiedy już wszyscy twardym snem zasypiali, oni bawili się w najlepsze.

| Cóż warta miłość przy świadkach, zwłaszcza gdy są powody, aby ją ukrywać?...

Aż niema nic łatwiejszego, jak utaić przed okiem ludzkim wylewy uczuć dwóch serc, będących dla siebie, w tych pierwotnych lasach Brazylii. ' Odeszli paręset kroków od chaty i już gęsty bór Nieprzeniknioną zasłoną otoczył tajemnicę ich szczęścia.

Ciepła podzwrotnikowa noc, dysząca upajającą Wonią kwiatów, z konstelacją Srebrnego Krzyża na Jnebie, z miriadami świetlików na ziemi, przeszła im szybko i dopióro świtanie ich spłoszyło.

Rano, jak zwykle, Maryna spełniała obowiązki gospodyni, a Szmidowicz oświadczył, iż po południu zamierza opuścić kolonię; tymczasem odwiedził chorego Strzałę, opowiadał mu, jak sobie to radzą różni koloniści w Brazylii, i zalecał, ażeby bez zwłoki zasiać pole kakarydzą, fasolą.

. — Pora wcale nie jest jeszcze zbyt spóźniona — mówił — grudzień, to dopiero pierwszy miesiąc lata, deszcze padają tutaj często, a gorąca trwają nieraz do końca maja i wszystko dobrze dojrzewa wtedy. Niema żartów, śpieszcie się, bo jak was bieda raz weźmie za kołnierz, nigdy jej już rady nie dacie!

Przedstawiał też Wickowi, że kolonista w Brazylii, jeżeli nie ma żadnych zasobów, musi się przygotować na parę lat strasznie ciężkiego życia; jednakże, gdy kto przetrzyma i przywyknie do miejscowych warunków, to potem już mu lżej z każdym rokiem. Strzałę wyrzekał, skarżył się na takie gospodarstwo, którego chłop polski nie rozumie; utyskiwał, że go oto zwaliła choroba, i noga, spuchnięta jak kłoda, ruszyć mu się z miejsca nie pozwala.

— Nie mam się na kogo spuścić, nie mam się kogo poradzić—mówił—wyrezy mię chłopak co go to wszystko niewiele obchodzi, a radę mi daje murzyn, dobre człowieczysko, jeno sam próżniak i dogadać się z nim trudno...

— Rady murzynów na nic, kiedy chodzi o robotę w gruncie; z tych ludzi nigdy nie będzie kolonistów.

Żyją oni jakbądź, byle tylko nic nie robić. Prawda, że mnie źle poszło na kolonii, ha, bo nie miałem wy- . trwałości, bo mi taka robota nie pachnie; ale kto dotrwa, kto w ziemi grzebać lubi, ten się z czasem wy- • robi, w kilka lat wypłaci się rządowi i zostaje właścicielem kolonii.

Wicek wziął do serca uwagi Andrzeja, zaraz przyzwał Felka i polecił mu, aby tego samego jeszcze dnia obsiać pole kukurydzą, czarną fasolą.

- — Nic nie uważaj na to, jak ci murzyn będzie mówił, że spóźnione, bobyśmy tu przy jego radach wykierowali się na dziadów.

"" Szmidowicz poszedł z chłopakiem w pole i tam go Vnauczył, jak należy postępować, ażeby porządnie do końca zasiewów.

Ale wszystkie te zabiegi Andrzeja nie zjednały mu jednak zaufania Kobylaka. Stary zachodził do Wicka i, przemawiając ogródkami, ostrzegał go o niebezpieczeństwie sideł piekielnych, ukazywał potrzebę opieki Boskiej, ażeby człowiek nie popadł w moc szatana, f. Strzała przywykł już był do tego, że Kobylak -ciągle rozprawiał o rzeczach nadzwyczajnych, więc go wysłuchiwał pobłaźliwie, a w końcu się już znecierpliwiał i powiada:

— Dajcież pokój, ojczy, nie siejcie tu strachu między nami! Gdzie w tej naszej biedzie mają komu przychodzić do głowy pokusy ?

A. Dygattóski. Na złamanie karko. 21

Manoelo, wypawszy się w szalasie, wstał bardzo rano i poszedł odwiedzić swoją kolonię; ale tam nie mógł coś długo wytrzymać, więc wnet powrócił do emigrantów: ciągnęły go tu zapewne zapasy kaszasa u Szmidowicza. Murzyn zdziwił się bardzo, widząc, iż na kolonii polskiej rozpoczęto zasiewy, którą to pracę uważał za straconą.

— Lepiejby zrobili—rzekł do Andrzeja—gdyby zjedli te nasiona, zamiast je wrzucać w ziemię.

— Nie bałamuć, przyjacielu, ludzi, i nie narażaj ich na biedę — zawołał Szmidowicz.

— Eh, jakie to tam moje bałamucenie!... Twoje zupełnie inne, bo zawróciłeś głowę kobiecie... Ho- ho, dobrze ja widzę, że ona cię pokochała! No, poczęstuj mię swoim kaszasem !

Andrzej nie odrzekł na to ani słowa, miał minę taką, jak gdyby nie rozumiał, o co chodzi; murzyn atoli otrzymał od niego suty podarunek, bo prawie pół butelki kaszasa, i wnet spił się, jak bela.

Było już zapewne koło godziny szóstej po południu, kiedy osobliwy gość pożegnał swoich rodaków, poczem opuścił kolonię.

Za odchodzącym spoglądał zdaleka Kobylak, ręką robił w powietrzu znak Krzyża świętego, to znowu wywijiał swoim poświęcanym różańcem, a ciągle podszeptował jakieś zaklęcia.

Manoelo bo nawet nie był w stanie pożegnać się ze Szmidowiczem: chrapiąc rozgłośnie, spał pod

ścianą chaty z nawpół otwartymi oczyma, z rozwarte mi i zaślinionymi ustami.

Nadszedł wieczór, każdy znowu robił swoje życie emigrantów weszło na zwykłe tory.

Ale po wieczery, kiedy już wszyscy udali się na Spoczynek, Maryna sama jedna czuwała jeszcze przy ognisku. Najprzód siedziała czas jakiś z założonemi rękoma, wpatrując się w ogień; potem wstała, pozносиła rozmaite swe stroje, przetrząsała je, składała starannie, nareszcie wszystkie te rupieci spakowała i związała w prześcieradło.

Już się na dobre rozlegało chrapanie śpiących, gdy Grzędzianka obwinęła sobie głowę chustką, wzięła na plecy pakunek z rzeczami, przeżegnała się Iruszyła z przed gasnącego ogniska. Szła po tej drodze, która wiodła do miasteczka.

Po półgodzinnój może podróży dobrym krokiem, Maryna znalazła się na tómsamem miejscu, gdzie wczoraj, wracając z miasteczka, wypoczywała była obok Andrzeja tak przyjemnie, że się spóźniła z o- biadem. On czekał już tutaj na nią i przywitał ją, -mówiąc:

— O, to dobrze, moja Marysiu, żeś przyszła!... Co prawda, bałem się trochę, czy cię tam na kolonii nie zatrzymają...

■ — A cóż mię mieli zatrzymywać? Co im do mnie? Nie jestem przecie niewolnicą. Nietylko w nocy, ale

w szczyry dzień mogłam sobie iść, dokąd mi się podoba.

Andrzej wziął na siebie tobołki Grzędzianki i, gwarząc z cicha, poszli dalej.

W dobrą godzinę potém przybyli znowno do miejsca, gdzie bułanek, należycie już widać napasiony, położył się w bujnej trawie i wypoczywał, a niedaleko od niego, nastawiając uszy na wszystkie strony, czuwał Matto przy ładunku, który mu pan oddał pod opiekę.

Grzędzianka wypoczęła tu sobie cokolwiek, Szmidowicz zaś tymczasem objuczył konia pakunkami i tak samo, jak poprzednio, dał mu psa za przewodnika.

Teraz zwrócili się na lewo od miasteczka S. Joao Baptista dos Tijucas, podążając ku rzece Rio Bigu- assú, która ma źródła na koloniach świętej Izabeli.

Można sobie wyobrazić, jakie to zdziwienie ogarnęło nazajutrz pozostałych na kolonii polskiej emigrantów, kiedy rano spostrzegli, że między nimi brakuje Maryny.

Do chorego Strzały piórwszy Felek z tą wiadomością przybiegł i rzekł z przejęciem:

— Oj, co też się porobiło! Dziwne rzeczy, ledwie wiarę temu dać można!

— Cóż znowu nowego?—pyta Wicek—murzyn się pewnie upił, hę?

— Ej, toby przecie nie była żadna dziwota! Ale oto Maryna przepadła gdzieś bez śladu.

—Głupie gadanie, gdzieby miała przepaść!... Poszła może do rzeki prać chusty i wróci.

—Ale, ale, jużem ja wszystko spenetrował! Już ona nie ma ochoty do nas wracać, skoro wszyscy- tkie szmaty co do strzępka, całe swoje ubleczenie Z domu wyniosła. No, a Bartłomiej powiadają, że ten człowiek, co tu u nas był wczoraj, rzucił na Ma- rynę jakiś taki urok i poleciała za nim na zatracenie. Pono nieczystą siłę miał w sobie i przez to ją skusił.

Wiadomość ta zrobiła na Strzale bardzo przykre wrażenie, jednak widocznie nie chciał dać poznać wobec chłopaka, że tak było, bo odpowiedział:

— I pocóż robisz tyle rwetesu ? Jak tu Marynie ile z nami było, to nie żadne dziwy, że poszła na lepsze. Niech sobie idzie z Bogiem! Czy to mus jaki, żeby z nami na tej pustce odsiadywała ?

Ale swoją drogą w duszy sobie pomyślał:

Rozkoszy u nas niéma nijakiej, może jćj gdzieindziej będzie lepićj, jeno mogła się była przecie pożegnać z ludźmi, a ona odeszła, jak od wrogów, ij, Wkrótce za Głodzikowszczakiem wszedł do izby Kobylak; był on nadzwyczajnie zmieniony i przestraszone oczy rzucał na wszystkie strony.

—Ha, no — powiada — skończyło się! Dostała się w moc jego, przepadła! Zwyczajnie, przez kobietę grzech na świat przyszedł... Dusza jćj teraz

znikąd ratunku mieć nie może; już nie pomogą ani msze święte, ani pacierze żadne.

— Nie wygadujcież, mój Bartłomieju! — rzecze Strzała. — Takiej prościej rzeczy nie rozumiecie, że Maryna poszła za chłopem i koniec!

A po cichu sobie dodał:

— Myślałem, że ona się tu na kolonii zmieniła, a tymczasem jak była nicpotem, latawiec, taką widać już zginie.

Bartłomić wybałuszył oczy, patrzył na Wicka i pyta:

— Coś ty powiedział?

— Powiedziałem, że Maryny nie skusił żaden bies, tylko jej się spodobał ten polak, co tu wczoraj był na kolonii i poszła z nim.

Stary potrząsnął głową niedowierzająco.

Właśnie przybył i Manoelo, popatrzył na zebranych, a potem, posługując się ruchami rąk, oczu, ust, zaczął nadzwyczajnie żywo przedstawiać, że Szmidowicz i Grzędzianka pokochali się bardzo; następnie dał do zrozumienia, że kiedy kobieta kocha męż. czyznę, to się temu nikt nie powinien dziwić.

— No, no, co się stało, to się nie odstanie! — powiedział Strzała. — Najgorsze to, jak się teraz urządzimy, żeby żyć; bo juści dla tego, że jedna baba odeszła, inni nie mogą z głodu pomrzć!

Nie było się tu co namyślać, gdyż tylko jeden Fe-

ROZDZIAŁ XXXVI.

Dzieła wojenne.

Luis Ferreira de Saltes wcale się nie zadowolił objaśnieniami, danymi przez wachmistrza Galdo, i bynajmniej się nie uspokoił w swych obawach buntu, tembardziej, że Sauer mann i tłumacz twierdzili, jakoby wachmistrz bardzo lekkomyślnie, powierzchownie tylko, traktował sprawę powstania chłopów.

Oficer rozłożył się biwakami około baraków rządowych na górze, gdzie dniem i nocą rozstawiał pikiety, jak gdyby w oczekiwaniu napaści,

Z dołu, od strony baraków emigranckich, do uszu jego dochodziły nieraz rozgłośnie swary i przekleństwa bab, chłopów; wtedy przyzywał on dozorcę, jego pomocnika, tłumacza, mniemając, że krzyki takie są odgłosami niezadowolenia buntowników.

Czasem też rozlegały się wesołe pieśni, które nań -również źle oddziaływały: myślał on sobie, że dobry Sumor w szeregach zbuntowanych emigrantów jest -dowodem otuchy raczej, aniżeli obawy na widok #iły zbrojnej.

W odpowiedzi na to, de Saltes zalecał swoim ^murzynom, ażeby śpiewali groźne wojenne marsze "brazylikańskie.

,/ Tak przeszła noc i prawie cały dzień, kiedy przed -samym wieczorem nadciągnęły z Desterro posiłki w ilości dwudziestu zbrojnych piechurów z oficerem na czele.

Dwaj wodzowie złożyli teraz wojenną naradę, ce- ilem obmyślenia dalszych skutecznych kroków, i postanowili rano o samem świtaniu wysłać do chłopów parlamentarza, a to dla zbadania, czy buntownicy przypadkiem nie poddadzą się dobrowolnie.

Co się tyczy chłopów, ci nie uważali bynajmniej ■^czynów swoich za jakieś nadzwyczajne przestępstwo ■i zdziwili się niepomniernie, gdy ku nim szedł podoficer z białą chustką na bagnecie, a towarzyszył mu tłumacz z głową obwiązaną także w białą chustkę i bębniarz, który, idąc przodem, walił z całej siły "w bęben.

Ef— Jużci oni pewnikiem po to bębnią, żebyśmy się ^zebrali — powtarzali zewsząd emigranci. — Musi pomiarkowali sobie, co u nas ostatnia bieda, i może najn przecie zapomogę jaką dadzą.

Ze wszystkich więc stron zbiegali się chłopci, baby, dzieci i tłumnie poczęli otaczać owych wysłańców, zaniepokojonych tem, co się dzieje. Wtedy tłumacz, Niemiec z pochodzenia, wystąpił naprzód, powiódł po tłumie niespokojnym pełnym podejrzliwości wzrokiem, i tak przemówił:

— Pan kapitan, Luiz Ferreira de Saltes, w imieniu rządu Rzeczypospolitej zapytuje was, koloniści polacy, czy chcecie nadal używać swobód i dobrodziejstw, jakimi Rzeczpospolita obdarza swoich obywateli?...

Jeszcze nie skończył swej przemowy, gdy jakiś chłop na cały głos zapytał innego, stojącego obok:

— Jacyście, czy wy rozumiecie, co on takiego wygaduje?

— Niesobliwie ta rozumiem — odrzekł zapytany. — W tym, co on baje, może być połowa łgarstwa, czego u nich zwyczaj; ale tylem pojął, że on od rządu pyta, czy chcemy swobody i dobrodziejstwa.

— A no, to Kasper dobrze powiada, co oni nam koniecznie dadzą jakąś folgę w tej biedzie! — I zaraz huknął na całe gardło: „Chcemy, chcemy!”

Teraz już ze wszystkich ust rozległ się jednogłośny okrzyk:

— Chcemy, chcemy, chcemy!

W ślad za tem poczęły się wysuwać baby, przedstawiając rozmaite żądania.

k — Od tego czasu, jakeśwa z Polski wyszli — mówiła któraś — dziewczynina moja chodzi oto- w jednej jedynej koszulinie, a chłopakowi znowu •portczęta na nic się rozlazły... Niechżeby na początek choć ze trzy milrejsy dali, tobym dzieckowiny jak- bądź ogarnęła!

Jeszcze ta kobieta nie ustąpiła, a już inna, z opu- chniętem dzieckiem na rękę, rzuciła się przed podoficera, wołając wśród łez i szlochów:

— Toć człeka rozum odejść może! Dziecina mi się na nic schorowała: niebożatko moje, ani ono je, ani pije, smutne takie, ciągle tylko popłakuje, a mnie gftieszczęśliwój aż się serce kraje!... Cóżeście też za Indzie w tej Bryzoli! nie macie w sercu żadnej litości!... A toćby kamień zmięknął!...

Wtem ktoś z tłumu krzyknął:

— Proście, żeby nam chleba dali!

— Chleba, chleba, chleba! — wrzasnęło razem- paręset głosów.

h Krzyczą tak chlōpi, a kilku z pomiędzy nich zbliżyło się znowu do podoficera i jeden przez drugiego i;, mówi:

— Żyjemy tu w boraeh, jak zwierzęta: bez kościoła, bez księdza! Ani my dzieci swoje chrzczimy, ani mamy gdzie nieboszczyków pochować, ani nas kto słowem Bożem pocieszy!... O, zlitujcież się nad nami.!...

—Prosimy o kościół, o księdza, o cmentarz! — wołały liczne głosy.

Te krzyki były prośbą, w której się przebijała rozpacz nieszczęśliwych i natarczywość ludzi, doprowadzonych do ostateczności.

Podoficer stał jak wryty, bezmyślnym a trwożliwym wzrokiem wodził po tym huczącym tłumie, który coraz bardziej ścieśniał koło, tak, że niektórzy chłopcy deptali po nogach tlómacza, bębniarza, podoficera.

— Niech nas panowie zapiszą sobie z imienia i nazwiska, żeby było wiadome, czego kto chce! — zawołał jakiś ogromny chłop, przeciskając się przez gromadę.

—Słyszycie, z imienia i nazwiska trzeba nam się podawać!...

—Szymon Środa ze wsi Zagaje, w powiecie sierpeckim... prosi, żeby go przenieść z tych pałąg w górach na jakie równiejsze miejsce!...

—Mateusz Sikora! Niech pan zapisze!...

—O rany Boskie, a toć się tak nie pchajcie, bo dziecko udusicie!... Bydło, nie naród! — wrzeszczała, jakaś baba, którą tłum unosił.

—Bartłomiej Niedopytała z Czarnej pod Nieszawą!... Odmierzyli mi kolonie tam na samym brzegu... Nie nauczny chodźć koło roli z motyką i gracą!... Proszę o jaką taką szkapinę, o sochę!...